

**KALENDARZ
POLSKI
NA ROK
1927**

Cena 1.50 zł.

PSAŁTERZ DAWIDOWY

dla użytku wiernych. Na nowo przełożył X. Arcybiskup Fr. A. Symon.

Stron XXXII+304. — **Cena 2 zł.**

Nowe tłumaczenie, zaopatrzone wstępem, wydane zostało jako książeczka do nabożeństwa z dodatkiem modlitw w czasie Mszy św, litanij i t. d.

Kto chce śpiewać nieszpory ze zrozumieniem, niech sobie sprowadzi Psalterz Arcyb. Symona.

Ks. Arcybiskup Bilczewski:

LISTY PASTERSKIE

tom II stron 320; tom III stron CCX+538. **Razem 12 zł.**

Ks. Arcybiskup Teodorowicz:

OKRUCHY EWANGELICZNE

Stron 358. — **Cena 2 zł.**

Są to arcydzieła naszej literatury religijnej. Listy pasterskie poruszają w sposób przystępny najważniejsze sprawy, dotyczące Kościoła, życia religijnego i społecznego narodu. Okruchy ewangeliczne podają głęboko ujęte rozważania czytanych w niedziele wyjątków z ewangelij.

Ks. Dr. Ż. Bielawski:

Katechezy biblijne na 1-szą klasę szkół powszechnych

Wydanie 2-gie. — **Cena 3·80 zł.**

Każdy, kto zetknął się z dziećmi w początkach nauki, wie, jak trudno przedstawić im wzniosłe prawdy wiary. Katechezy dają doskonały wzór, jak to należy czynić. Bardzo potrzebne nie tylko dla uczących w szkole, lecz także dla rodziców.

X. M. Tarnawski:

ARCYBISKUP JÓZEF BILCZEWSKI

Krótki rys życia i prac. — Stron 212. — Cena 4 zł.

Książka podaje obszerny opis życia wielkiego, niedawno zmarłego Arcybiskupa. Napisana jest barwnie i zajmująco. Wielu ustępów nie można czytać bez łez.

X. R. Knendich:

Homilje na niedziele i święta całego roku.

2 tomy — **10 zł.**

Obok kapłanów mogą korzystać z tej książki wszyscy wierni, szczególnie zaś ci, którzy z powodu przeszkody nie mogą słuchać kazań w niedzielę. Nauki X. Knendicha napisane są bardzo przystępnie i pouczająco i przeplatane są przykładami.

KALENDARZ POLSKI

NA ROK PAŃSKI

1927

ROCZNIK DZIEWIĄTY



L W Ó W
NAKŁADEM TOWARZYSTWA „BIBLIOTEKA RELIGIJNA“
IM. X. ARCYBISKUPA BILCZEWSKIEGO

WAŻNIEJSZE ZDARZENIA W RODZINIE.

KALENDARZ POLSKI

WYDAWCA

1927

WYDAWCA



Z DUKARNI TOW. „BIBLIOTEKA RELIGIJNA” WE LWOWIE — UL. ORMIAŃSKA 13.

ROK 1927.

Rok bieżący, 1927-my od narodzenia Chrystusa, jest rokiem zwyczajnym. Ma 365 dni. Ten sposób liczenia czasu przyjęty jest w prawie całym świecie chrześcijańskim.

Żydzi liczą lata od stworzenia świata. Dnia 9 września 1927 r. zaczynają r. 5688.

Mahometanie liczą czas od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny. Dnia 12 lipca 1927 rozpoczynają rok 1346-ty.

Zaćmienia.

Zaćmienia słońca będą w roku bieżącym trzy. Z nich widzialne będzie tylko jedno dnia 29 czerwca. U nas początek o godz. 5 minut 20, najwyższy stan o godz. 6 minut 20, koniec około godz. 7 minut 15. Zasłonięte będzie około 83% tarczy słonecznej.

Zaćmienia księżyca będą dwa. We wsch. Europie będzie widzialne jedno dnia 8 grudnia.

O świątach i postach.

Według prawa kościelnego należy obchodzić oprócz niedziel **następujące święta**:

Boże Narodzenie, Nowy Rok, Trzech Króli, Wielkanoc (tylko niedziela), Wniebowstąpienie, Zielone Świąta (tylko niedziela), Boże Ciało, Niepokalane Poczucie, Wniebowzięcie Matki Najśw., św. Piotra i Pawła i Wszystkich Świętych. W święta te obowiązany jest każdy katolik być na mszy świętej i wstrzymać się od robót ciężkich.

We wszystkie inne uroczystości jak: Matki Boskiej Gromnicznej, Zwiastowanie, Narodzenie Najśw. Panny, drugi dzień Świąt Wielkanocnych, drugi dzień Zielonych Świąt, św. Szczepana i patronów krajowych, niema obowiązku słuchania mszy św. i wstrzymania się od robót, chociaż nabożeństwa po kościołach odbywają się w te dni jak i dawniej.

Obecne przepisy prawa kościelnego o postach są takie:

I. Wszystkim, którzy ukończyli siódmy rok życia, nie wolno używać potraw mięsnych i rosołu: a) we wszystkie piątki całego roku, b) w środę popielcową i wszystkie soboty wielkiego postu, c) w suchedni (środy, piątki i soboty), d) w cztery wigilje t. j. w wigilję Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia.

Wolno jednak pożywać w te dni wszelkie inne potrawy, a nawet używać omasty z tłuszczów zwierzęcych, jak smalcu, słoniny itp.

II. Ponadto tym, którzy ukończyli dwudziesty pierwszy rok życia, a nie zaczęli jeszcze sześćdziesiątego, nie wolno więcej jak raz tylko na dzień posilać się do sytości i dwa razy dziennie wziąć lekki posiłek: a) przez cały wielki post (prócz niedziel), b) w suchedni, c) w cztery wyżej wymienione wigilje.

II. Niema jakiegokolwiek postu w niedziele i obowiązkowe święta uroczyste, a nadto w wielką sobotę popołudniu; odpada także post, jeśli wigilja z postem wypada na niedzielę.

Wolno pożywać mięso i ryby przy tym samym posiłku.

Wolno nieletnim poniżej lat 21 i wiekowym powyżej 59 pożywać potrawy mięsne więcej razy na dzień w poniedziałki, wtorki, środy (oprócz środy popielcowej i suchedniowej) i czwartki wielkiego postu, wszystkim innym zaś wolno je pożywać w te dni na obiad, a przy posiłku wieczornym tylko w małej ilości, jeżeli gdzieś zwyczaj taki istnieje.

Wolno w wielki piątek używać nabiału.

Dla wyjaśnienia dodajemy jeszcze, iż osoby chore i osłabione wskutek choroby nie są obowiązane do żadnych postów; kobiety zaś brzemiennie i karmiące własnymi piersiami i ludzie ciężko pracujący czy to fizycznie, jak rzemieślnicy, robotnicy, słudzy, konduktorowie i t. p., czy umysłowo, jak nauczyciele i t. p. i wogóle wszyscy, u których praca wiele sił zużywa, mogą w dniach postu jeść więcej razy do sytości.

Suchedni w tym roku wypadają: 9, 11, 12 marca, 8, 10, 11 czerwca, 21, 23, 24 września, 14, 16, 17 grudnia. — Dni krzyżowe: 23, 24, 25 maja.

STYCZEŃ — ma dni 31

Dni tyg.	Ś W I Ę T A				Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie		grecko-katolickie		
1 S	Nowy Rok. Obrz. Pańskie		19 Hr. 1926. Bonifatja		
2 N	<i>Imienia Jezus</i>		20 Per. Rożd. Ilnatja		
3 P	Genowefy p.		21 Juljany		
4 W	Eugenjusza		22 Anastazji		
5 S	<i>Wig. Telesfora</i>		23 Mucz. u Kryti		
6 C	Trzech Króli		24 <i>Nawecz. R. Ewhenji</i>		
7 P	Lucjana m.		25 Rożd. Chr.		
8 S	Seweryna op.		26 Sob. Boh. i św. Jos.		
9 N	1 po 3 Kr. św. Rodziny		27 N. po Rożd. Stef. m.		
10 P	Jana Dobrego bp. w.		28 Mucz. u Nykomydji		
11 W	Honoraty pn.		29 Dityj ubyty		
12 S	Arkadjusza, Ernesta		30 Anysji prp.		
13 C	Leoncjusza bp. w.		31 Melanji prp.		
14 P	Hilarego bp. dK.		1 1927. Obr. H. Was. W.		
15 S	Pawła pust.		2 Sylwestra pap. p.		
16 N	2 po 3 Kr. Marcelego p. i m.		3 N. po Pr. Małachja pr.		
17 P	Antoniego op.		4 Sobor 70 Ap.		
18 W	Katedr. św. Piotra		5 Teotempta		
19 S	Marjusza m., Kanuta kr.		6 Bohojawł. Hosp.		
20 C	Sebastjana m.		7 Sob. Iw. Chr.		
21 P	Agnieszki p. m.		8 Georg. i Emiljana prp.		
22 S	Wincentego m.		9 Polijewkta mcz.		
23 N	3 po 3 Kr. Rajmunda de Penn.		10 N. po Pr. Hryhorja		
24 P	Tymoteusza b. i m.		11 † Teodozja prp.		
25 W	Nawr. św. Pawła		12 Tatjany mcz.		
26 S	Polikarpa b. i m.		13 Ermyta Strat. mcz.		
27 C	Jana Chryzostoma bp. d. K.		14 OO. ub. w Synaju		
28 P	Walerego b.		15 Pawła i Iwana prp.		
29 S	Franciszka Salezego b. d. K.		16 Pokł. ok. św. Petra		
30 N	4 po 3 Kr. Martyny pn. m.		17 N. 31 po S. † Ant. prp.		
31 P	Piotra z Nolasco		18 Atan. i Kyr.		
Dnia	S ł o Ń c a		Księżycyca		<p style="text-align: center;">Odmiany księżycyca: Nów 3, pierwsza kw. 10, pełnia 17, ostatnia kw. 26.</p> <p style="text-align: center;">Przepowiednie ludowe:</p> <p>Jeśli w styczniu deszcze leją, nie ciesz się wielką nadzieją. Kiedy styczeń najostrzejszy — tedy roczek najpłodniejszy. Nowy Rok pogodny — Zbiór będzie dogodny. Kiedy Paweł się nawróci — Zima na wspak się obróci. Na św. Pawła: jasny dzień — dobry rok; deszcz i śnieg — [nieurodzaj i choroby.</p>
	wschód	zachód	wschód	zachód	
1	7:59	16:08	4:22	14:20	
5	7:58	16:12	9:29	18:09	
10	7:57	16:18	11:49		
15	7:54	16:25	14:15	5:48	
20	7:49	16:33	19:22	9:30	
25	7:44	16:41		11:06	
30	7:38	16:49	5:20	13:35	

Poradnik na styczeń.

Rolniczo-gospodarski: Zboża kończyć w mrozy młócić. Szufłować i przewietrzać ziarno, aby się nie zagrzało i nie popsuło. Czyścić ziarno i najlepsze do siewu przechowywać. Nawóz wywozić w mrozy w pole, gdzie dojazd w mokrej wiośnie trudny, a gdy rola pozwoli jak najszybciej przyorywać. Oziminy chronić od zalewu przez wody; drzewo ciąć i zwozić. Drób dobrze żywić i ciepło trzymać, aby jaja niósł. Bydło żywić dobrze, aby mleczność nie spadała.

Pszczelarski: Zbadać stan narzędzi i przyborów pszczelarskich, naprawić je, uzupełnić brakujące, budować ule lub zamawiać w fabrykach, przygotować węzę.

Zwracać pilną uwagę na zimowcę pszczoł tak na toczeniu jak również w stebniku. Strzeżnie przed szkodnikami zimowcami.

LUTY — ma dni 28

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 W	Ignacego b. m.	19 Makarja	
2 S	M. B. Gromnicznej	20 † Ewtymja prp.	
3 C	Błażeja b. m.	21 Maksyma prp.	
4 P	Andrzeja Kors. b.	22 Tym. ap. i Anast.	
5 S	Agaty p. m.	23 Kłymenta mcz.	
6 N	5 po 3 Król. Tytusa b.	24 32 po S. Ksenji prp.	
7 P	Romualda op., Ryszarda kr.	25 † Hryhorja B.	
8 W	Jana z Matty	26 Ksenofonta	
9 S	Apolonji m.	27 † Per. m. św. lw. Zoł.	
10 C	Scholastyki p.	28 Jewfremy prp.	
11 P	Zjaw. się N. M. P. w Lourdes	29 Peren. m. św. Ihnatja	
12 S	7 Założycieli Serwit.	30 Trech Światytlw	
13 N	Starozapustna. Grzegorza II	31 Mytar. Kyra i lw.	
14 P	Walentego b. m.	1 Lutuj. Tryfona	
15 W	Faustyna i Jowit. mm.	2 Stritenje	
16 S	Juljanny p. m.	3 Symeona i Anny	
17 C	Juljana Kappad.	4 Izydora prp.	
18 P	Symeona b. m.	5 Ahafji mcz.	
19 S	Marcelego m.	6 Wukoła prp.	
20 N	Mięsopustna. Leona bp.	7 Ned. bł. S. Parten. ep.	
21 P	Feliksa b. w., Eleonory	8 Teodora mcz.	
22 W	Stoł. św. Piotra w Ant.	9 Nikyfora mcz.	
23 S	Piotra Damjana bp. d. K.	10 Charłampija mcz.	
24 C	Macieja apostoła	11 Własija	
25 P	Cezarjusza lek.	12 Meletija ep.	
26 S	Wiktora k.	13 Martynjana prp.	
27 N	Zapustna. Aleksandra m.	14 Miasop. Awksentja	
28 P	Teofila m., Romana op.	15 Onysyma ap.	

Dnia	S ł o Ń c a		Księżycyca	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	7:35	16:53	7:15	15:40
5	7:30	17:00	9:30	21:12
10	7:22	17:08	11:34	2:26
15	7:13	17:17	15:55	7:02
20	7:04	17:25	21:22	8:52
25	6:54	17:34	1:50	10:42
28	6:48	17:39	5:01	13:13

Odmiany księżycyca:
Nów 2, pierwsza kw. 8, pełnia 16, ostatnia kw. 24.

Przepowiednie ludowe:
Gdy mróz w lutym ostro trzyma, wtedy już niedługo zima.
Gdy na Gromnicę roztaje — rzadkie urodzaje.
Św. Walenty, gdy odmrozi pięty — nawyżwienie sprzedaj sprzęty.
Jeśli mróz w święto Macieja — czterdzieści dni tegoż nadzieja.

Poradnik na luty.

Rolniczo-gospodarski: Nasiona do siewu czyścić. Narzędzia rolnicze pooglądać i ponaprawiać. Na łąkach rozrzucać kretowiny oraz mech zdierać bronami zaraz, gdy wierzchnia warstwa taje, gdyż wtedy brony najskuteczniej działają. Bydło wypuszczać na świeże powietrze na chwilę. Stanowić kłaczę a konie zacząć dobrze żywić, aby siły miały do robót wiosennych. Drób nasadzać na jajach, gdyż najwcześniejszy najlepiej się hoduje i jeszcze w tym samym roku zaczyna nieść jaja.

Pszczelarski: W ciepłe dni wietrzyć stebnik, pnie niespokojne poić wodą. Na toczku, w dzień ciepłe obserwować oblot pszczoł, głodniaki (o ile są) podkarmiać przez nalewanie gęstej syty do plastrów. Zamawiać nasiona roślin miododajnych.

MARZEC — ma dni 31

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 W	Albina b.	16 Pamf. i tow. mcz.	
2 Ś	<i>Popielec</i> . Pawła m.	17 Teodora wm.	
3 C	Kunegundy ces. ☉	18 Lwa papy	
4 P	Kazimierza król.	19 Archippa Ap.	
5 S	Euzebjusza	20 Lwa ep.	
6 N	<i>Wstępna</i> . Perpetuy i Felic.	21 Syrop. Tymoteja	
7 P	Tomasza z Akw. dK.	22 Peren. m. Mucz. w Ew.	
8 W	Wincentego Kadł. b.	23 Polikarpa m.	
9 S	<i>Such</i> . Franciszki Rzym.	24 †, 1 i 2 Naj. h. Iw. Chr.	
10 C	40 Męczenników ☿	25 Tarasja ep.	
11 P	<i>Such</i> . Konstantego	26 Porfirja	
12 S	<i>Such</i> . Grzegorza W. pap. dK.	27 Prokopja pr.	
13 N	<i>Sucha</i> . Krystyny	28 1 P. Wasylja	
14 P	Matyldy kr.	1 Mart. Jewdokji	
15 W	Klemensa Dworzaka	2 Teodota m.	
16 Ś	Cyrjaka m.	3 Ewtropja i tow. m.	
17 C	Patrycjusza b. Gertrudy pn.	4 Harasyrna pr.	
18 P	Cyryła Jeroz. bp. dK. ☉	5 Konona m.	
19 S	<i>Józefa Oblub. N. M. P.</i>	6 42 Mcz. w Amoreji	
20 N	<i>Głucha</i> . Eufemji m.	7 2 P. Swmcz. u Chers.	
21 P	Benedykta op.	8 Teofilakta pr.	
22 W	Katarzyny Genuens.	9 † 40 Mucz. u Sew.	
23 Ś	Feliksa m.	10 Kondrata m.	
24 C	Gabrjela arch.	11 Sofronja	
25 P	<i>Zwiastowanie NMP.</i> ☽	12 Teofana isp.	
26 S	Emanuela, Tekli	13 Per. m. Nykyfora	
27 N	<i>Środopostna</i> . Jana Dam. dK.	14 3 P. Wenedykta pr.	
28 P	Jana Kapistrana	15 Ahapja m.	
29 W	Eustazjusza op.	16 Sawiny i Papy m.	
30 Ś	Anieli wd.	17 Aleksija pr.	
31 C	Balbiny p.	18 Kyryła Jerus.	

Dnia	S ł o Ń c a		K się ż y c a	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	6:46	17:40	5:50	14:28
5	6:38	17:47	7:53	20:08
10	6:27	17:55	10:10	1:29
15	6:16	18:03	14:52	5:36
20	6:05	18:11	20:19	7:15
25	5:54	18:19	0:47	9:16
30	5:44	18:27	4:58	14:42

Odmiany księżycy:
Nów 3, pierwsza kw. 10, pełnia 18, ostatnia kw. 25.

Przepowiednie ludowe:
Kto w marcu siał nie zaczyna — swego dobra zapomina.
Suchy marzec, mokry maj — będzie żyto, kieby gaj.
Co marzec wypieczę — to kwiecień wysięczę.
Na św. Józefa pogoda — będzie w polu uroda.
Czterdzieści męczenników jakich — czterdzieści dni takich.

Poradnik na marzec.

Rolniczo-gospodarski: Wykonywać energicznie orki, gdy rola trochę obeschnie oraz wrzucać bronami, gruberami i t. p. jesienne orki pod jaryzyny. Siał owies, jęczmień, wyki, konicze, grochy, mieszanki. Bronować koniczyny, a miejsca puste podsiewać inkarnatką, saradellą lub rajgrasem jednorocznym. Łąki bronować. Kopce z ziemniakami przepatrzyć, średnie wybrać i do sadzenia starannie przechować a zepsute spaść. Drób dalej nasadzać, dbać o klacze żrebne, stanowiąc klacze.

Pszczelarski: W dniu ciepłe rewidować i podmiatać pnie, w razie potrzeby podkarmiarć (również przez nalewanie gęstej syty w plasty). Bez matki kasować, toczki porządkować.

KWIECIEŃ — ma dni 30

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 P	Hugona b.	19 Chryzanta, Darji m.	
2 S	Franciszka z Pauli	20 OO. mm. Sawy	
3 N	Czarna. Ryszarda b.	21 4 Postu. Jakowa	
4 P	Izydora b. d. K.	22 Wasylja	
5 W	Wincentego, Ireny	23 Nikona i tow. m.	
6 S	Celestyna pap.	24 Zacharja (pokr.)	
7 C	Epifanjsza b. m.	25 Błahowiszczenie	
8 P	MB. Bolesnej, Djonizego b.	26 Sobor Arch. Hawr.	
9 S	Marji Kleofas.	27 Matrony prp.	
10 N	Palmowa. Ezechjela pr.	28 5 P. Ilar. i Stef. prp.	
11 P	Leona W. pap.	29 Marka i Kyr.	
12 W	Juljusza pap.	30 Iwana Listw. prp.	
13 Ś	Hermenegilda m.	31 Ipatja prp.	
14 C	Wielki Czw. Justyna m.	1 Kwiteń. Marii Jer.	
15 P	Wielki P. Anastazji m.	2 Tyta prp.	
16 S	Wielka Sob. Bened. J. Labr.	3 Nykyty	
17 N	Wielkanoc. Rudolfa	4 Kwitna. Jos. i Georg.	
18 P	Poniedz. Wielk. Apolonj. m.	5 Teodula	
19 W	Jerzego bisk.	6 Ewtychja	
20 S	Teodora w., Krzysztofa	7 Hryhorja	
21 C	Anzelma b. d. K.	8 W. Czetw. Irodiona	
22 P	Sotera i Kajusa mm.	9 W. Piatn. Ewpsychja	
23 S	Wojciecha b. m., Jerzego	10 W. Sub. Terentja m.	
24 N	Przewodnia. Fidel. ze Sig.	11 Woskres. Chr. Ant.	
25 P	Marka Ew.	12 Swiń. pon. Wasylja	
26 W	Kleta i Marcellina pap. mm.	13 Swiń. wt. Artemona	
27 S	Zyty p.	14 Martyna	
28 C	Pawła od Krzyża w.	15 Arystarcha i pr. Ap.	
29 P	Piotra z Wer. m.	16 Ahafii d.	
30 S	Katarzyny Sien.	17 Symeona	

Dnia	S ło Ń c a		K się ż y c a	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	5:39	18:30	5:52	17:34
5	5:30	18:36	7:31	23:11
10	5:20	18:44	11:36	3:07
15	5:10	18:52	17:05	5:06
20	4:59	19:00	24:40	6:44
25	4:50	19:08	2:23	10:59
30	4:40	19:15	4:37	17:52

Odmiany księżycy:
Nów 2, pierwsza kw. 9, pełnia 17, ostatnia kw. 24.

Przepowiednie ludowe:
Pogoda w kwietną niedzielę — wróży urodzajów wiele.
Kiedy w kwietniu słońce grzeje, tedy gbur nie zubożeje.
Grzmot w kwietniu, dobra nowina, już szron roślin nie podcina.
Deszcz w św. Marek, to ziemia jak skwarek.
Jeśli na św. Wojciech śnieg pada, co trzecia kopa siana przepada.

Poradnik na kwiecień.

Rolniczo-gospodarski: Kończyć siew owsa, jęczmienia, obok tego siał len, buraki. Wywozić i przyorywać obornik pod buraki i ziemniaki, o ile tenże w jesieni nie był wywieziony i przyorany. Sadzić ziemniaki. Koniczyny i oziminy bronować. Wywozić i przyorywać nawóz pod kapustę. Zacząć czyścić okopowe z chwastów, gdy te podrosną. Bydło przed wypuszczeniem na pastwisko przyzwyczajając powoli do zmiany karmy, mieszając słomę i suche siano oraz konicz do zielonej paszy.

Pszczelarzski: Sadzić drzewa i krzewy miododajne, tępić chwasty i trawę koło uli, od zakwitnięcia agrestu podkarmiać pnie rzadką sytą, celem uzyskania wczesnej siły. Utrzymywać pnie ciepło.

M A J — ma dni 31

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 N	2 po W. Filipa i Jak. ap. ☉	18 Ned. Tom. Iwana D.	
2 P	Atanazego dK., Zygmunta	19 Joana pr.	
3 W	<i>Królowej Korony Polskiej</i>	20 Teod. pr.	
4 S	<i>Urocz. Św. Józ. Patr. Koś.</i>	21 Januarja sw.	
5 C	Piusa V. pap.	22 Teodora Syk. pr.	
6 P	Jana z Oleju	23 <i>Georgja m. (na ned.)</i>	
7 S	Flawji i Domitylli	24 Sawy Str. m.	
8 N	3 po W. Stanisł. b. m. ☾	25 Ned. Myr. † Marka	
9 P	Grzegorza z Naz. bp. d. K.	26 Wasylija sw.	
10 W	Izydora roln.	27 Symeona sw.	
11 Ś	Franciszka Hier.	28 Jasona i Sos. ap.	
12 C	Pankracego	29 9 Mcz. w Kypcy	
13 P	Serwacego bp., bł. Roberta	30 † Jakowa ap.	
14 S	Bonifacego m.	1 <i>Maj.</i> Jeremji pror.	
15 N	4 po W. Jana de la Salle ☉	2 Ned. Rozst. Atanazja	
16 P	Bł. A. Boboli m., Jana Nep.	3 † Teodozja	
17 W	Paschalisa	4 Pelagji prm.	
18 Ś	Wenancjusza	5 Iryny m.	
19 C	Piotra Celestyna pap.	6 Jowa i Warwary	
20 P	Bernardyna ze Sien.	7 Jawł. Czesn. Chresta	
21 S	Tymoteusza m.	8 † <i>Iwana Bohost. (ned.)</i>	
22 N	5 po W. Julji p., Heleny p.	9 Ned. Sam. † Nyk.	
23 P	<i>Dni krzyż. Dezyderjusza b.</i>	10 † Symona ap.	
24 W	† NMP. Wspomoż. wier. ☽	11 Mokja i Metodija	
25 Ś	† Grzegorza VII pap. Urbana	12 Epifanija i Hermana	
26 C	<i>Wniebowst. Pańskie. Filipa</i>	13 Hłykerji i Ałeksandra	
27 P	Bedy W. d. K.	14 Izydora m	
28 S	Augustyna b. w.	15 Pachomija	
29 N	6 po W. Marji Magd. Pazzi.	16 Ned. Siip. Teodora	
30 P	Feliksa p. m. ☉	17 Andronika	
31 W	Anieli Meric. p.	18 Teodota m.	

Dnia	Ś i o Ń c a		K siężyca		Odmiany księżyca: Nów 1, pierwsza kw. 8, pełnia 15, ostatnia kw. 24, nów 30. Przepowiednie ludowe: Na pierwszego maja szron — obiecuje hojny plon. Grzmot w maju, sprzyja urodzaju. Pierwszego maja deszcz — nieurodzaju wieszcz. Deszcz w św. Florjana skrzynia przodem wypchana. Pankracy, Serwacy, Bonifacy — żli na ogrody chłopacy. Na Urbana chwile jakie — mówią, że i lato takie.
	wschód	zachód	wschód	zachód	
1	438	1917	501	1918	
5	431	1923	724		
10	423	1930	1244	236	
15	416	1938	1813	404	
20	409	1944	2338	641	
25	403	1951	157	1242	
30	358	1957	354	1935	

Poradnik na maj.

Rolniczo-gospodarski: Siew buraków, marchwi kończyć oraz koński ząb siać na paszę, ziemniaki sadzić. Wszelkie zasiewy i sadzenia powinny być wykonane. Ziemniaki po wzejściu zbroniwać i obsypać, oraz oczyszczać starannie z chwastów oraz wzruszać ziemię między nimi. Tępić kiankę w koniczach. Z końcem miesiąca przygotowanie narzędzi do sianokosów oraz żniwa.

Pszczelarski: W miarę przybytku pszczół rozszerzać gniazda, podkarmiać rzadką sytą, celem pobudzenia matki do silniejszego czerwienia, przygotować ule na rójki.

CZERWIEC — ma dni 30

Dni tyg.	Ś W I Ę T A				Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie		grecko-katolickie		
1	Ś	Bł. Jakóba Strepy bp.			19 Patrykja swm.
2	C	Sadoka i Tow. mm., Marcel.			20 Woznesenje Hosp.
3	P	Klotyldy			21 † Konstant. i Ołeny
4	S	Wig. Franciszka Caracciolo w.			22 Wasyliska m.
5	N	Zesłanie Ducha Św. Bonifac.			23 00. w Nykejl. Mych.
6	P	Poniedz. św. Norberta bp.			24 Symeona Dwn. prp.
7	W	Roberta	☩		25 3. Najd. hoł. s. lwana
8	S	Such. Medarda b.			26 Karpa m.
9	C	Felicjana m.			27 Teraponta swm.
10	P	Such. Małgorzaty król.			28 Mykyty pr.
11	S	Such. Barnaby Ap.			29 Teodozji m.
12	N	1 po Z. Św. Trójcy Świętej			30 Sosz. sw. D. Isaakija
13	P	Antoniego z Padwy			31 Presw. Trojci.
14	W	Bazylego			1 Czerwień. Justyna
15	Ś	Bł. Jolenty pn., Wita m.	☩		2 Nykyfora patr.
16	C	Boże Ciało			3 Łukjana m.
17	P	Marcjana m.			4 Mytrofana ep.
18	S	Efrema diak. d. K.			5 Doroteja
19	N	2 po Z. Św. Juljanny de Falk.			6 Wsich Swiat. Wys.
20	P	Sylwerego			7 Teodota ep.
21	W	Alojzego Gonzagi			8 Teodora Str.
22	S	Paulina b.	☩		9 Kyryla ep.
23	C	Wig. Agrypiny p. i m.			10 Pr. Euch. (ned.) Tym.
24	P	Urocz. Serca Jez. Nar. ś. Jana			11 † Wartoł i Warn.
25	S	Wilhelma op.			12 Onufr. Weł. prp.
26	N	3 po Z. Św. Jana i Pawła			13 2. po Sosz. Akwiliny
27	P	Władysława kr.			14 Etyseja pr.
28	W	Wig. Ireneusza bp.			15 Amosa pr. i Jer. pr.
29	Ś	Piotra i Pawła ap.	☩		16 Tychona ep.
30	C	Wspomnienie św. Pawła			17 Manujiła i tow. m.
Dnia	S ł o Ń c a		Księżyca		Odmiany księżyca: Pierwsza kw. 7, pełnia 15, ostatnia kw. 22, now 29.
	wschód	zachód	wschód	zachód	
1	3:56	19:59	5:11	22:01	Przepowiednie ludowe: Czerwiec suchy, grudzień doskonały. Czerwiec temu się zieleni — kto do pracy się nie leni. Czerwiec gdy zagrzmi, gdy zorze zachodzą ryby się znacznie [i obficie rodzą, Kiedy się Medard rozwodni — będzie deszcz 6 tygodni.
5	3:54	20:03	9:20	0:13	
10	3:51	20:07	14:52	1:53	
15	3:50	20:10	20:33	3:52	
20	3:50	20:12		9:11	
25	3:51	20:13	1:29	15:52	
30	3:53	20:13	4:47	21:33	

Poradnik na czerwiec.

Rolniczo-gospodarski: Koniczyny natychmiast kosić, gdy zaczną kwitnąć, najlepiej suszyć je na rogalach. Łąki kosić, gdy trawy zakwitną i suszyć szybko. Gnój, zwłaszcza w upalne dni, ubijając silnie i zlewać gnojówką lub wodą, aby zbyt nie przesycał. Na krowy uważać przy spaszaniu świeżych koniczyn, aby się nie wzdymały i stosować natychmiast środki zaradcze, jak trokar, rurę przetykową, salmiak, wodę wapienną i t. p.

Pszczelarski: Przeznaczać pnie do rójki i kierować rójkami tak, by odbyły się w dogodnym czasie. Pni zbytnio nie zrajać, by nie stracić pasieki. Czas rojek jest najodpowiedniejszy do przenoszenia pszczoł z kłód do uli ramowych. Usuwać stare matki. Pniom słabym dodawać ramki z czerwem.

LIPIEC — ma dni 30

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 2	P S	<i>Przenajśw. Krwi P. Jezusa Nawiedzenie NMP. Ottona</i>	18 <i>Presw. Sercia Isus.</i> 19 <i>Leontja m.</i>
3 4 5 6 7 8 9	N P W Ś C P S	4 po Z. Św. Anatola b. Teodora b. Antoniego Mar. Zach. Lucji m. Cyryla i Metodego Elżbiety król. Weroniki de Julj.	20 3 po S. Metodja m. 21 <i>Juljana</i> 22 <i>Ewzewja ep.</i> 23 <i>Ahrypiny m.</i> 24 <i>Rizdwo Iwana Chr.</i> 25 <i>Fewronji m.</i> 26 <i>Dawyda pr.</i>
10 11 12 13 14 15 16	N P W Ś C P S	5 po Z. Św. 7 Braci męcz. Piusa I pap. i m. Jana Gwalberta Anakleta pap. i m. Bonawentury dK. Rozesł. Ap., Henryka ces. <i>MB. Szkapł. Rajneldy m.</i>	27 4 po S. Samsona 28 <i>Per. m. Kyr. i Iwana</i> 29 Petra i Pawła 30 † <i>Sob. 12 ap.</i> 1 <i>Łypeń. Kosmy i Dam.</i> 2 <i>Pol. Ryzy Pr. Boh.</i> 3 <i>Jakynta m.</i>
17 18 19 20 21 22 23	N P W Ś C P S	6 po Z. Św. Aleksego Szymona z Lipnicy, Kamila Wincentego à Paulo Czesława, Hieron. Em., Małg. Praksedy pn. Marji Magdaleny Apolinarego b.	4 5 po S. Andrija Kryt. 5 † <i>Kyryła i Metodja</i> 6 † <i>Atan. At. prp.</i> 7 <i>Tomy i Ak. prp.</i> 8 <i>Prokopja m.</i> 9 <i>Pankratja m.</i> 10 † <i>Antonja Pecz.</i>
24 25 26 27 28 29 30	N P W Ś C P S	7 po Z. Św. Kuneg. Krystyny Jakóba ap., Krzysztofa Anny Matki N. M. P. Pantaleona lek. Wiktora pap. m. Marty pn. Rufina m.	11 6 po S. Ewfmjmi m. 12 <i>Prokop. i Ilar. mm.</i> 13 † <i>Sob. Arch. Hawr.</i> 14 <i>Akyły ap.</i> 15 † <i>Wołodymyra kn.</i> 16 <i>Atnogena i tow.</i> 17 <i>Mariny m.</i>
31	N	8 po Z. Św. Ignacego Loyoli	18 7 po S. Jakynta i Em.

Dnia	S ł o Ń c a		K siężyca	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	3:54	20:13	5:52	22:11
5	3:57	20:11	10:27	23:42
10	4:01	20:09	16:00	0:52
15	4:06	20:05	21:02	4:23
20	4:12	20:00	23:13	10:59
25	4:18	19:54	1:00	17:30
30	4:25	19:47	5:55	21:07

Odmiany księżyca:
Pierwsza kw. 7, pełnia 14, ostatnia kw. 21, nów 28.

Przepowiednie ludowe:

Czego lipiec i sierpień nie dówarzy — tego wrzesień nie usmarzy.
Gdy się grzmot w lipcu od południa poda — drzewom się [znaczy mocna nieuroda.
Deszcz na nawiedzenie Panny — potrwa pewno do Zuzanny.
Na święty Jakób chmury — będą śniegu fury.

Poradnik na lipiec.

Rolniczo-gospodarski: Kończyć sianokosy. Czyszczenie oraz okopywanie buraków i ziemniaków. Zboże zbierać, gdy ziarno jest jeszcze niezbyt twarde. Śiać zielone nawozy jak najwcześniej, aby miały czas do silnego rozwoju przed przyoraniem, oraz dostarczyły dużo zielonej masy na nawóz. Na spokładanych ścierniskach śiać rzepę ścierniskową lub szporek na paszę dla bydła. Wyczyścić spichrze na ziarno. Drób wypędzać na ścierniska, aby opadłe ziarno wyszukiwał, ziarna chwastów tępił, na pokładach i orkach robactwo niszczył, zaś kurniki wietrzyć i oczyszczać.

Pszczelarski: W tym miesiącu wypada u nas główne miodobranie. Zaopatrzyć ule w nadstawki, wybierać miód. Kontrolować czerwienie młodych matek, uzupełniać rójkom gniazda przez dodawanie węzy sztucznej.

SIERPIEŃ — ma dni 31

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 P	Piotra w okowach	19 Makryny prp.	
2 W	NMP. Anielskiej. Alfonsa Lig.	20 † <i>Ilji</i> (ned).	
3 S	Znalez. relikw. św. Szczepana	21 Iwana	
4 C	Dominika w.	22 Mariji Mahdałyny	
5 P	MB. <i>Śnieżnej</i> ☉	23 Trofyma i tow.	
6 S	<i>Przemienienie Pańskie</i>	24 † Borysa i Hliba	
7 N	9 po Z. Św. Kajetana w.	25 8 po S. Usp. sw. Anny	
8 P	Cyrjaka m.	26 Jermolaja	
9 W	Romana m.	27 Pantelejmona	
10 S	Wawrzyńca m.	28 Prochora ap.	
11 C	Zuzanny pn. m.	29 Kałynika m.	
12 P	Klary pn., Hilarji m.	30 Syły ap.	
13 S	Wig. Hipolita i Kasjana mm. ☿	31 Ewdokyma prp.	
14 N	10 po Z. Św. Euzebjusza b.	1 <i>Serpeń</i> . 9 po S. P. Chr.	
15 P	Wniebowzięcie NMP.	2 Per. m. sw. Stefana	
16 W	Joachima ojca NMP.	3 Isaaka	
17 S	Jacka w.	4 7 Otr. mucz.	
18 C	Heleny ces.	5 Ewsyhija m.	
19 P	Ludwika Toloz. b. ☽	6 Preobraż. Hosp.	
20 S	Bernarda op. dK.	7 Dometja i Passiwa	
21 N	11 po Z. Św. Joanny Fr. de Ch.	8 10 po S. Emiljana ep.	
22 P	Tymoteusza i tow. mm.	9 † Matija ap.	
23 W	Filipa Benicj.	10 Ławrentja m.	
24 S	Bartłomieja ap.	11 Ewplą m.	
25 C	Ludwika kr.	12 Fotija i Anikyty ap.	
26 P	MB. <i>Częstochowskiej</i>	13 Maksyma isp.	
27 S	Józefa Kalas. w. ☿	14 Micheja prp.	
28 N	12 po Z. Św. Augustyna dK.	15 11 po S. Usp. Pr. Boh.	
29 P	Ścięcie św. Jana Chrzciciela	16 P. Obr. ner. Hosp.	
30 W	Róży Lim.	17 Myrona m.	
31 S	Rajmunda w.	18 Flóra i Ławra mm.	

Dnia	S ł o Ń c a		K s i ęż y c a	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	4:27	19:44	8:12	21:46
5	4:33	19:38	12:36	22:55
10	4:40	19:29	18:05	1:06
15	4:48	19:20	20:56	7:20
20	4:55	19:11	23:00	14:07
25	2:03	19:01	2:32	18:43
30	5:10	18:51	8:12	20:24

Odmiany księżycy:
Pierwsza kw. 5, pełnia 13, ostatnia kw. 19, nów 27.

Przepowiednie ludowe:
Wawrzyniec pokazuje — jaka jesień następuje.
Bartłomieja cały wrzesień — naśladowe, a z nim jesień.
W sierpniu mgły w górach — pewne wody, a mgły
[w dolinach — pewne pogody.
Jak Bartłomiej nie zasieje, nie pokropi ludzi — to się zboża, to [się żyta mało w polu widzi.

Poradnik na sierpień.

Rolniczo-gospodarski: Kończyć zbiórkę zbóż i zwózkę tychże. Ścierniska przykładać natychmiast i siać w dalszym ciągu zielone nawozy oraz rzepę ścierniskową. Także najodpowiedniejsza pora jest do siewu mieszanek na wczesną wiosenną paszę. Z końcem miesiąca orać pod oziminy oraz młócić i czyścić pszenicę i żyto pod siew. Kosić koniczyny i potrawy wczesnie, póki pogoda sprzyja, gdyż później trudno wysuszyć a nadto łądzy szybko drewnieją i tracą na wartości. Świeżego ziarna nie dawać zwierzętom lub bardzo ostrożnie i w małych dawkach, gdyż to łatwo powoduje różne zaburzenia żołądkowe, kolki i tp.

Pszczelarzski: Zbadać stan zapasów miodu w pniach, zbyt dużą ilość usunąć i dodać tym pniom, które nie mają dostatecznego zapasu. Układać gniazda do zimowli. Strzec pasieki przed napadami. Sycić miody pitne. Wszelkie roboty w pasiece wykonywać szybko i wystrzegać się pozostawiania w pasiece plastrów, rozlewania miodu, gdyż to powoduje napady.

WRZESIEŃ — ma dni 30

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 C	Bronisławy p., Idziego op.	19 Andreja Str. i tow. m.	
2 P	Stefana kr.	20 Samuila pr.	
3 S	Szymona Stupn.	21 Tadeja ap.	
4 N	13 po Z. Św. Wawrzyńca J. ☿	22 12 po S. Agaton i t.	
5 P	Zacharjasza pr.	23 Łupa m.	
6 W	Bł. Melchiora Grodz.	24 Ewtycha swm.	
7 S	Narodzenie NMP.	25 Tyta ap.	
8 C	Piotra Klawera	26 Adrijana i Natalji m.	
9 P	Mikołaja z Tolentynu w.	27 Pimena prp.	
10 S		28 Mojseja i Awgustyna	
11 N	14 po Z. Św. Prot. i Jack. ☿	29 13 po S. U. H. s. Iw.	
12 P	Najśw. Im. MB.	30 Aleksandra	
13 W	Filipa m.	31 † Poł. Cz. P. Pr. Boh.	
14 S	Podwyższenie Krzyża św.	1 Wereseń. † Symeona	
15 C	MB. Bolesnej, Nikodema m.	2 Mamanta m.	
16 P	Korneliusza i Cyprj.	3 Antyma m., Teodot.	
17 S	Stygmaty św. Franciszka	4 Wawyły m., Mojseja	
18 N	15 po Z. Św. Józef z Kup. ☽	5 14 po S. Zachar. i Jel.	
19 P	Januarego bp. m.	6 Czudo A. Mychała	
20 W	Eustachego m.	7 Sozonta m.	
21 S	Such. Mateusza ap., Mauryc.	8 Roźdestwo PDM.	
22 C	Tomasza z Wilan.	9 Joakyma i Anny prp.	
23 P	Such. Tekli pn. i m.	10 Mynodory i yn. m.	
24 S	Such. NMP. Okupu	11 Teodory prp.	
25 N	16 po Z. Św. Wład. z Giel. ☿	12 15 po S. Anton. m.	
26 P	Cyprjana i Justyny mm.	13 Ob. Chr. Kornylija	
27 W	Kosmy i Damjana	14 Wozdw. Cz. Cnresta	
28 S	Wacława kr.	15 Nykyty wm.	
29 C	Michała arch. ☽	16 Ewfymji wm.	
30 P	Hieronima k. d K	17 Sofji i jiji dityj m.	

Dnia	S ł o Ń c a		K siężyca	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	5 13	18 46	10 24	20 59
5	5 19	18 38	14 50	22 54
10	5 26	18 27	18 33	3 26
15	5 34	18 16	20 29	10 32
20	5 41	18 05		16 10
25	5 49	17 54	4 56	18 15
30	5 57	17 43	10 27	19 45

Odmiany księżycy:
Pierwsza kw. 4, pełnia 11, ostatnia kw. 18, now 25.

Przepowiednie ludowe:
We wrześniu, gdy tłuste ptaki — mróz w zimie nie ładajaki.
Św. Idzi zboża w polu już nie widzi — ale ty żyto siał wyjdź.
Najświętsza Panna się rodzi, jaskółka odchodzi.
Gdy na Narodzenie pogodnie — będzie tak przez 3 tygodnie.
Gdy noc jasna na Michała — to nastąpi zima trwała.

Poradnik na wrzesień.

Rolniczo-gospodarski: Orki pod oziminy kończyć, ziarno zaprawiać i siać pośpiesznie, aby zboża miały czas rozkrzewić się przed nadejściem zimy. Po zasiewach robić przegony, aby woda łatwo spływała. Rozpocząć kopanie ziemniaków a z łąk zbierać ostatnie potrawy. Bydło powoli przyzwyczajając do pasz zimowych.

Sadowniczo-ogrodniczy: Pora zbioru owoców. Zebrany owoc należy przed wnieśieniem do piwnicy podzielić na 3 doборы: jednolicie wielkie i czyste; do sprzedaży, lecz gorsze; do wyrobu wina, suszu i powidel.

Pszczelarski: Kończyć przygotowania do zimowli. Wybierać miód z wrzosów, gdyż jest nieprzystadny do zimowli. Najdalej do 15 września kończyć podkarmianie pni. Zabezpieczać próżne plasty przed motylką.

PAŹDZIERNIK — ma dni 31

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 S	Jana z D. Teresy od Dz. Jez.	18 Ewmenja prp.	
2 N	17 po Z. Św. Aniołów Stróżów	19 16 po S. Trofyma	
3 P	Kandyda i Gerarda	20 Ewstachija	
4 W	Franciszka z Assyżu ☿	21 Kondrata ap.	
5 S	Placyda i Tow. mm.	22 Foky m.	
6 C	Brunona op., Emilia	23 Zaczatje Iwana Chr.	
7 P	MB. Różańcowej. Marka pap.	24 Tekli mcz.	
8 S	Brigidy pn.	25 Ewfrozynji prp.	
9 N	18 po Z. Św. Ludwika Bertr.	26 17 po S. † Pr. Iw. Boh.	
10 P	Franciszka Borgj. ☿	27 Kalistrata	
11 W	Emiljana m.	28 † Charytona prp.	
12 Ś	Maksymiljana b.	29 Kyrjaka	
13 C	Edwarda kr.	30 Hryhorja m.	
14 P	Kaliksta pap. i m.	1 Żowt. † Pokr. PB. (n.)	
15 S	Teresy pn.	2 Kyrjana m.	
16 N	19 po Z. Św. Gerarda Majelli	3 18 po S. Dionizja m.	
17 P	Jadwigi, Małgorzaty Alac. ☽	4 Jeroteja m.	
18 W	Łukasza ew.	5 Charytyny m.	
19 S	Piotra z Alk. k.	6 † Tomy ap.	
20 C	Jana Kantego k.	7 Sergia i Wakcha	
21 P	Urszuli pn. i m.	8 Pelagji prp.	
22 S	Korduli pn.	9 † Jakowa ap.	
23 N	20 po Z. Św. Serw. i Germ. mm.	10 19 po S. Ewłampja	
24 P	Rafała arch.	11 Fytypa ap.	
25 W	Kryspina m. ☿	12 Prowa, Tar. i Andron.	
26 S	Ewarysta pap.	13 Karpa i Popyły	
27 C	Sabiny m.	14 Paraskewji prp.	
28 P	Szymona i Tadeusza ap.	15 Jewtymja prp.	
29 S	Narcyza b.	16 Longina sotn. m.	
30 N	21 po Z. Św. Alfonsa Rodr.	17 20 po S. Oziji pr.	
31 P	Wig. Wolfganga b.	18 † Łuky ap.	

Dnia	S ło Ń c a		K s i ęż y c a	
	wschód	zachód	wschód	zachód
1	5:58	17:41	11:34	20:13
5	6:04	17:32	15:23	23:38
10	6:12	17:22	17:41	5:09
15	6:20	17:11	20:16	12:11
20	6:28	17:01	0:31	15:45
25	6:36	16:51	6:05	17:10
30	6:44	16:42	11:36	19:28

Odmiany księżycy:
Pierwsza kw. 4, pełnia 10, ostatnia kwadra 17, now 25.

Przepowiednie ludowe:
Gdy nierychło liść opada — zima ostra bywa rada.
Miesiąc październik, marca obraz wierny.
Orzech prędko gdy opada — zima się trwała nie nada.
W św. Jadwigę jeśli deszcz nie pada — to do kapusty Bóg miodu
Kto sieje na św. Jadwigę — ten zbiera z roli swej figę. [nada.

Poradnik na październik.

Rolniczo-gospodarski: Kończyć zbiór ziemniaków, wybierać energicznie buraki i zarówno ziemniaki jak i buraki dobrze w kopce układać i okrywać, aby nie zamokły a w mrozy nie przemarzły. Przyorywać na zimę zielone nawozy i obornik. Łąki bronić. Wielkie ilości pasz, jak wytłoki buraczane, liście buraków, koński ząb, kosić i dotować na zimową paszę. Ilość bydła zastosować do paszy.

Pszczelarski: Zaopatrzyć ule w maty, oczka ścieścić na jedną pszczołę. Wypalać stebniki i z nastaniem mrozów ustawiać w nich pnie.

LISTOPAD — ma dni 30

Dni tyg.	Ś W I Ę T A		Z A P I S K I
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	
1 W	Wszystkich Świętych	19 Joita pror.	
2 S	<i>Dzień Zaduszny</i> ☞	20 Artemja m.	
3 C	Huberta b.	21 Ilarjona prp.	
4 P	Karola Borom. b.	22 Awerkja ep.	
5 S	Zacharjasza pr.	23 Jakowa ap.	
6 N	22 po Z. Św. Leonarda w.	24 21 po S. Arey m.	
7 P	Bł. Antoniego Bal.	25 Markjana	
8 W	Gotfryda b.	26 Dymitrja mcz.	
9 Ś	Teodora m. ☉	27 Nestora m.	
10 C	Andrzeja z Aw.	28 Paraskewy m.	
11 P	Marcina b.	29 Anastazji m.	
12 S	Marcina pap. 5 braci polsk.	30 Zynowja i Zyn. m.	
13 N	23 po Z. Św. Stanisł. Kost. Eug.	31 22 po S. Stachja ap.	
14 P	Józafata b. m.	1 <i>Padotyśt. Kosmy i D.</i>	
15 W	Gertrudy pn.	2 Akyndyna i tow. m.	
16 Ś	<i>MB. Ostrobram. Edm. b.</i> ☽	3 Akepsima m.	
17 C	Salomei pn., Grzegorza C.	4 Joanikja prp.	
18 P	Romana m.	5 Hałaktjona m.	
19 S	Elżbiety kr.	6 Pawła sw.	
20 N	24 po Z. Św. Feliksa Walezj.	7 23 po S. Jerona m.	
21 P	<i>Ofiarow. NMP.</i>	8 Mychaila Arch.	
22 W	Cecylji m.	9 Onysyfora i Porf.	
23 Ś	Klemensa pap. m.	10 Erasta ap.	
24 C	Jana od Krzyża w. ☉	11 Myny, Wiktora m.	
25 P	Katarzyny pn. m.	12 † <i>Josafata m. (ned.)</i>	
26 S	Jana Berchm., Sylwestra op.	13 Iwana Zołot.	
27 N	1 Adwentu. Walerjana b.	14 24 po S. † Fyłypa ap.	
28 P	Grzegorza III pap.	15 Hurja mcz.	
29 W	Saturnina b. m.	16 † Mateja ap.	
30 Ś	Andrzeja ap.	17 Hryhorja ep.	

Dnia	S ł o Ń c a		Księżycyca		Odmiany księżycyca: Pierwsza kw. 2, pełnia 9, ostatnia kwadra 16, nów 24. Przepowiednie ludowe: W listopadzie wiele wody — na łąki wielkie wygody. Wiatr od południa w wilgę Marcina — pewnie będzie lekka zima. Gdy św. Marcin z śniegiem przybieżał — będzie po pas całą [zimę w nim leżał. Jaki czas na Ofiarowanie — taka też zima nastanie. Św. Katarzyna po lodzie — Boże Narodzenie po wodzie.
	wschód	zachód	wschód	zachód	
1	6:48	16:39	13:21	21:23	
5	6:54	16:32	15:21	1:13	
10	7:03	16:24	17:24	8:23	
15	7:11	16:17	22:17	13:24	
20	7:19	16:11	2:50	15:02	
25	7:27	16:06	8:24	16:48	
30	7:34	16:02	12:36	21:37	

Poradnik na listopad.

Rolniczo-gospodarski: Orki aż do nastania silniejszych mrozów wykonywać dalej, przyorywać zielone nawozy. Wywozić obornik w pole i przyorywać go zaraz po rozrzuconiu lub składać w duże kopce, okrywając je ziemią. Zacząć po ukończeniu robót w polu młockę zbóż i odstawić. Bydło żywić w stajni przeważnie a nie wypuszczać go na pastwisko, aż do samych mrozów, bo łatwo się zaziębić może, a nadto trawy i konicze przed zimą nie odrosną i łatwo mogą wymarzać. Drób w domu w ciepłe trzymać, zwłaszcza w nocy i silnie żywić, aby niósł jaja.

Pszczelarski: Zakończyć obrachunki pasiecznicze. Urządzać walne zebrania Towarzystw pszczelarskich, czytać podręczniki pszczelarskie.

GRUDZIEŃ — ma dni 31

Dni tyg.		Ś W I Ę T A				Z A P I S K I
		rzymsko-katolickie		grecko-katolickie		
1	C	Eligjusza b.				18 Platona i Rom. m.
2	P	Bibjany pn.	☿			19 Awdja pr.
3	S	Franciszka Ksaw. w.				20 Hryhorja Dek. pr.
4	N	2 Adw. Piotr. Chr., Barbary pn.				21 25 po S. Wwed. Boh.
5	P	Sabby op.				22 Fylymona
6	W	Mikołaja b.				23 Amfilocha i Hryh.
7	S	Ambrożego dK.				24 Kateryny m.
8	C	Niepok. Pocz. NMP.	☼			25 Klymenta pap.
9	P	Leokadji pn.				26 Ałypja prp.
10	S	NMP. Loretańskiej				27 Jakowa Pers.
11	N	3 Adw. Damazego m.				28 26 po S. Stefana prp.
12	P	Aleksandra m.				29 Paramona m.
13	W	Łucji pn. m.				30 † Andreja ap.
14	S	<i>Such. Spirydjona b.</i>				1 <i>Hrudeń. Nauma pr.</i>
15	C	Walerjana b.				2 Awwakuma pr.
16	P	<i>Such. Euzebjusza b. i m.</i>	☽			3 Sofonja pr.
17	S	<i>Such. Łazarza b.</i>				4 Warwary m., Iwana D.
18	N	4 Adw. Oczekiwanie NMP.				5 27 po S. † Sawy prp.
19	P	Nemezjusza b.				6 Nykołaja sw.
20	W	Teofila m.				7 Amwrozja ep.
21	S	Tomasza ap.				8 Patapja prp.
22	C	Zenona m.				9 Nep. Zacz. Pr. D. M.
23	P	Wiktorki pn. m.				10 Myny m.
24	S	<i>Wig. Adama i Ewy</i>	♁			11 Danyła Stowp.
25	N	Boże Narodzenie. Anastazji m.				12 Ned. Praotc. Spyrid.
26	P	Św. Szczepana m.				13 † Ewstratja
27	W	Jana ap. i ewang.				14 Tyrsa i Łewkja m.
28	S	Młodzianków				15 Elewterja m.
29	C	Tomasza b. m., Urbana p.				16 Ahheja pr.
30	P	Eugenjusza b.				17 Danyła pr.
31	S	Sylwestra pap.	☿			18 Sewastjana m.

Dnia	S ł o Ń c a		Księżyca		Odmiany księżyca: pierwsza kw. 2, pełnia 8, ost. kw. 16, nów 24, pierwsza kw. 31.
	wschód	zachód	wschód	zachód	
1	7:35	16:02	13:03	22:55	Przepowiednie ludowe: Mroźny grudzień, wiele śniegu — żyzny roczek będzie w biegu. Gdy na św. Barbarę błoto, będzie zima jak złoto. Ślota na Adama i Ewy — strzeż od zimna chlewy, a jak mróz [i pięknie, zima wcześniej pęknie. Wigilja piękna a jutrznia jasna — to będzie stodoła ciasna.
5	7:41	16:00	14:26	2:57	
10	7:46	15:58	17:37	9:45	
15	7:51	15:58	23:30	12:36	
20	7:55	16:00	3:56	13:59	
25	7:57	16:02	9:17	17:06	
30	7:59	16:06	11:52	23:21	

Poradnik na grudzień.

Rolniczo-gospodarski: Zboża młócić. Bydło żywić i pielęgnować starannie, opasać je pośladami sparonemami, aby siłę kielkowania ziarn chwastów w nich zawartych zniszczyć. Dobrze jest bydło w tym miesiącu stanowić, aby się w jesieni cielilo, bo wtedy mleka więcej mamy w ziemie, a więc w porze, gdy jest najdroższe. Inwentarz żywić dobrze, lepiej mniej sztuk a dobrze, niż dużo a skąpo, bo i mleka od krów źle żywionych mniej i nawóz gorszy.

Pszczelarzski: Wykończyć obrachunki pszczelarzskie, wysłać prenumeratę na pisma pszczelarzskie, rolnicze i oświatowe.

SPIS CZĘŚCIEJ UŻYWANYCH IMION ŚWIĘTYCH.

Achilles m 12 maja
 Adam 24 grudnia
 Agaton m 7 grudnia
 Agaton pap 10 stycznia
 Agata p m 5 lutego
 Agnieszka p m 21 stycznia
 Agnieszka z Mont. p 20 kwietnia
 Agnieszka z Ass. 16 listopada
 Albert b 8 kwietnia
 Albin b 1 marca
 Albina p m 16 grudnia
 Aleksander m 27 lutego
 Aleksander I pap 3 maja
 Aleksander m 12 grudnia
 Aleksandra m 20 marca
 Aleksy Falcon. w 17 lutego
 Aleksy w 17 lipca
 Alfons Lig. b 2 sierpnia
 Alfons Rodr. 30 października
 Alojzy Gon. w 21 czerwca
 Amalja 5 stycznia
 Amalja p 10 lipca
 Ambroży b 7 grudnia
 Anastazy m 22 stycznia
 Anastazy I pap 27 kwietnia
 Anastazy m 7 września
 Anastazja m 15 kwietnia
 Anastazja p m 28 października
 Anastazja m 25 grudnia
 Anatol b 3 lipca
 Andrzej apost. 30 listopada
 Andrzej Bobola 16 maja
 Andrzej Cors. b 4 lutego
 Andrzej pust. Polak 16 lipca
 Andrzej z Awel. w 10 listopada
 Aniela Fol. 4 stycznia
 Aniela Merici 30 maja
 Anioł k m 5 maja
 Aniołów Stróżów 2 października
 Anna Matka NMP. 26 lipca
 Ansgar b 3 lutego
 Antoni op 17 stycznia
 Antoni Pad. 13 czerwca
 Antoni M. Zach. 5 lipca
 Antonin op 14 lutego
 Antonin b 10 maja
 Antonina p 1 marca
 Anzelm b 21 kwietnia
 Apolinary b m 23 lipca
 Apolonja p m 9 lutego
 Apolonjusz m 18 kwietnia
 Arkadyzjusz m 12 stycznia
 Atanazy b 2 maja
 Augustyn b d k 27 sierpnia
 Augustyn Kant. b 28 maja
 Aurelja p 15 października

Balbina p 31 marca
 Baltazar król 6 stycznia
 Barbara p m 4 grudnia
 Barnaba apost. 11 czerwca
 Bartłomiej apost. 24 sierpnia
 Batylda kr. 26 stycznia
 Bazylia p m 20 maja
 Bazyli Anc. 2 stycznia
 Bazyli Wiel. 14 czerwca

Bazyliissa m 8 stycznia
 Beata m 8 marca
 Benedykt op 12 stycznia
 Benedykt op 21 marca
 Benedykt pust. Pol. 16 lipca
 Benedykta p 29 czerwca
 Benedykta p m 8 października
 Bernard op 20 sierpnia
 Bernardyn Sen. 20 maja
 Bibjana p m 2 grudnia
 Błażej b m 3 lutego
 Bonawentura b 14 lipca
 Bonifacy b 19 lutego
 Bonifacy m 14 maja
 Bonifacy b w 5 czerwca
 Bronisława p 1 września
 Brunon b 17 maja
 Brunon w 6 października
 Brygida p 1 lutego
 Brygida wd 8 października

Cecylja p m 22 listopada
 Cecyljusz k 3 czerwca
 Celestyn pap 6 kwietnia
 Cezarjusz lek 25 lutego
 Chrystyna p m 13 marca
 Cyprjan b m 16 września
 Cyprjan pap m 26 września
 Cyryl Aleks. b 9 lutego
 Cyryl Jeroz. 18 marca
 Cyryl b m 7 lipca
 Cyrylla p m 28 października
 Czesław w 20 lipca

Damazyp pap 11 grudnia
 Damjan m 27 września
 Daniel m 3 stycznia
 Dawid kr 29 grudnia
 Dezydery b 11 lutego
 Dezydery b 23 maja
 Dominik w 4 sierpnia
 Dominika p m 6 lipca
 Dorota p m 6 lutego
 Dionizy b 8 kwietnia
 Dionizy b m 9 października
 Dionizja m 6 grudnia
 Dyzma łotr 25 marca

Edmund b 16 listopada
 Edmund kr 20 listopada
 Edward kr 13 października
 Efrek diak. 18 czerwca
 Eleuterjusz b m 20 lutego
 Elżbieta kr wd 8 lipca
 Elżbieta wd 19 listopada
 Emil m 22 maja
 Emiljan b 11 września
 Emilja m 30 czerwca
 Emiljana p 5 stycznia
 Erazm m b 3 czerwca
 Eryk k 18 maja
 Eudoksja pok. 1 lutego
 Eufemja m 20 marca
 Eufemja p m 3 września
 Eugenja p m 25 grudnia
 Eugenjusz m 4 stycznia

Eugenjusz m 13 lipca
 Eugenjusz m 20 grudnia
 Eugenjusz b m 15 listopada
 Eustachy b 16 lipca
 Eustachy m 20 września
 Eustachja p m 2 listopada
 Euzebjusz p m 29 października
 Euzebjusz b m 21 czerwca
 Euzebjusz k m 14 sierpnia
 Euzebjusz b m 16 grudnia
 Ewa 24 grudnia
 Ezechjel pr 10 kwietnia

Fabjan pap 20 stycznia
 Faustyn m 15 lutego
 Felicjan b 24 stycznia
 Felicjan m 9 czerwca
 Felicyta m 6 marca
 Feliks k 14 stycznia
 Feliks m 21 lutego
 Feliks pap 25 lutego
 Feliks kapuc. w 18 maja
 Feliks pap m 30 maja
 Feliks II pap 29 lipca
 Feliks m 30 sierpnia
 Feliks m 6 listopada
 Feliks Wal. w 20 listopada
 Ferdynand kr 30 maja
 Filip apost. 1 maja
 Filip Nereusz w 26 maja
 Filip Ben. 23 sierpnia
 Filip aleks. 13 września
 Filomena p 5 lipca
 Flawja Domit. p m 7 maja
 Florentyna p 20 czerwca
 Florjan m 4 maja
 Fortunat kap 1 czerwca
 Fortunat m 24 października
 Fortunata m 14 października
 Franciszek Sal. 29 stycznia
 Franciszek z Pauli 2 kwietnia
 Franciszek Hier. 11 maja
 Franciszek Carac 4 czerwca
 Franciszek Seraf. 4 października
 Franciszek Borg. 10 października
 Franciszek Ksaw. 3 grudnia
 Franciszka Rz. wd 9 marca
 Fulgencjusz b 1 stycznia
 Fulko b 10 czerwca

Gabrjel arch. 13 marca
 Genowefa p 3 stycznia
 Gerard b m 24 września
 Germana p 15 czerwca
 Gertruda p 17 marca
 Gertruda p 15 listopada
 Gerwazy m 19 czerwca
 Grzegorz II pap 13 lutego
 Grzegorz X pap 16 lutego
 Grzegorz Nys. b 9 marca
 Grzegorz pap 11 marca
 Grzegorz Najaz. b 9 maja
 Grzegorz VII pap 25 maja
 Grzegorz cudotw. 17 listopada
 Grzegorz pap 28 listopada

Gudula p 8 stycznia
Gwidon 31 marca

Hadrjan M 8 września
Helena p 22 maja
Helena wd 18 sierpnia
Henryk w 2 marca
Henryk w 10 czerwca
Henryk 15 lipca
Hieronim w 20 lipca
Hieronim k d k 30 września
Hilary b 14 stycznia
Hilary b 16 marca
Hilary b 5 maja
Hilarja p 12 sierpnia
Hipolit m 13 sierpnia
Honorat b 16 stycznia
Honorat b 8 lutego
Honorata p 11 stycznia
Hubert b 3 listopada
Hugon b 1 kwietnia
Hugon w 9 kwietnia

Idzi op 1 września
Ignacy b m 1 lutego
Ignacy Lojola 31 lipca
Imelda p 13 maja
Imienia Jezus 3 stycznia
Imienia NMP 12 września
Innocenty pap 28 lipca
Ireneusz b m 25 marca
Ireneusz b m 28 czerwca
Irena p m 5 kwietnia
Irena m 18 września
Izabela p 22 lutego
Izydor b 4 kwietnia
Izydor włość. w 15 maja
Izydor m 14 grudnia

Jacek m 26 lipca
Jacek w 17 sierpnia
Jacek m 11 września
Jadwiga ks. wd 17 października
Jakób apóst. 1 maja
Jakób apóst. 25 lipca
Jakób Strepa 1 czerwca
Jan Kalib. w 15 stycznia
Jan Jałm. 23 stycznia
Jan Chryzostom b 27 stycznia
Jan z Maty m 8 lutego
Jan Boży w 8 marca
Jan Dam. w 27 marca
Jan Kapistran 28 marca
Jan Klimak op 30 marca
Jan w Oleju 6 maja
Jan de la Salle 15 maja
Jan Nepomucyn 16 maja
Jan Rossi k 23 maja
Jan pap m 27 maja
Jan Fak. w 12 czerwca
Jana Narodz. 24 czerwca
Jan męcz. 26 czerwca
Jan Gwał. op 12 lipca
Jan z Dukli 30 września
Jan Vian. k 9 sierpnia
Jan Berchm. 13 sierpnia
Jan Kanty k 20 października
Jan od Krzyża 24 listopada

Jan apóst. 27 grudnia
January m 11 lipca
January m 19 września
Jerzy m 23 kwietnia
Joachim 16 sierpnia
Joanna Val. 5 lutego
Joanna wd 24 maja
Joanna d'Arc 30 maja
Joanna Fr. de Ch. 21 sierpnia
Jolanta w 16 czerwca
Józef z Arym. 17 marca
Józef Obl. NMP 19 marca
Józefa Opieki św. 21 kwietnia
Józef Kalasanty 27 sierpnia
Józef z Kopert. 18 września
Jozafat b m 14 listopada
Juda apóst. 28 października
Julja p 22 maja
Julja p m 21 lipca
Julja p m 10 grudnia
Juljan m 9 stycznia
Juljan b 27 stycznia
Juljan m 17 lutego
Juljan m 28 sierpnia
Juljanna p m 16 lutego
Juljanna Falk. 19 czerwca
Julita p m 30 lipca
Juljusz pap 12 kwietnia
Juljusz m 1 lipca
Juljus m 5 grudnia
Justyn fil. m 14 kwietnia
Justyna m 16 czerwca
Justyna p m 26 września
Justyna p m 30 listopada

Kajetan w 7 sierpnia
Kalikst pap m 14 października
Kamil z Lelis w 18 lipca
Karol Borom. b 4 listopada
Kasper kr. 6 stycznia
Katarzyna R. p 3 lutego
Katarzyna kr. szw. 22 marca
Katarzyna Sen. p 30 kwietnia
Katarzyna p m 25 listopada
Kat. św. Piotra w Rzym. 18 stycz.
Kat. św. Piotra w Ant. 22 lutego
Kazimierz kr. w 4 marca
Klara Rim. w 10 lutego
Klara p 12 sierpnia
Klaudja m 20 marca
Klaudjusz Col. 15 lutego
Klaudjusz b 6 czerwca
Klemens Hofb. 15 marca
Klemens pap 23 listopada
Klotylda król. 3 czerwca
Koleta p 6 marca
Konrad w 19 lutego
Konstantyn w 12 kwietnia
Kornela m 31 marca
Korneljusz rotm. 2 lutego
Korneljusz pap. m 16 września
Kosma m 27 września
Krystyna p m 24 lipca
Krystyna służ. 15 grudnia
Krzysztof m 25 lipca
Kunegunda ces. 3 marca
Kunegunda król. 24 lipca
Kwiryn rotm. 30 marca

Leokadja p 9 grudnia
Leon bisk. 20 lutego
Leon pap 11 kwietnia
Leon pap 19 kwietnia
Leon II pap 28 czerwca
Leonard w 6 listopada
Leonidas m 28 stycznia
Longin żoł. 15 marca
Lucjan m 7 stycznia
Lucjan m 24 lutego
Lucjan m 26 października
Lucjusz pap 4 marca
Ludwik Bl. 7 stycznia
Ludwik kr. w 25 sierpnia
Ludwika wd 24 lipca

Łazarz bisk. 17 grudnia
Łucja m 6 lipca
Łucja p m 13 grudnia
Łukasz ewang. 18 października

Maciej apóst. 24 lutego
Makary op 2 stycznia
Makary b 10 marca
Makary b 10 kwietnia
Makary m 20 grudnia
Makryna w 14 stycznia
Maksym m 28 września
Maksymilian b m 12 październ.
Małgorzata pok. 22 lutego
Małgorzata wd 10 czerwca
Małgorzata p m 20 lipca
Małgorzata Marja 17 października
Manswert b 19 lutego
Marcela w 31 stycznia
Marceli pap m 16 stycznia
Marceli b 9 kwietnia
Marcelin b 9 stycznia
Marcelin m 18 czerwca
Marcelin pap 26 kwietnia
Marcelin k 2 czerwca
Marcelin k 14 lipca
Marcelin m 27 sierpnia
Marcelina p 17 lipca
Marcin op 24 października
Marcin pap. 12 listopada
Marek ewang. 25 kwietnia
Marek męcz. 18 czerwca
Marek pap 7 października
Marji Zaśl. NP 23 stycznia
Marji Ocz. NP 2 lutego
Marji Obj. NP 11 lutego
Marji 7 Bol. NP 26 marca
Marji Zwiast. NP 25 marca
Marji Dob. Rady NP 26 kwietnia
Marji Królowej Kor. P. 3 maja
Marji Wsp. NP 24 maja
Marji Nieust. P. NP. 27 czerwca
Marji Naw. NP. 2 lipca
Marji Szkapl. NP 16 lipca
Marji Anielsk. NP 2 sierpnia
Marji Śnież. NP. 5 sierpnia
Marjl Wnieb. NP. 15 sierpnia
Marji Częstochow. 26 sierpnia
Marji Nar. NP. 8 września
Marji Im. NP. 12 września
Marji Wyk. NP. 24 września
Marji Róż. NP. 3 października

Marji Ostrobram. 16 listopada
Marji Ofiar. NP. 21 listopada
Marji N. Pocz. 8 grudnia
Marji Loret. NP. 10 grudnia
Marji Ocz. NP. 18 grudnia
Marja Egipsk. 2 kwietnia
Marja Kleof. 9 kwietnia
Marja Magd. de Pazz. 29 maja
Marja Magdalena 22 lipca
Marjan m 30 kwietnia
Marta p m 23 lutego
Marta p 29 lipca
Martyna p m 30 stycznia
Mateusz Apost. 21 września
Matylda wd 14 marca
Maur op 15 stycznia
Maurycy m 22 września
Mechtylda p 26 lutego
Męczenników 40, 10 marca
Medard b 8 czerwca
Meinrad b 21 stycznia
Melanja 31 grudnia
Melchior kr. 6 stycznia
Melchior Grodz. 7 września
Metody ap. Słow. 7 lipca
Michał arch. 29 września
Mikołaj z Tolen 10 września
Mikołaj bisk. 6 grudnia
Młodzianków m 28 grudnia
Modesta p 4 listopada
Monika wd 4 maja

Natalja m 27 lipca
Natalja wd 1 grudnia
Nereusz m 12 maja
Nereusz b 16 października
Nicefor b 13 marca
Nikodem m 15 września
Nimfa p m 10 listopada
Norbert op 6 czerwca

Obrzezanie P. J. 1 stycznia
Odon b 7 lipca
Onufry w 12 czerwca
Oswald b 28 lutego
Oswald kr. 5 sierpnia
Otton b 2 lipca

Pankracy m 12 maja
Paschalis w 17 maja
Patroklus b 21 stycznia
Patrycy b 17 marca
Paula w 26 stycznia
Paula m 10 sierpnia
Paulin b 22 czerwca
Paweł pust. 15 stycznia
Pawła Nawróc. 25 stycznia
Paweł b 1 lutego
Paweł od Krz. 28 kwietnia
Paweł męcz. 26 czerwca
Paweł apost. 29 czerwca
Pelagja p m 9 czerwca
Pelagja p męcz. 11 lipca
Pelagja p 19 października
Perpetua m 6 marca
Petronila p 31 maja

Petronjusz b 4 października
Piotr Nolasko 31 stycznia
Piotr Damjan 23 lutego
Piotr m 29 kwietnia
Piotr Cel. pap 19 maja
Piotr apost. 29 czerwca
Piotr w okow. 1 sierpnia
Piotr Klaw. 9 września
Piotr z Alk. 19 października
Piotr b m 26 listopada
Pius V pap 5 maja
Pius I pap m 11 lipca
Podw. św. Krzyża 14 września
Polikarp b 26 stycznia
Prakseda m 21 lipca
Pudencjanna p 19 maja

Rafał arch. 24 października
Rajmund Pen. 23 stycznia
Rajmund Non. 31 sierpnia
Regina p m 7 września
Remigjusz b w 1 października
Robert op 17 kwietnia
Robert op 7 czerwca
Roch b 14 lutego
Roch w 16 sierpnia
Roman op 28 lutego
Roman żoł. m 9 sierpnia
Roman b 23 października
Roman m 18 listopada
Romana p 23 lutego
Romuald op w 7 lutego
Rozalja Paler. 4 września
Rozesłanie apost. 15 lipca
Róża z Limy 30 sierpnia
Róża Witerb. 4 września
Rufin m 7 kwietnia
Rufin p m 19 lipca
Ryszard 3 kwietnia

Salomea król. p 17 listopada
Scholastyka p 10 lutego
Ścięcie św. Jana 29 sierpnia
Sebastjan męcz. 20 stycznia
Serce Jezusa 11 czerwca
Serwacy b 13 maja
Sewer b m 6 listopada
Seweryn op 8 stycznia
Seweryn bisk. 21 grudnia
Siedmiu braci śpiąc. 10 lipca
Stanisław b m 8 maja
Stanisław Kostka 15 listopada
Stefan pap m 2 sierpnia
Stefan kr w 2 września
Sykstus pap 28 marca
Sykstus pap 6 kwietnia
Sylwester op 26 listopada
Sylwester pap 31 grudnia
Symeon b 18 lutego
Szczepan w 8 lutego
Szczepan m 26 grudnia
Szymon Ap. 28 października
Szymon z Lipnicy 18 lipca
Szymon styl. 5 stycznia

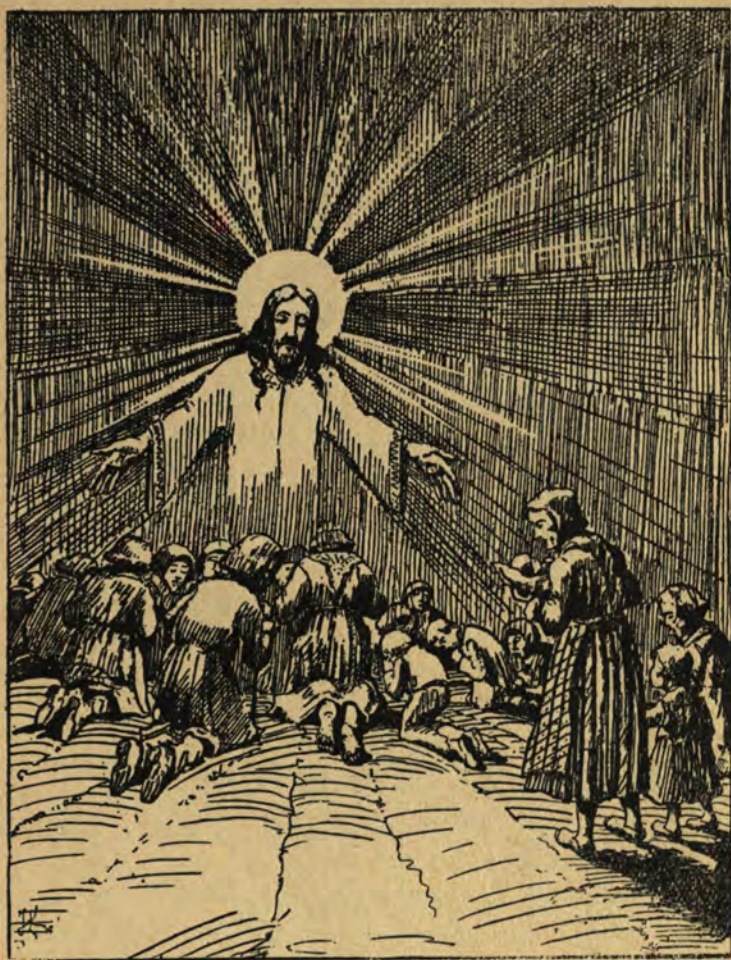
Tadeusz 28 października


Tarzcjusz m 15 sierpnia
Tekla p m 23 września
Telesfor pap 5 stycznia
Teodor m 7 lutego
Teodor m 9 listopada
Teodora m 1 kwietnia
Teofil m 8 stycznia
Teofil m 28 lutego
Teofil m 20 grudnia
Teresa od Dziec. Jezus 30 wrześn.
Teresa 15 października
Tomasz z Akwinu 7 marca
Tomasz z Wil. b 22 września
Tomasz ap. 21 grudnia
Tomasz Kant. 29 grudnia
Trzech Króli 6 stycznia
Tymoteusz b 24 stycznia
Tymoteusz m 24 marca
Tymoteusz m 22 sierpnia
Tytus bisk. w 6 lutego

Urban pap 25 maja
Urszula p m 21 października

Wacław m 28 września
Walenty b 7 stycznia
Walenty k m 14 lutego
Walerja 28 kwietnia
Walerja m 5 czerwca
Walerja p m 9 grudnia
Walerjan m 14 kwietnia
Walerjan b 27 listopada
Walery m 14 czerwca
Wawrzyniec m 10 sierpnia
Wawrzyniec Just. 5 września
Weronika Bin. p 18 stycznia
Weronika p 4 lutego
Weronika de Jul. 9 lipca
Wiktor m 23 stycznia
Wiktor m 24 lutego
Wiktor m 21 lipca
Wiktor pap m 28 lipca
Wiktor m 5 października
Wiktorja p m 23 grudnia
Wilhelm b 10 stycznia
Wilhelm op 25 czerwca
Wincenty m 22 stycznia
Wincenty Ferar 5 kwietnia
Wincenty à Paulo 19 lipca
Wincenty Kadł. 8 marca
Wit m 15 czerwca
Witalis m 9 stycznia
Władysław kr. 27 czerwca
Władysław z Giel. 25 września
Wojciech b 23 kwietnia

Zacharjusz pap 15 marca
Zaślub. NMP. 23 stycznia
Zenon b m 12 kwietnia
Zenon żoł. m 22 grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 maja
Zofja i 3 jej córki 15 maja
Zuzanna p m 11 sierpnia
Zwiastowanie NMP 25 marca
Zygmunt król 1 maja
Zyta p 27 kwietnia





Modlitwa o opiekę Bożą.

O, dobry Ojczy, któryś jest w niebiosach,
Ty widzisz serce w tych błagalnych głosach!
Wiernych w opiece, w każdej miej potrzebie,
Przedwieczny Panie! we łzach prosim Ciebie,
Czy w jasny dzionek, czy wśród chmurnej nocy,
Twoje anioły ześlij ku pomocy;
Spraw, byśmy żyli, jak prawi chrześcijanie,
Ojczy i Panie!

O, Zbawicielu! O, litosny Chryste!
Zwróć na stroskanych oczy swe przeczyste!
Tyś nas odkupił, ocalił i zbawił
I krwią Swą drogą dla nas się zakrwawił!
Toż my by chcieli przez całe swe życie
Żyć tak, by kiedyś, gdy staniem w błękicie,
Trwać z Tobą wiecznie wśród wybranych wielu,
Odkupicielu!

O, Częstochowska Przenajświętsza Matko!
Czuwaj z błękitów nad Swoją czeladką!
Nawiedzaj niskie chaty i poddasza,
Obrońcielko, Opiekunko nasza!
A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Wstaw się za nami do Swojego Syna
I duszę prowadź w światłość nieustanną,
Najświętsza Panno!

Or—ot.

Święto Chrystusa-Króla.

Od ostatniej niedzieli różańcowej 1926 mamy w Kościele katolickim nowie święto — święto Chrystusa-Króla.

Były już w Kościele katolickim takie święta ku czci P. Jezusa, które swojego czasu były bardzo rozpowszechnione, jak święto: Cierniowej Korony, Podniesienia Krzyża, Znalezienia Krzyża, Włóczni i Gwoździ, Krwi P. Jezusa, Ran P. Jezusa, Ucieczki do Egiptu, Przemienienia P. Jezusa. Zczasem zanikły te święta, pozostały po nich odpusty tu i ówdzie, przenoszone zazwyczaj na niedzielę. Powstały inne święta jak Boże Ciało, a ostatnio święto Chrystusa-Króla.

Dlaczego to się dzieje?

Wiele świąt powstało przez zwiększenie się u ludzi jakiegoś nabożeństwa. Gdy Męka P. Jezusa była przedmiotem licznych rozmyślań, obchodzili ludzie nietylko wspomnienie samej Męki, ale i narzędzi męki. Czasem znów Bóg objawiał swą wolę przez widzenia, dawane świętym, by wprowadzić takie lub inne święto. Tak powstało święto Bożego Ciała. Niektóre święta wprowadzili papieże, widząc, że takie lub inne święta naprowadzać będą corocznie myśl ludzką na pewne prawdy w danych czasach niezbędne. Tak ma się sprawa ze świętem Chrystusa-Króla.

Cóż ma nam przypominać święto Chrystusa-Króla?

Aby powstanie święta Chrystusa-Króla zrozumieć, musimy się cofnąć do początków Kościoła.

Pierwsi chrześcijanie zmieniali pod wpływem nauki P. Jezusa swe życie osobiste: nie kradli, szanowali rodziców, miłowali bliźnich, nawet nieprzyjaciół, nie opuszczali żon ni mężów, obowiązki swe wykonywali sumiennie i t. d. Ale gminami, miastami, państwem rządziły władze według zasad pogańskich wrogich Kościołowi.

Gdy po nadaniu Kościołowi wolności przyjęli chrzest sami cesarze rzymscy, chrześcijanami stawały się rzesze całe, ale teraz nie następowała już tak gruntowna przemiana obyczajów nowych chrześcijan, a przede wszystkim nie zmienił się sposób urzędowania, nie zmieniły się wszystkie ustawy, bo zniesiono tylko te, które zwracały się wprost przeciw chrześcijaństwu. Duch innych ustaw pozostał. I tak życie prywatne, domowe było chrześcijańskie, ale urzędowanie było pogańskie. Władza nie przyjęła chrztu, choć wszyscy jej wykonawcy byli chrześcijanami.

U nowych ludów, które przyjęły chrześcijaństwo, starał się Kościół urządzić także postępowanie władzy według nauki P. Jezusa. Dzięki temu było zupełnie inaczej przedtem. Działo się to w średniowieczu. W ustawach państwowych, w życiu po-

Modlitwa o opiekę Bożą.

O, dobry Ojczy, któryś jest w niebiosach,
Ty widzisz serce w tych błagalnych głosach!
Wiernych w opiece, w każdej miej potrzebie,
Przedwieczny Panie! we łzach prosim Ciebie,
Czy w jasny dzionek, czy wśród chmurnej nocy,
Twoje anioły ześlij ku pomocy;
Spraw, byśmy żyli, jak prawi chrześcijanie,
Ojczy i Panie!

O, Zbawicielu! O, litosny Chryste!
Zwróć na stroskanych oczy swe przeczyste!
Tyś nas odkupił, ocalił i zbawił
I krwią Swą drogą dla nas się zakrwawił!
Toż my by chcieli przez całe swe życie
Żyć tak, by kiedyś, gdy staniem w błękieie,
Trwać z Tobą wiecznie wśród wybranych wielu,
Odkupicielu!

O, Czystochowska Przenajświętsza Matko!
Czuwaj z błękitów nad Swoją czeladką!
Nawiedzaj niskie chaty i poddasza,
Obronicielko, Opiekunko nasza!
A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Wstaw się za nami do Swojego Syna
I duszę prowadź w światłość nieustanną,
Najświętsza Panno!

Or—ot.

Święto Chrystusa-Króla.

Od ostatniej niedzieli różańcowej 1926 mamy w Kościele katolickim nowie święto — święto Chrystusa-Króla.

Były już w Kościele katolickim takie święta ku czci P. Jezusa, które swojego czasu były bardzo rozpowszechnione, jak święto: Cierniowej Korony, Podniesienia Krzyża, Znalezienia Krzyża, Włóczni i Gwoździ, Krwi P. Jezusa, Ran P. Jezusa, Ucieczki do Egiptu, Przemienienia P. Jezusa. Zczasem zanikły te święta, pozostały po nich odpusty tu i ówdzie, przenoszone zazwyczaj na niedzielę. Powstały inne święta jak Boże Ciało, a ostatnio święto Chrystusa-Króla.

Dlaczego to się dzieje?

Wiele świąt powstało przez zwiększenie się u ludzi jakiegoś nabożeństwa. Gdy Męka P. Jezusa była przedmiotem licznych rozmyślań, obchodzili ludzie nietylko wspomnienie samej Męki, ale i narzędzi męki. Czasem znów Bóg objawiał swą wolę przez widzenia, dawane świętym, by wprowadzić takie lub inne święto. Tak powstało święto Bożego Ciała. Niektóre święta wprowadzili papieże, widząc, że takie lub inne święta naprowadzać będą corocznie myśl ludzką na pewne prawdy w danych czasach niezbędne. Tak ma się sprawa ze świętem Chrystusa-Króla.

Cóż ma nam przypominać święto Chrystusa-Króla?

Aby powstanie święta Chrystusa-Króla zrozumieć, musimy się cofnąć do początków Kościoła.

Pierwsi chrześcijanie zmieniali pod wpływem nauki P. Jezusa swe życie osobiste: nie kradli, szanowali rodziców, miłowali bliźnich, nawet nieprzyjaciół, nie opuszczali żon ni mężów, obowiązki swe wykonywali sumiennie i t. d. Ale gminami, miastami, państwem rządziły władze według zasad pogańskich wrogich Kościołowi.

Gdy po nadaniu Kościołowi wolności przyjęli chrzest sami cesarze rzymscy, chrześcijanami stawały się rzesze całe, ale teraz nie następowała już tak gruntowna przemiana obyczajów nowych chrześcijan, a przede wszystkim nie zmienił się sposób urzędowania, nie zmieniły się wszystkie ustawy, bo zniesiono tylko te, które zwracały się wprost przeciw chrześcijaństwu. Duch innych ustaw pozostał. I tak życie prywatne, domowe było chrześcijańskie, ale urzędowanie było pogańskie. Władza nie przyjęła chrztu, choć wszyscy jej wykonawcy byli chrześcijanami.

U nowych ludów, które przyjęły chrześcijaństwo, starał się Kościół urządzić także postępowanie władzy według nauki P. Jezusa. Dzięki temu było zupełnie inaczej przedtem. Działo się to w średniowieczu. W ustawach państwowych, w życiu po-

szczególnych stanów było wiele z zasad Chrystusa.

Przyszły inne czasy. Królowie, ministrowie, uczeni zaczęli wielbić rządy pogańskie cesarzy rzymskich i zaczęli je naśladować. Gdy osłabła wiara i społeczeństwo poczynająć żyć tak, jak żyło społeczeństwo pogańskie. I widzimy, jak pogaństwo usuwa zasady Chrystusa z ustaw, z rządów, z życia, gmin, miast, ze zbiorowego życia społeczeństwa. Trafia się nawet tak, że ludzie, w domu dobrzy katolicy, postępują w urzędzie niezgodnie z nauką Kościoła, nawet nie uważają sobie tego za złe. Widzieliśmy to w czasie wojny, kiedy musieliśmy patrzeć na tyle niewiści zbiorowej, tyle samolubstwa i okrucieństwa, tyle wyzysku i chciwości.

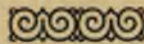
W czasie wojny nawoływali do pokoju. Głos ich mijał bez echa. Papież Pius XI wzywał do naprawy obyczajów zepsutych wojną. Ustanowieniem święta Chrystusa-Króla nakazuje nie tylko naprawiać złe, wyrządzone przez wojnę, ale i dążyć do panowania zasad Chrystusowych wszędzie wśród ludzi, we wszystkich ich czynnościach. Cokolwiek człowiek czyni, kimkolwiek on

jest, we wszystkim ma się pytać swego sumienia chrześcijańskiego. I handel i przemysł i rządzenie i polityka mają być chrześcijańskie.

Przez dążenie do panowania zasad Chrystusowych w życiu, nie dąży Kościół do swego panowania nad ludźmi, ani do panowania księży. Tak jak przez głoszenie przykazania miłości bliźniego, nie sobie oddaje przysługę, lecz chorym, nieszczęśliwym, wogóle wszelakiej biedzie, tak samo, wolać do władzy, do polityków, chce ochronić obywateli od krzywdy, wyzysku w podatkach, w kwaterowaniu wojska, w sądzeniu spraw i t. p.

Chrystus-Król nakłada na nas pewne obowiązki. Do Jego panowania w świecie nie przyjdzie bez walki, zło nie ustąpi dobrowolnie z zajmowanego stanowiska, a raczej nie ustąpią ludzie, którzy w nieuczciwy sposób do niego doszli.

Przestańmy narzekać na krzywdy, na niesprawiedliwości, a weźmy się do pracy, by Chrystus wszędzie panował. Jego panowanie będzie błogosławieństwem dla świata.



Kongres eucharystyczny w Chicago.

Cześć dla Najśw. Sakramentu zbiera wiernych całego świata na wielkie narady i wielkie uroczystości, zwane kongresami eucharystycznymi.

Tego roku odbył się taki kongres w Chicago w Ameryce od 20—24 czerwca, dwudziesty ósmy z rzędu. Na długo przed terminem dochodziły wieści o ogromnych przygotowaniach do kongresu. Spodziewano się wielkiego napływu pielgrzymów. Samo Chicago liczy obecnie milion katolików i 264 kościołów, należących do rozmaitych naro-

dowości. (Przed blisko 100 laty był tam tylko jeden kapłan). Stany Zjednoczone zamieszkuje 20 milionów katolików. Wszyscy oni w znacznej liczbie mogli przybyć na kongres. A przecież pozostają jeszcze katolicy połud. Ameryki i katolicy reszty świata.

Rachuby na wielki zjazd nie zawiodły. Przybyło do Chicago milion gości z wszystkich części świata, z Azji, Afryki, Australji, a przede wszystkim z Europy. Nie brakło Eskimosów z Alaski, ani pielgrzymów z Indji, Chin i Japonji, ani przedstawicieli Syrii, Pa-

lestyny i Chaldei. Najdłuższą drogę na kongres odbył biskup z Hindostanu w Azji, bo wynoszącą 12.000 mil.

Na kongresie było 12 kardynałów, w tem Jan Bonzano, przedstawiciel Ojca św. Piusa XI, i 300 biskupów. Z Polski było trzech biskupów, a mianowicie ks. biskup Przeddziecki, Łukomski i Kubina.

Amerykanie czynili wszystko, co było potrzebne do dobrego odbycia się kongresu. Budowali, przygotowywali i doprowadzili do tego, że wszystko poszło gładko, jakby tu chodziło o kilkudziesięciu ludzi, a nie o setki tysięcy.

Msza św. odbywała się u stóp specjalnie wybudowanego ołtarza, wysokiego na 150 stóp. Do ołtarza prowadziło 50 stopni. W czasie Mszy św., celebrowanej przez kardynała legata, w otoczeniu kardynałów i 259 biskupów śpiewał chór dzieci, liczący 62 tysiące. Na drugi dzień śpiewał chór, złożony z 5 tysięcy zakonnic i z 6 tysięcy panien i niewiast świeckich.

Tego samego dnia wieczorem odbyło się ślubowanie 200 tysięcy mężczyzn. Brzmiała ono: „Poprzysięgam wierność dla mojego sztandaru i mojej ojczyzny i dla danych jej przez Boga zasad wolności, sprawiedliwości i pomyślności, za którymi ona stoi. Poświęcam swe siły ku uczczeniu Najśw. Imienia Jezusowego i proszę, aby mi dopomógł do dochowania tej przysięgi aż do śmierci“. Po przysiędze wszyscy zapalili świece i podnieśli wysoko w górę. Widzowie wszelkich wierzeń i niedowiarkowie aż oddech zatrzymali na ten widok, tak był wspaniały i niebываły.

Oprócz nabożeństw głównych i we wszystkich kościołach Chicago, odbywały się narady rozmaitych narodów nad czcią dla Najśw. Sakramentu i wpływem Komunii św. na dusze ludzkie. Nie było prawie języka, w którymby się one nie odbywały, nawet Indianie amerykańscy i Murzyni mieli swoje obrady.

Na obradach polskich było 8.000 Polaków. Było ich pięć. Biskupów polskich witano na nich bardzo serdecznie i radośnie. Między odczytami, których było bardzo dużo, śpiewał chór pieśni religijne. W niejednym oku widać było łzę, gdy chór śpiewał nasze przepiękne stare pieśni jak „U drzwi Twoich“, „Kto się w opiekę“, „Kochajmy Pana“, „Twoja cześć chwała“.

Zakończeniem kongresu była ogromna procesja. Odbyła się ona na 40 mil za Chicago na gruntach seminarjum duchownego, wynoszących 1000 akrów a więc około tysiąc morgów. Na procesję przybyło jakie pół miliona ludzi. Oprócz kolei, tramwajów dowoziło ludzi na procesję 70 tysięcy samochodów, które miały dla siebie wyznaczonych 9 dróg.

Procesja odbywała się około jeziora. Na czele za krzyżem szli liczni ministranci, kapela młodzieży, a potem rozmaite grupy. Największą grupę stanowili Polacy. Ich rydwan, rodzaj wozu, zbudowany przez Zjednoczenie Polsko-Rzymsko-katolickie i Macierz Polską, przedstawiał Komunię św. króla Sobieskiego przed odsieczą Wiednia w roku 1683. Ołtarz na rydwanie był ubrany w zieleń, na ołtarzu otwarta ewangelja, a po obu stronach sześć palących się świec. Kapłan odprowadzający Mszę polową, odwraca się do króla Sobieskiego, klęczącego przed ołtarzem wraz z rycerzem przybocznym, by w otoczeniu ministrantów podać mu Komunię. Widok ten był wprost czarujący. Na przodzie rygwana stał wybudowany krzyż z napisem po obu stronach: *Polonia semper fidelis*. (Polska zawsze wierna). Huczne oklaski towarzyszyły rydwanowi polskiemu przez całą procesję.

Procesję prowadził sam kardynał legat. Zaczęła się przy ślicznej pogodzie. Ale w połowie procesji ukazała się czarna chmura, z której biły pioruny. Jakby najazd złych duchów rozszalała burza nad procesją. Rzę-

sista ulewa, olśmiewające błyskawice, ogłuszające grzmoty, siekący grad chciały rozpedzić wiernych. Dostojnicy Kościoła, wszyscy w przebogaty szatach, ani się nie ruszyli z miejsca, a za ich przykładem setki tysięcy wiernych. Nie ustawały pieśni, a zwłaszcza chór polski odznaczał się niez mordowanym śpiewem podczas ulewy. Po 20 minutach burza minęła. W ten sposób mieli wierni pouczenie, że i w życiu trzeba iść i wśród blasku słonecznego i wśród ulewy smutków i przeciwności.

Nie tylko uczestnicy kongresu, ale i wrogowie Kościoła, widząc te ogromne rzesze rozmodlone, przywiązane do wiary katolickiej, mogli sobie pomyśleć, że niewdzięczna jest ich służba u szatana, że wielki popełniają błąd, stojąc zdala od Chrystusa i jego łask.

Amerykanie katolicycy pouczyli nas, urządzając tak wspaniały kongres, że i my powinniśmy wszelkich dokładać starań, by nasze procesje na Boże Ciało wypadły jak najwspanialej.



„Dzień dzieci“ na Kongresie eucharystycznym w Chicago.

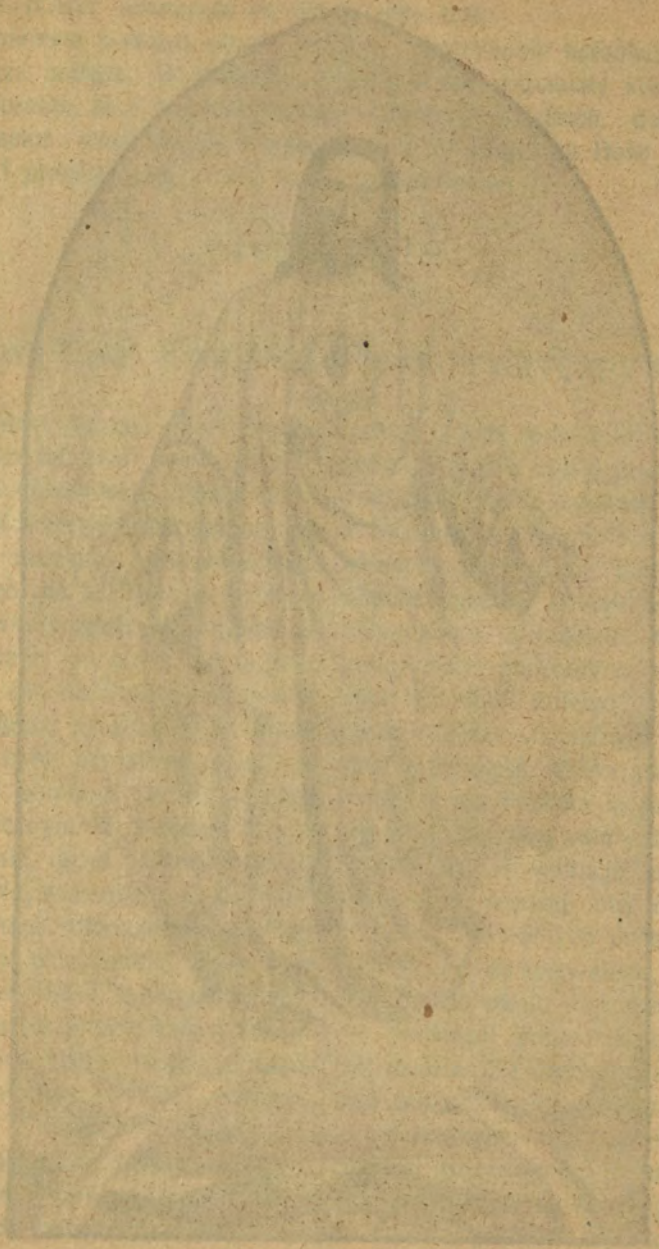
Jak u nas dzieci otaczają ołtarz i przed nim podczas nabożeństwa swoje miejsce mają, tak i dzieci chicagoskie chciały uczcić Pana Jezusa na Kongresie Eucharystycznym. Skoro nadeszła radosna wiadomość, że w mieście Chicago ma się odbyć Kongres Eucharystyczny, wtedy zaraz przystąpili katolicy miasta Chicago do obrad i namyślali się, aby zjazd ten jak najlepiej przygotować. Komitet zgodził się na urządzenie osobnego „Dnia dzieci”. I było to pierwszy raz, że dzieci miały brać wspólnie udział w Kongresie Eucharystycznym. I składało się to wszystko wspaniale, gdyż „Dzień dzieci” przypadał na 21. VI., właśnie na uroczystość św. Alojzego, patrona młodzieży katolickiej. A więc dla dzieci chicagoskich miał być poświęcony pierwszy dzień Kongresu Eucharystycznego. Następnie pytanie było, co uczynić, aby wszystkie dzieci mogły w nabożeństwie brać żywy udział. Otóż postanowiono złożyć chór z dzieci z szkół parafjalnych (w nich tylko udziela się nauki religji) w Chicago, który miał podczas nabożeństwa pontyfikalnego odśpiewać „Mszę Aniołów” po łacinie. I pracę zaraz rozpoczęto. Aby

śpiew jednak jednolicie wyćwiczyć i poprowadzić, trzeba było najpierw siostry zakonne, zajmujące się w szkołach parafjalnych śpiewem, pouczyć i wogóle z nimi nasamprzód Mszę tę wyćwiczyć. Tej pracy podjął się chętnie dyrektor muzyki w Seminarjum duchownem w Mundelein. On zebrał siostry-nauczycielki poszczególnych szkół parafjalnych na lekcje śpiewu i podawał im najpotrzebniejsze wskazówki. Następnie każda siostra ćwiczyła dzieci swojej szkoły parafjalnej, i tak działwa ta już od szeregu miesięcy przygotowywała się do uroczystej chwili. Nawet wakacje szkolne rozpoczęły się tydzień przed, aby dzieci mogły brać udział w generalnych próbach śpiewackich. Okazało się, że śpiewaków, dziewcząt i chłopców będzie około sześćdziesiąt tysięcy.

Nadszedł poniedziałek „Dzień Dzieci”. Był to dzień 21 czerwca. Już z rana z wszystkich dzielnic miasta zdążyły grupy, kompanie dzieci pieszo, samochodami, tramwajami, pociągami, prowadzone przez siostry zakonne do Stadjonu, tj. do wielkiego parku, na nabożeństwo. Wszelki inny ruch policja wstrzymała, wolno było tylko dzieciom przejść.



„Oto Król twój cichy“.



I wszystkie ulice około godziny siódmej wyglądały jakby były biało przyodziane. Jedna grupa dzieci za drugą, aż krótko przed parkiem wszystkie dzieci tworzyły jedną procesję. Wszystkie dziewczyny i chłopięta biało ubrane. Chłopcy w niskich bucikach, w białych, długich spodniach, w białej bluzce i w słomiance. Dziewczęta w białych sukniach z żółtą szarfą. A wszystko jednolicie. Każda grupa (około 50 dzieci) prowadzona przez siostrę zakonną miała swoją 1 metr długą biało-żółtą chorągiewkę z wyrysowaną monstrancją. Wśród dzieci białych były także grupy dzieci murzyńskich, ubrane jak dzieci białe i także pod opieką siostry zakonnej. Tu w Ameryce szkoły parafjalne, do których uczęszczają dzieci katolickie, nie mają ani nauczycieli, ani nauczycielek, jak u nas, ale wszędzie, w wszystkich klasach żeńskich i męskich uczą tylko siostry zakonne. One więc też prowadziły dzieci grupami do parku, gdzie miała się odbyć największa manifestacja religijna, jaka Ameryka i pewnie kula ziemską dotąd widziały i może już nigdy w takich rozmiarach nie zobaczą. Otóż tu na polu wojskowym, w parku Granta odbyło się uroczyste nabożeństwo z okazji XXVIII Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego. Mszę św. celebrował ks. kardynał Bonzano, osobisty delegat Ojca św. Podczas tego nabożeństwa śpiewały dzieci

„Mszę Aniołów“. Już od wczesnego poranku przybywali ludzie do parku Granta, aby na asfaltowych terasach olbrzymiego Stadjonu zająć miejsce. I zgromadziło się tu przeszło 150.000 ludzi, a w pośrodku tej olbrzymiej masy ludu 62.000 dzieci ubranych w biel i złoto, siedzących na ławkach, w środku Stadjonu, przedstawiało jeden z najbarwniejszych widoków, jakie kiedykolwiek oglądało Chicago.

Stadjon zajmuje przestrzeń blisko dwa kilometry długą, a około 150 metrów szeroką u podstawy.

Uroczystości rozpoczęły się o godzinie 8ej.

W całym amfiteatrze, tj. w stadjonie zapanowała cisza. Mszę św. przy olbrzymim ołtarzu z złożoną kopułą, 40 metrów wysoką odprawiał ks. kardynał Bonzano. Muzykalny dyrektor Kongresu, podniósł batutę a olbrzymi chór dzieci rozpoczął pieśń „Kyrie Elejson“. Tłumy publiczności zachowały głębokie milczenie. Organ zaczął grać. I dzieci ślicznie śpiewały, harmonja była znakomita. Najpiękniejszą chwilą było udzielenie błogosławieństwa papieskiego przez Kardynała Bonzano, czem zakończono przepiękną uroczystość.

W historii tego wspaniałego Kongresu Eucharystycznego będzie „Dzień dzieci“ wiekopomną pamiątką i chlubą dla młodzieży z szkół parafjalnych w Chicago.



Św. Franciszek z Asyżu.

ur. 1182 umarł 1226.

W roku 1926 byliśmy świadkami uroczystych nabożeństw po kościołach i wspaniałych obchodów, urządzanych ku czci św. Franciszka z Asyżu z powodu jego 700-letniej rocznicy śmierci.

Ojciec św. wydał osobną encyklikę, w której mówi o zasługach św. Franciszka i znaczeniu jego zasad w życiu ludzi.

Czytamy w niej:

„Przecież podobno nie znalazł się dotąd nikt, w którymby obraz Chrystusa Pana i ideał ewangelicznego życia rozbłysnął z równie doskonałą mocą odtwórczą, jak w św. Franciszku. Dlatego też on, który sam się nazywał „Heroldem wielkiego Króla“, słusznie otrzymał miano „drugiego Chrystusa“,

ponieważ społeczności sobie współczesnej i przyszłym wiekom przedstawił się jak gdyby Chrystus ponownie wstępujący w życie. Stąd również poszło, że postać jego żywa jest dziś na oczach ludzi i żyć będzie przez wszystkie wieki potomne. Któżby dziwił się temu, skoro wśród współczesnych mu ludzi ci, którzy pierwsi pisali o życiu swego Ojca i Prawodawcy, przyznali mu wielkość i dostojność ponad miarę ludzkiej natury, skoro poprzednicy nasi, którzy serdecznie żyli się z Franciszkiem, bez wahania upatryli w nim człowieka opatrnościowo zesłanego przez Boga dla zbawienia ludów i na podporę Kościoła? Dlaczegoż dziś właśnie, w czasie tak odległym od śmierci serafickiego męża, pobożne dłań uwielbienie katolików, a nawet podziw niekatolików rozgorzały z niebywałym zapałem? Zali nie dlatego, że ideał jego nie mniejszym dziś jak ongiś blaskiem poraża dusze, a potęga jego cnoty, zawsze cudownie zdolna uzdrawiać rzesze ludzkie, budzi pożądania i tęsknoty? Jakoż dokonane przez niego dzieło naprawy objęło tak powszechnie cały rodzaj ludzki, że nie tylko odrodziła się pod jego wpływem szeroko nieskazitelność wiary i obyczajów, ale też wskazania ewangelicznej miłości i sprawiedliwości przeniknęły do głębi życie społeczne, niosąc mu ukojenie“.

Św. Franciszek jest tym świętym, do którego wszyscy lgną. Lubią pisać o nim poematy poeci, chętnie malują zdarzenia z jego życia malarze, a muzycy układają melodie do jego słów. Uwielbia go ubożuchny prostaczek, bo zwracał się do niego i jemu podobnych z ogromną dobrocią. Podziwia go bogaty i uczony, bo tak kochał Boga, że każdy chciałby choć w części tak modlić się, jak św. Franciszek.

Skądże płynie ta miłość?

Św. Franciszek był sobie wesołym chłopcem. Pracował w sklepie ojca, a w wolnych chwilach lubiał z kolegami spędzić czas we-

soło. Marzył, że zostanie rycerzem, dokona wielkich czynów, stanie się sławnym, a może nawet gdzieś daleko zdobędzie jakie państwo i będzie w nim cesarzem.

Dopiero choroba wprowadza św. Franciszka na inne myśli. Ma wtedy dwadzieścia kilka lat. Wszystko, co go dotychczas cieszyło, wydaje mu się czczem, niegodnym, by się tem zajmować. Zaczyna teraz opiekować się ubogimi, i naprawiać zniszczone kościoły. Na to łoży dużo pieniędzy. Ojciec nie jest z tego zadowolony, skarży go przed biskupem, a wtedy św. Franciszek rzuca ojcu pod nogi i szaty, które miał kupione z pieniędzy sklepowych i idzie w świat w ubraniu pustelniczem. Odbudowuje nadal podupadłe kościoły a czyni to w przemyły sposób: śpiewa na ulicach i placach miasta, jak śpiewak wędrowny i prosi, by w nagrodę za pieśń, składano mu kamienie budowlane. I ludzie nie tylko kamienie znoszą, ale i pomagają w pracy, nawet przyłączają się do niego i stają się nieodłącznymi towarzyszami.

Ale św. Franciszek nie myśli jeszcze o założeniu zakonu, dopiero gdy słowa Pisma św.: Nie bierzcie złota, ani srebra, ja was posyłam jako owce między wilki, zrobiły na nim ogromne wrażenie, postanowił dać światu przykład, jak żyć w ubóstwie.

Zdawałoby się, że pozostanie odosobniony, że nikt nie pójdzie w ślady św. Franciszka. Tymczasem przeciwnie. W 1209 r. ma św. Franciszek tylko ustne pozwolenie Ojca św. na życie według reguły, dopiero w 1223 r. zostaje ona zatwierdzona urzędowo, a już w 1221 r. jego zakon liczy około 5000 członków, w r. 1343 liczy 1453 klasztorów. Św. Klara zakłada drugi zakon według zasad św. Franciszka, a świeccy czciciele jego tworzą trzeci zakon, stąd tak zwani tercjarze. Wszystkie kraje starają się o franciszkanów. W Polsce są już w roku 1232 w Krakowie.

Wszędzie, gdzie tylko były zakony św. Franciszka, łągodziły one walkę między bogaczami a ubogimi. Bogacze uczyli się od nich miłosierdzia, a ubodzy cierpliwości znoszenia ciężkiego losu.

Obecnie mamy kilka odgałęzień zakonu św. Franciszka, a mianowicie franciszkanów, bernardynów, reformatów i kapucynów. Mają oni w Polsce 290 klasztorów. Wszędzie mają ogromne zasługi, krzewiąc pobożność, miłość ojczyzny i miłosierdzie.

Nietylko w Polsce, ale na całym świecie

jest zakon św. Franciszka najbardziej rozkrzewiony ze wszystkich. Stało się tak, jak jak mówi P. Jezus, że cichy posiadał ziemię.

Nie sposób pisać wszystkiego o tym cudownym świętym. Każdy powinien sobie przeczytać większy żywot św. Franciszka, a wtedy przeniesie się w śliczny świat cudów, zetknie się z radosną miłością Boga, z bezgranicznem szczęściem dającym ukochaniem Jezusa i ani się spostrzeże, a stanie się wyrozumiałym, cichym, pokornym, usłusznym, łągodnym.



Pieśń słoneczna św. Franciszka.

Przekład J. Pietrzyckiego.

Najwyższy, dobry, wszechmogący Panie,
Niechaj się święci Twoje królowanie!
Wielkość i chwała są Twoim udziałem,
Człowiek Ci służy i duszą i ciałem.

Bądź pochwalony Ty, co władasz światem,
Żeś nas obdarzył słońcem, naszym bratem,
Któremu patrząc co dnia w twarz ognistą,
Wielbimy światłość Twoją wiekuistą.

Dusza niech nasza śpiewa Ci, jak ptaszę,
I dzięki czyni, żeś nam siostry nasze
Gwiazdy zapalił, gdy błękitną nocą
Wkoło srebrnego księżyca migocą.

Bądź pochwalony za naszego brata,
Który się wiatrem zwie i ogrom świata
Mierzy, jak goniec, skrzydlatemi kroki,
Niosąc w ramionach chmury i obłoki.

Święć się Twa chwała, żeś nam siostrę wodę
Dał na pokorną naszych ust ochłodę
I brata ogień, co blaskiem nas wieńczy,
Piękny, jak radość — jak miłość, młodzieńczy.

Niechaj Twa wszechmoc będzie pochwalona,
I żeś nas wywiódł z matki ziemi łona
I tchnął w jej piersi życiodajne zdroje...
Za wszystko, Panie, święć się imię Twoje!

Św. Stanisław Kostka.

Martwił się nieraz kasztelan zakroczymski Jan Kostka, że jego Staś więcej zajmuje się modlitwą, niż sprawami rycerskimi, ba nawet nie wydawało się, by chciał iść na świeckiego księdza, a jako taki mógł zostać biskupem, lecz kierował się ku życiu zakonnemu. Nic też dziwnego, że prowincjał jezuitów w Wiedniu bał się go przyjąć do zakonu i Stanisław, chcąc swój plan osiągnąć, musiał iść aż do Augsburga. I pisał kasztelan do biskupa Hozjusza na wieść

Potomek Kostków, żalowany Bogu przez ojca, zaczyna nową karierę. Stanisław Kostka umarł 15 sierpnia 1568 r. jako 18-letni młodzieniec. Już w 1568 r. wyszły dwa życiorysy, wkrótce ukazują się nowe i to w najrozmaitszych językach. Św. młodzieniaszek staje się ukochaniem katolików całego świata, wszędzie stawiają go za wzór. Pokoje, w których mieszkał (Wiedeń, Rzym), zamieniają się na kaplice. Potomek Kostków, nie przez czyny wojenne, nie przez dostojęstwa pań-



Św. Stanisław Kostka ukazuje się w czasie pożaru miasta Lwowa w r. 1623 nad bramą Krakowską.

o wstąpieniu syna do zakonu, że klasztor jezuitów w Pułtusku zrówna z ziemią, że, póki żyć będzie, nie stanie noga jezuicka w Polsce. Za synem wysłał do Rzymu starszego syna Pawła, by go przemocą zabrał do domu. Inaczej się stało. Paweł nie zastał już brata przy życiu, ale widział cześć, jaką go otaczano, jako świętego.

stwowę, jak chciał ojciec, lecz przez świętość, staje się bohaterem świata.

Z Polski wyjeżdżał św. Stanisław czternastoletnim kasztelanem do Wiednia, a wracał wielkim świętym. Gdy Turcy grozili Polsce w 1620 r., prosił Zygmunt III, król polski, papieża o znaczniejsze relikwie św. Stanisława. Ojciec św. przysłał mu jego

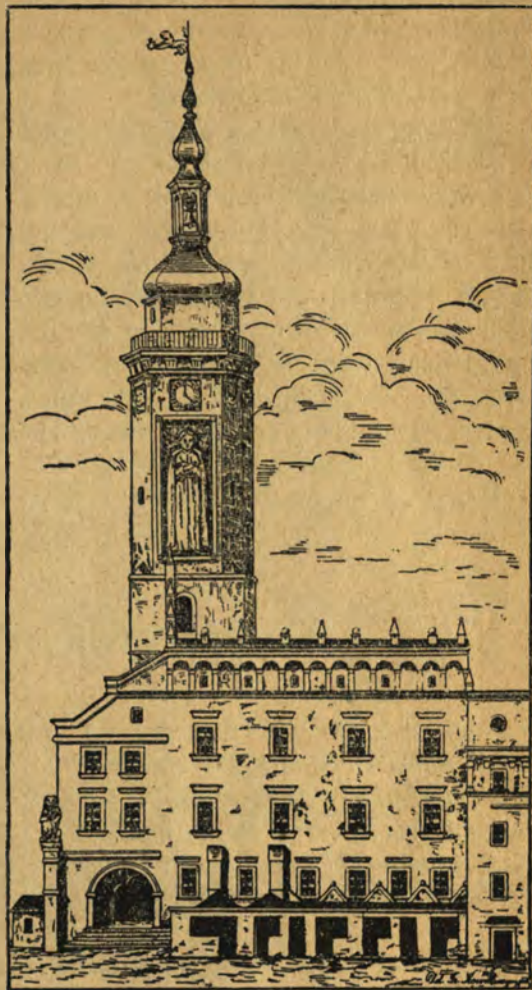
głową. Do niego modlił się król o zwycięstwo nad Turkami i rzeczywiście wielki był wówczas triumf oręża polskiego. I później hetmanił nieraz wojskom polskim ten młodzieniaszek, wspomagając ich swą opieką u Boga, i prowadząc do zwycięstw. Wizerunek jego widniał nad bramami Krakowa, Poznania, Lwowa i Lublina. Patronował polskiej młodzieży, ucząc jej pobożności, czystości i wytrwania w służbie Bożej. Na jego wzór wychował się niejedyn dzielny obywatel, modlitwa do św. Stanisława uchroniła niejednego młodzieńca od wykołajenia i zepsucia.

Młodzieniaszek ten, żyjąc zaledwie lat 18, pozostawił nam jednak tyle zalet, tyle cnót, że nie można się dość nadziwić, jak chłopiec w latach, w których zazwyczaj młodzież jest najniesforniejsza, mógł mieć tyle świętości w sobie.

Wiedział zapewne młody Kostka, że przez matkę jest krewnym św. Jacka. U początku jego świętości, jak i każdego człowieka, jest modlitwa, ale ta święta, dla której droga do nieba jest bliżutka, modlitwa, która tak rozpalala Jego serce, że musiano Mu dawać na nie zimne okłady. Kto miał taką łączność z Bogiem, kto Go tak kochał, ten lękał się każdego najmniejszego grzechu. Młody wiek narażony jest przedewszystkiem na grzechy zmysłowe. One na niego przedewszystkiem czyhają przez żarty, rozmowy, zabawy. Już w domu ojca odznacza się św. Stanisław taką wstydlivością, że na dźwięk nieprzyzwoitego słowa padał bez zmysłów na ziemię.

Ukochanie Boga i zakosztowanie szczęścia, jakie z tej miłości płynie, uczyniło zeń we Wiedniu poważnego i hartownego męża. Jego modlitwy, chodzenie do Kościoła, do Komunii, unikanie zabaw spotykają się z szyderstwem, a św. Stanisław nietylko nie ulega namowom brata, by tak jak on żył wesoło, ale pomimo szyderstw a nawet bicia ten 15,

16 letni chłopczyzna czyni to, co według jego przekonania jest dobrze. Gdy nie widzi innego sposobu na to, by zostać zakonnikiem, nie waha się uciec z Wiednia od brata i w prze-



Wizerunek św. Stanisława Kostki, wykonany w blaszce miedzianej, umieszczony na wieży ratuszowej we Lwowie w r. 1658 przez radę miejską z wdzięczności za opiekę nad miastem.

braniu pustelniczem idzie do Augsburga. Pamiętać należy, że z Wiednia do Augsburga jest około 500 klm., że między Wiedniem a Augsburgiem było kilka większych rzek, że okolica była górzysta. Na to wszystko

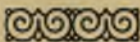
trzeba było ogromnej odwagi. Z klasztoru nie wyciągnęły go listy ojca, a chyba nie posadzi-
my św. Stanisława, że ojca nie kochał, ale
ponad życzeniem ojcowskim była woła
Boża. A ten mąż dzielny i mądry, liczący
wprawdzie tylko 17 lat, wszystko przezwy-
cięża i jedno tylko ma na względzie: święt-
szym, coraz świętszym zostawać.

P. Bóg szedł też naprzeciw dążeniu
św. Stanisława do doskonałości. Nie znamy
tych wszystkich łask, ale wiemy, że w cięż-
kiej chorobie, gdy gospodarz, u którego
mieszkał we Wiedniu, nigdyby nie wpuścił
księdza za próg swego domu, otrzymuje Kom-
munję św. w cudowny sposób od św. Bar-
bary; wiemy dalej, że w drodze do Augs-
burga, gdy wszedł do kościoła, nie zauwa-
żywszy, iż już jest przemieniony na zbór

protestancki, podał mu anioł Komunję św.;
wiemy, że Najśw. Marja Panna dała mu do
rąk Dzieciątko Jezus i t. d.

Nic dziwnego, że o beatyfikację św. Sta-
nisława starali się królowie polscy i biskupi
i już w 1604 r. zaliczony jest w poczet bło-
gostawionych. Świętym ogłasza go Ojciec św.
Klemens XI w 1714 r., ale uroczyste obcho-
dzono jego kanonizację w 1726 r. i dlatego
w r. 1926 obchodzimy dwusetny jubileusz
jego kanonizacji.

Obchód tego jubileuszu wszędzie ma
być uroczysty i oby wpłynął jak najsilniej na
naszą młodzież pociągając ją do pobożności,
a obrzydając jej zmysłowość. Modlić się
też należy do św. Stanisława, by opiekował
się Polską, by nastały w niej lepsze czasy,
by miała lepszych obywateli.

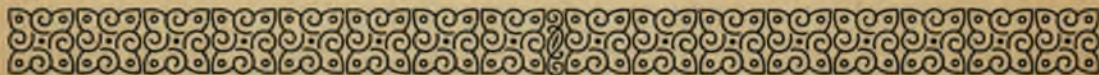


O Stanisławie, Patronie Ty nasz.

*O Stanisławie, Patronie ty nasz,
Uczyni z nas Bożą ojczyzny straż,
Godzina wybiła, Polska ożyła,
Stań młodym na czele Polski aniele,
Złącz druhów roty wraz z włości i miast.
I prowadź spodem w górę do gwiazd.*

*Do wyższych rzeczy stworzeni i my,
Na dzieła wielkie, nie złudne sny.
Nam chwycić za młoty, kować żywoty,
Niezlomne, wytrwałe, jak twój wspaniałe.
Przy wiary znaku trwać twardo jak mur,
Iść z pieśnią w pracy, jak żeńców chór.*

*A ty, nasz bracie, nas rodny twój dział,
Weź w swą opiekę, i wiedź do chwał.
Niech duch twój przewodzi, serca odrodzi
A łaski potęga, naród niech sprzęga.
By twierdzą Pańską na ziemi się stał,
Zwycięstwa hejnał przez wieki grał.*





O DOBRE RODZINY.

Przypowiadka o matce.

U brzegów Wisły, w izdebce przewoźnika promu leżał ciężko chory młodzieniec.

Ojciec, matka i dwie siostry strapieni i smutni pielęgowali go kolejno.

Był jedynym synem i jedynym bratem i kochanym bardzo.

Już od dwóch dni nie przemówił ani jednego wyrazu, miotając się w silnej gorączce.

Ojciec nie mógł dłużej patrzeć na cierpienia syna, wyszedł przeto z izby przed dom.

Patrzy — postać jakowaś idzie mu na przeciw.

— Kto jesteś? — pyta ojciec.

— Śmierć jestem, przyszłam zabrać z tego domu jedno życie.

— Więc weź moje, a poniechaj syna. Jam od najmłodszych lat kierował jego krokami. Był mi zawsze dobry, posłuszny szlachetny. Weź lepiej moje życie.

Więc ujęła go śmierć za rękę i rzekła krótko.

— Chodź.

Idąc, ojciec smutne snuł myśli. Wszak jest jeszcze pełen zdrowia i sił — ma chyba prawo do życia jeszcze.

Rozejrzał się wkoło.

Tam, na wzgórkach kościółek drewniany z wieżyczką strzelistą. Dalej Wisła, młyn u brzegu, prom drewniany. Nad wszystkim

niebo gwiazdziste. Wszystko to tak dziwnie wrosło w jego serce.

Co począć?

A śmierć trzyma go mocno za rękę i wiedzie.

Co krok — to większa tęsknota woła w sercu ojcowskiem za życiem.

Oto chałupa, którą sam zbudował, tu czółno, co kołysało go po falach Wisły, nawet to ptaszę, co na gałęzi kwili — wszystko mówi mu o życiu, o życiu, którego się wyrzekł dobrowolnie, które za chwilę zamknie się przed nim na zawsze.

— Gotów jesteś? — Śmierć zapytuje.

— Nie, nie — nie mogę! — wyjąkał głosem złamanym.

I odwróciwszy się niepewnym krokiem, skierował się ku domowi.

Ale nie miał odwagi wejść do izby, gdzie cierpiał syn jego, poszedł więc do komory, a podparłszy głowę na rękę, głęboko się zadumał.

W sąsiedniej izbie przy chorym krzątały się dwie siostry i matka.

Po chwili młodsza siostra, chcąc się orzeźwić świeżem powietrzem, wyszła przed izbę.

Z lękiem ujrzała Śmierć przed sobą.

— Przyszłam wziąć jedno życie z waszego domu — Śmierć jej rzecze.

— Więc uchroni brata mego — rozpacznie zawołała — a weź moje raczej! Zawsześmy razem dzielili myśli i zabawy

dziecięce, tyle dobroci i pamięci okazywał mi zawsze — oszczędź go — weź mnie lepiej!

— To chodź — rzekła Śmierć, ujawszy ją za rękę.

Zatrzęsło się dziewczę ze strachu, spojrzawszy w widmową, kościstą twarz Śmierci.

Odwróciła się. Patrzy — a wkoło tak cudnie gwiazdy mrugają na niebieskim firmamencie, tak cudnie, jak nigdy.

Tam w oddali szumi Wisła. Na piaszczystym jej brzegu igrali wspólnie, będąc dziećmi. Życie poczęło jej się wydawać tak miłym i drogiem.

Odwaga opuściła ją nagle.

Wyrwała się raptownie i pędem pobiegła ku domowi.

Późną nocą wyszła przed izbę starsza siostra.

Ujrzała Śmierć przed sobą.

— Długo czekam — odezwała się Śmierć.

— Dobrze, pójdę z tobą — wyrzekła z powagą. — Silna jestem, uczynię to dla brata. Tyle wspólnych wspomnień łączy nas razem. Bawiliśmy się wspólnie, czytaliśmy książki, był mi zawsze powiernikiem i bratem — pójdę.

Śmierć wyciągnęła ku niej obie ręce.

Idąc, poczęło dziewczę rozważać doniosłość swego postanowienia. Wszak to dopiero — a jej życie potrzebniejsze, niż innych — ma narzeczonego. Oto, z tego tu różowego krzaka urwała pierwszą różę dla niego w dowód miłowania, bo usta wyznać mu tego nie śmiały. Brat nie zaznał jeszcze w życiu tego wielkiego szczęścia Miłości, więc nic też nie traci.

Zawróciła więc bez słowa w stronę domostwa, unosząc cenny skarb życia swego napowrót.

Bardzo wczesnym rankiem, kiedy już świtać poczęło, wysunęła się na próg izby znużona czuwaniem matka, by odetchnąć ranną rosą.

Przez wielkie łyzy ciągle przysłaniające jej oczy, nie spostrzegła na razie, że ma Śmierć przed sobą.

— Ach! — wykrzyknęła — tyś przyszła po niego?!

— Przyszłam wziąć jedno życie z tego domostwa.

— Na, to weź moje — rzekła radośnie matka i wyciągnawszy obie ręce do Śmierci, rzekła z uśmiechem:

— Gotowam...

— Pozwolisz mi jeszcze tylko — wyrzekła po chwili — wykończyć me obowiązki?

— Dobrze, poczekam na ciebie.

Niele dwie z radością powróciła matka do izby. Zakrzętnęła się żywo tu i tam, czy wszystko w porządku, a potem wzięwszy klucze przeszła do izby syna.

Długo, długo wpatrywała się rzewnym, pełnym miłości i boleści matczynej wzrokiem w swe dziecko. Wspomniała, gdy był jeszcze maleńkim, jak zaczął stawiać pierwsze kroki, pierwsze wyrazy wymawiać — i uśmiech pełen szczęśliwości okraszył jej lica.

Potem wyszła z izby.

Kwiecie poczęło już podnosić swoje główki. Ranny wiaterek trzpiotowato igrał z jej włosami.

Rozejrzała się wkoło po dobytku swoim. Myślą skierowała się ku córkom i mężowi, jak to teraz oni obejmą pieczę wkoło tego wszystkiego. I patrzeć tylko, jak wiosna wnet przyjdzie i pracy przysporzy...

— Ale gdzież Śmierć? — przypomniała sobie nagle.

Nie dostrzegła jej nigdzie. Aha, tam na ścieżce jednak się ktoś przechadza.

— Już jestem gotowa — mówi matka, ręce wyciągając do widma.

A postać owa ujęła miękko jej dłonie w obie swoje ręce i mówiła głosem łagodnym.

— Już moja siostra — Śmierć odeszła.

— A ty kto jesteś? — zapytała matka.



Jezus Chrystus Król.



Św. Stanisław Kostka.



Komunja św. Stanisława Kostki.
(Obraz w ołtarzu w pokoju, w którym
św. Stanisław mieszkał w Wiedniu).



N. Marja Panna podaje św. Stanisławowi Dzieciątko Jezus.
(Obraz w ołtarzu w kościele św. Andrzeja w Rzymie, w którym
spoczywają szczątki św. Stanisława).

— Ja jestem — Życie.

Pełna niewypowiedzianego szczęścia padła napowrót do izby.

W drzwiach ojciec ostrzegł ją radośnie:

— Cicho, cicho, właśnie co tylko zdręznął się na chwilę. Chwała Bogu, ozdrowiał, zemówił już słów kilka!



Wyrok śmierci.

Działo się to w czasach Oliwiera Cromwella.

Rządy Cromwella zaliczane są do najwietniejszych w dziejach Anglii. Pragnąc osiąść władzę bezgraniczną i potęgę — tyleż rzebiegły, co ambitny — nie cofał się Cromwell nigdy przed najbardziej nawet okrutnym zynem, jeśli chodziło o przykładne ukaranie tych, którzy śmieli stawiać mu choćby najmniejszy opór.

Pułkownik Mayfair, żołnierz armji republikańskiej, był najmłodszym w swej ranze. Pomimo jednak, iż nie miał więcej niż lat trzydzieści, brał już udział w licznych bitwach, to też dzięki niezwykłej odwadze, jako też prawemu charakterowi — zjednał sobie ogólny podziw i szacunek. Powinienby się zatem czuć całkiem szczęśliwym. Cóż tedy zaszło takiego, że twarz ma smutną, gnębioną?

Działo się to w zimie. Noc zapadła. Mrok i szaruga panują na dworze; w komacie cisza złowroga.

Pułkownik Mayfair z młodą żoną siedzą przed kominkiem w milczeniu, znużeni tematem swego przygnębienia.

Modlili się wspólnie; teraz pozostało im tylko — oczekiwanie...

Niedługo pewno czekać będą. Na myśl tej chwili nieszczęsna żona drży z rozpaczy.

Mają tylko jedno, jedyne dziecko, małą siedmioletnią dziewczynkę Abby — jedyną ich miłość.

Jak zawsze wieczorem, tak i dziś przyszła Abby ucałować na dobranoc rodziców. Na jej widok pułkownik przerwał milczenie i rzekł do żony:

— Przez miłość do naszej dzieciny, otrzymy łzy! Niech dziecko nie wie o niczem...

Prześliczna mała dziewczynka z loczkami jasno blond, z twarzą tryskającą uśmiechem, ale ze stanowczą miną, stanęła w progu komnaty, w nocnej koszulince. Szczęśliwa z widoku kochanych rodziców, w podskokach wbiegła do środka.

Bez namysłu wdrapała się na kolana ojca, który przytulił ją do szerokiej piersi i kłiwie począł całować.

— Tatusiu, tatusiu, nie całuj mnie tak bardzo, bo za mocno ściskasz i targasz mi włosy!

I już Abby zabierała się do odejścia, gdy pułkownik zatrzymał ją jeszcze w ramionach, mówiąc:

— Nie odchodź jeszcze, Abby, zostań na mych kolanach! Prawda, że byłem niedobry, ale nie powinnaś się gniewać na tatusia. Co mam zrobić, by otrzymać przebaczenie?

Za chwilę słoneczny uśmiech znów zagrościł na twarzy dziecka, które wsparłszy główkę o policzek ojca, poczęło go prosić o bajeczkę, ale o taką ładną, ładną bajeczkę!

— — — — —
Cyt!...

— — — — —
Rodzice wstrzymali oddech. Nasłuchują... Poprzez wycie wichru dał się słyszeć odgłos miarowych kroków, zrazu daleki, później bliiski, coraz bliższy; kroki stawały się coraz cięższe, coraz cięższe... Wreszcie oddaliły się, zapadły.

Pułkownik z żoną odetchnęli głęboko, rzekłbyś, uniknęli jakiegoś niebezpieczeń-

stwa. Po chwili Mayfair rzekł z zupełnym spokojem:

— Więc prosisz mnie o bajeczkę, i to bardzo, bardzo wesołą, czy tak — Abby?

— O nie tatusiu, opowiedz mi bajeczkę smutną, ale taką smutną, jak gdyby była prawdziwa. Mamusiu, chodź tu do nas, daj mi rękę. O, tak. A teraz, tatusiu, zaczynaj.

Pewnego razu było trzech pułkowników. Podczas jednej z bitew przekroczyli oni dyscyplinę wojskową. Mieli rozkaz demonstrowania ataku na bardzo mocnej pozycji w tym celu, by zwabić nieprzyjaciela i przez to dać możliwość cofnięcia się — wojskom republikańskim. Ale pułkownicy ci, w zapale bojowym, nie zastosowali się do rozkazu, wydali nieprzyjacielowi bitwę, którą, zresztą, wygrali. Wódz naczelny, oddając hołd ich zwycięstwu — wyraził jednak swój gniew dla ich niesubordynacji. Rozkazał im wrócić do Londynu i stawić się przed trybunał wojenny.

— Czy ten wielki wódz, to Cromwell, tatusiu?

— Tak.

— Ja go znam dobrze, ja go widziałam! Gdy jedzie po mieście na swym pięknym rumaku, na czele żołnierzy, to ludzie się go boją — ale nie ja! Ja się go wcale nie boję. On zawsze patrzy na mnie z uśmiechem...

— Oj, ty moja maleńka sroczko!... A zatem, trzej pułkownicy, wróciwszy do Londynu, zostali osadzeni w więzieniu. Ale na słowo honoru wypuszczono ich na krótko na wolność, aby się mogli pożegnać z rodziną — ostatni raz...

Cyt!...

Nasłuchują... Słyszą miarowe kroki... Kroki i tym razem jeszcze oddalają się... giną...

Matka przywarła twarzą do ramienia męża, aby ukryć straszliwą mękę tajoną...

— Wrócili do swych domów dziś rano — ciągnął dalej pułkownik.

Dziecko szeroko rozwarło oczy.

— Więc to, tatusiu, jest historja prawdziwa?

— Tak, dziecino.

— O, jaki ty dobry jesteś tatuńciu! Kończ, proszę cię, kończ czempędzej! Mamusiu, ty płaczesz? Dlaczego, powiedz mi?

— Nic, nic, złoteńko moje — ja tylko pomyślałam o tych... o tych biednych, nieszczęsnych rodzinach pułkowników.

— Nie płacz, nie płacz, mamuńciu, poczekaj, przekonasz się, że wszystko dobrze się skończy. A przedtem, tatuńciu, dziś rano, gdzie oni byli?...

Przed swem uwolnieniem na kilka godzin, osadzeni zostali w Wieży. Tam badali ich sędziowie, którzy stwierdzili ich winę — i wszystkich trzech pułkowników skazali na śmierć.

— Och, jacyż niegodziwi! Mamusiu, mamusiu droga, ty płaczesz? Nie płacz, mamusiu, przekonasz się, że oni nie umrą. Ale kończ już, kończ czempędzej, tatusiu, chcę wiedzieć koniec tej bajeczki!...

— Waham się właśnie, dziecino...

— Powiedz mi, tatusiu, czy ty znasz tych trzech pułkowników?

— Tak.

— Bardzo pragnęłabym ich ujrzeć. Ja bardzo lubię pułkowników. Jak sądzisz, tatusiu, czy chcieliby oni, abym ich pocałowała?

— Jeden z nich szczególnieby tego pragnął — odparł drżącym głosem pułkownik. — Ucałuj mnie za niego.

— Dobrze, lecz i za tamtych, innych... Ja, tatusiu, gdybym ich ujrzała, tobym im to powiedziała: „Moi panowie, wiedźcie, że mój tatuś też jest pułkownikiem, i to bardzo od-

ważnym. Postąpiłby on tak samo, jak wyście postąpili, tedy nie wstydzicie się swego czynu, boście dobrze postąpili.

— Cyt!... Cyt... Słuchajcie!... — Wiatr i to?

— Nie! —

— W imieniu Lorda Generała — otwożyć!

— Tatusiu, tu są żołnierze, pozwól mi, niech ja im otworzę!

Abby skoczyła ku drzwiom, otwierając je naościę i wołając wesoło:

— Proszę, wejdźcie panowie! Tatusiu, tatusiu, to są grenadjerzy!

Żołnierze wkroczyli z bronią na ramieniu. Oficer zsalutował; pułkownik Mayfair, stojąc, oddał mu ukłon. Nieszczęsna żona pułkownika stała za mężem, tłumiąc ból i łzy.. Abby patrzyła zdumiona...

Ojciec długo, długo całował i tulił żonę i córkę.

— Do Wieży! Naprzód, marsz!

I pułkownik opuścił swój dom, w otoczeniu żołnierzy...

— Mamuńciu, spójrz, jaki tatuś piękny, jak on równo kroczy... Tatuś poszedł do Wieży, pewno tam zobaczy tych pułkowników... Tatuś...

— Biedne ty, biedne maleństwo — ledwie mogła wyszeptać matka, oszalała z rozpaczy.

Nazajutrz rano nieszczęsna pani Mayfair nie mogła się dźwignąć z łóżka.

Małej Abby polecono bawić się na dworze, by nie mąciła ciszy zrozpaczonej kobiecie. Przez pewien czas bawiła się Abby przed domem, wkrótce jednak doszła do przekonania, że nieźle byłoby udać się do tatusia, powiadomić go, co się dzieje w domu podczas jego nieobecności...

W Wieży tymczasem trybunał wojenny był już zgromadzony w komplecie przed Lordem Protektorem.

— Powiedzieliśmy oskarżonym — odezwał się jeden sędzia — by z pośród siebie wybrali jednego na śmierć, ale oskarżeni jednogłośnie odrzucili naszą propozycję.

Oblicze Cromwella przestoniła chmura.

— Nie, mimo to nie zginą wszyscy! Będziemy ciągnąć za nich losy. Wezwać ich tu. Ustawicie ich w sąsiedniej komnacie rzędem, twarzą do ściany, z rękami na plecach. Gdy staną tu — zawiadomić mnie.

Zostawszy sam, wpadł w głęboką zadumę.

W chwilę potem zawezwał ordynansa i rzekł:

— Przyprowadź mi pierwsze dziecko, jakie ujrzysz za bramą!

Żołnierz wrócił wkrótce, trzymając za rączkę małą Abby. Dziewczynka śmiało podeszła do Cromwella i bez najmniejszego wahania wdrapała mu się na kolana, ze słowami:

— Ja pana znam dobrze. Pan jest Lordem Generałem. Nieraz pana widywałam, gdy pan przejeżdżał koło naszego domu! Pana się wszyscy ludzie boją, ale ja się pana zupełnie nie boję.

Uśmiech rozjaśnił surowe cienie na twarzy Cromwella.

— Więc pan sobie mnie nie może przypomnieć? A ja pana wcale nie zapomniałam!

— I ja ciebie już teraz nie zapomnę! rączkę ci słowem honoru. Odtąd będziemy już zawsze przyjaciółmi.

— To dobrze, bardzo dobrze. Ale teraz niech mnie pan pohuśta tak, jak to robi mój tatuś!

— Ależ, owszem... Przypominasz mi, dziecko, moją małą córeczkę, która też była miłą i grzeczną, jak i ty. Niech cię Pan Bóg darzy szczęściem!

— A czy pan bardzo kochał swoją córeczkę? Bo mój tatuś to mnie bardzo kocha.

— Kochałem ją nad życie. Co rozkazała, to zawsze spełniłem.

— Więc i ja pana bardzo Kocham! Czy chce mnie pan pocałować?

— Ależ, naturalnie. Ten pocałunek będzie dla ciebie, a ten dla niej. Teraz mi ją zastępujesz, więc co każesz — to spełnię.

Ucieszona Abby aż zaklaskała w ręczki. Nagle, usłyszawszy warczenie bębna, krzyknęła:

— Żołnierze idą! Żołnierze! Panie Generale, Abby chce ich widzieć!

— Za chwilę ich ujrzysz, moja droga, ale przedtem musisz spełnić moją prośbę.

W tym momencie wkroczył do komnaty oficer i zaraportował:

— Już są tam!

Lord Protektor podał Abby trzy małe gałki z wosku: dwie białe, a jedną czerwoną. Czerwona gałka miała wskazać tego z trzech pułkowników, który miał być ponieść karę śmierci...

— Och, jaka to śliczna, ta czerwona gałka! Czy mogę ją zabrać z sobą?

— Nie, dziecko, nie można. Usuń teraz nieco kotarę, zasłaniającą otwarte drzwi, a ujrzysz w sąsiedniej komnacie trzech ludzi, twarzami odwróconych ku ścianie, z rękami na plecach. Każdemu z tych trzech ludzi włożysz do rąk po jednej gałce, a gdy to zrobisz — wróć do mnie.

Abby zniknęła za kotarą...

Cromwell, wstawszy sam, szepnął:

— Bóg jeden tylko wie, na kogo padnie wybór tego małego posła, którego On sam mi zesłał!

Abby, wszedłszy za kotarę, zatrzymała się chwilę, uderzona mrokiem, panującym w komnacie, oraz widokiem żołnierzy i trzech oskarżonych, tkwiących w bezruchu. Lecz nagle twarzyczka jej zabłysła radością.

— O, to i tatuś jest tutaj! Kiedy tak, to otrzyma odemnie najpiękniejszą gałkę!...

Podsłoczyła ku więźniom i powkladała do ich otwartych rąk gałki, poczem wsunęła rękę pod ramię ojca ze słowami:

Spójrz, tatusiu, co masz w ręce! Dałam ci najpiękniejszą gałkę!

Pułkownik Mayfair, ujrzawszy nieszczęsny dar dziecka, świadomy jego znaczenia, porwał dziecko w ramiona, padł na kolana i wybuchnął łkaniem.

Oficerowie, żołnierze i wszyscy świadkowie tej straszliwej tragedji nie mogli się oprzeć łzom.

Ale za chwilę oficer, prowadzący straż, blady, zbliżył się do więźnia, dotknął jego ramienia i rzekł:

— Jest mi niewymownie przykro, panie pułkowniku, ale obowiązek zmusza mnie...

— Co takiego? — pyta zdziwiona Abby.

— Muszę go stąd wyprowadzić. Bardzo mi przykro...

— Wyprowadzić? Dokąd? Ja nie pozwolę! Mama jest chora, więc przyszedłam po tatusia!

Z temi słowy wdrapała się na plecy ojca i owinęła rączkami mu szyję.

— No, chodź już, chodź, tatuściu...

Pułkownik z rozpaczą spojrzał na Abby.

— Moja biedna dziecino, nie mogę pójść z tobą — szepnął głucho.

Abby zsunęła się z pleców ojca, podbiegła do oficera i, tupiąc nóżką, krzyknęła wzburzona:

— Powiadam wam, że mamusia leży chora. Pozwólce tatusiowi iść ze mną. Ja tak chcę!

Widząc, że jej słowa nie skutkują — pobiegła do sąsiedniej komnaty, skąd za chwilę wróciła, prowadząc za rękę Cromwella.

Na widok Lorda Generała rozmowy ucichły. Oficerowie zaszalutowali, żołnierze sprezentowali broń.

— Zatrzymaj ich, panie! Moja mamusia jest chora, więc przyszedłam tu po tatusia, a oni chcą go gdzieś zaprowadzić!

Usłyszawszy to, Cromwell zawołał:

— On jest twym ojcem?

— Oczywiście! to jest mój tatuś, i dlatego dałam mu najpiękniejszą gałkę! Ach, żeby pan tylko wiedział, jak ja kocham mego tatusia!

— Co począć, Boże, co począć?! — zawołał Cromwell.

Zapadł w głęboką zadumę. Szukał jakiegoś wyjścia z tej tragicznej sytuacji.

Abby zesmutniała, ścisnęła niecierpliwie mocno rękę Lorda Generała, wołając:

— Pozwól mu iść ze mną! Sam mi mówiłeś niedawno, że wolno mi tobie rozkazywać, a teraz, gdy pierwszy rozkaz ci dałam — odmawiasz mi!

Rozjaśniło się oblicze Cromwella. Położył rękę na główce małej Abby i rzekł głosem doniosłym:

— Panowie! Sam Bóg sprowadził tu to dziecko, by wskazało nam drogę sprawiedliwości. To dziecko mówi za mnie: Ogłaszam wyrok: więźniowie, jesteście wolni!



Naszyjnik.

Była jedną z tych ślicznych, uroczych dziewcząt, urodzonych jakby przez pomyłkę losu, w rodzinie urzędniczej. Nie miała posagu, nadziei ani sposobności poznawania ludzi, by ją mógł ocenić, pokochać i posłubić jakiś człowiek bogaty i bardziej wpływowy. Pozwoliła się wydać za drobnego urzędniczynę ministerstwa oświaty.

Stała się skromną, nie mogąc się stroić, lecz czuła się nieszczęśliwą i wykolejoną. Cierpiała ustawicznie, czując się urodzoną do zbytków i wykwintu. Cierpiała z powodu ubóstwa swego mieszkania, nagich ścian, zużytych krzesel, lichych materiałów. Wszystkie te szczegóły, których inna kobieta z jej sfery nie byłaby wcale zauważyła, ją drę-

czyły i rozdrażniały. Widok małej dziewczyny, krzątającej się koło jej małego gospodarstwa, budził w niej żale rozpaczne i płonne marzenia. Ona marzyła o zacisznych przedpokojach, przyozdobionych wspaniałymi wschodnimi dekoracjami, oświetlonych wysokimi świecznikami z brązu, gdzie dwaj lokaje w krótkich spodniach drzemaliby w głębokich fotelach.

Gdy siadała do obiadu przy stole okrągłym, nakrytym obrusem, zmienianym tylko co trzy dni, naprzeciw męża, który odkrywając wagę oświadczał z miną rozpromienioną: „Ach! rosół! nie znam nic lepszego“... ona myślała o wykwintnych ucztach, lśniącym srebrze, o potrawach wybrednych, podawanych w kosztownych kryształach.

Nie posiadała sukien ni klejnotów, niczego. A niczego nie kochała tak namiętnie, jak stroje i klejnoty; czuła się urodzoną na damę światową. Tak bardzo pragnęła się podobać, być podziwianą, czarującą i poszukiwaną.

Miała przyjaciółkę bogatą, koleżankę z klasztoru, której nie chciała odwiedzać — tak cierpiała za każdym powrotem do domu. Płakała całymi dniami, z żalu, smutku i rozpaczy.

Pewnego wieczora mąż wrócił do domu z twarzą radosną, trzymając w ręku dużą kopertę.

— Masz — rzekł — oto coś dla ciebie.

Szybko rozerwała kopertę i wyjęła z niej kartę, na której widniały wydrukowane słowa:

„Minister oświaty i pani Jerzowa Ramponneau mają zaszczyt zaprosić pana i panią Loisel, by raczyli przybyć na wieczór w pałacu ministerstwa, w poniedziałek 18-go stycznia“.

Zamiast wpaść w zachwyt, jak tego oczekiwał mąż, gniewnie odrzuciła zaproszenie, mrużąc:

— Cóż ja mam z tem począć?

— Ależ, moja droga, sądziłem, że będziesz zadowolona. Nigdy nigdzie nie bywasz, a oto masz sposobność, i to jaką! Wiele mnie kosztowało trudu, zanim zdobyłem tę kartę. Wszyscy chcieliby pójść, lecz niewielu urzędników otrzymuje zaproszenie.

Patrzył na nią podrażniony, ona zaś odparła:

— Więc cóż chcesz? W co się niby mam ubrać?

On o tem wcale nie myślał. Wymamrotał:

— A ta suknia, w której chodzisz do teatru? Mnie się zdaje, że bardzo byłaby odpowiednia...

Zamilkł, zdumiony, pomieszany, widząc, że żona płacze. Dwie duże łzy spływały powoli z kącików oczu ku kącikom ust. Wyszptał:

— Co ci jest?

Ona jednak wysiłkiem gwałtownym oparowała przykrość i ocierając wilgotne policzki, spokojnym głosem odparła:

— Och, nic. Tylko że nie mam sukien, więc nie mogę być na tym wieczorze. Daj zaproszenie jakiemuś koledze, którego żona może się lepiej ubrać.

Był zrozpaczony. Po chwili rzekł:

— Posłuchaj, Matyldziu... Ile kosztowałyby naprzykład suknia przyzwoita, którą mogłabyś nosić także później, coś bardzo skromnego, powiedzmy?

Namyślała się przez kilka sekund, robiąc w przybliżeniu obliczenia i zastanawiając się równocześnie, jakiej sumy mogłaby zażądać, nie narażając się na natychmiastową odmowę i wykrzyk zdumienia z ust oszczerdnego urzędnika.

— Nareszcie odparła trochę wahająco:

— Nie mogę obliczyć dokładnie, lecz zdaje mi się, że za czterysta franków potrafiłabym coś skleić.

Pobladł trochę, gdyż właśnie taką sumę odłożył sobie na zakupienie strzelby i wzięcie

udziału w polowaniach, na które kilku przyjaciół wyruszało już w najbliższą niedzielę.

Odparł jednak:

— Zgoda. Dam ci czterysta franków, lecz postaraj się, by suknia była ładna.

Dzień uroczysty się zbliżał, a pani Loisel była coś smutna, niespokojna, trwożna. Suknia wieczorowa była już jednak gotowa. Pewnego wieczora mąż spytał:

— Cóż ci znowu? Od trzech dni jesteś taka jakaś dziwna.

Odparła:

— Bo mnie irytuje, że nie mam ani jednego klejnotu, który mogłabym włożyć. Będę wyglądała, jak ostatnia dziadówka. Wolałabym już nawet nie być na tym wieczorze.

— Przypniesz sobie świeże kwiaty — pocieszał. — Bardzo są modne w tym sezonie. Za pięć franków dostaniesz dwie lub trzy wspaniałe róże.

To ją jednak nie przekonało.

— Nie., Niema nic bardziej upokarzającego nad taki ubożuchny strój w pośród kobiet strojnych i bogatych.

Wtem mąż wykrzyknął:

— Jakaś ty niemądra! Przecież możesz u swej przyjaciółki, pani Forestier, wypożyczyć sobie klejnoty na ten wieczór. Znasz ją chyba dość dobrze, by o to prosić.

Wydała okrzyk radości.

— Że mi też to nie przyszło na myśl!

Nazajutrz poszła do przyjaciółki i zwierzyła się jej ze swych smutków.

Pani Forestier podeszła do oszklonej szafy, wyjęła szkatułkę i otworzywszy ją, rzekła:

— Wybieraj, moja droga.

Przeglądała najpierw branzolety, następnie naszyjnik z pereł, krzyż wenecki ze złota, wysadzany kamieniami — arcydzieło roboty jubilerskiej. Przymierzała klejnoty przed zwierciadłem, nie mogąc się z niemi rozstać. Raz po raz zadawała pytanie:

— Nie masz jeszcze czegoś?

— Jeszcze tam coś będzie. Szukaj sama, bo nie wiem, co ci najbardziej przypaść może do gustu.

Nagle w pudełeczku, wyścielonem czarnym jedwabiem, ujrzała wspaniały naszyjnik z brylantów i serce jej zabiło żądzą nieposkromioną. Ręce jej drżały, gdy go wyjmowała z kasetki. Zapięła go na obnażonej szyi i stanęła w zachwycie przed własną urodą.

Następnie, wahając się, z twogą w głosie, spytała:

— Czy nie mogłabyś mi pożyczyć to, tylko to?

— Ależ, rozumie się.

W radosnem uniesieniu gorąco uściślała przyjaciółkę i oddaliła się ze swym skarbem.

Nadszedł dzień uroczysty. Pani Loisel miała ogromne powodzenie. Była piękniejsza od innych kobiet, zgrabna, pełna wdzięku, uśmiechnięta i pijana radością. Wszyscy mężczyźni gonili ją spojrzzeniami, pytali o nią, starali się z nią zapoznać. Wszyscy dygnitarze gabinetu pragnęli z nią tańczyć. Nawet minister ją zauważył.

Tańczyła namiętnie, szalenie, upojona zabawą, zapominając o wszystkim innym.

Odjechała około czwartej nad ranem. Mąż już od północy drzemał w małym saloniku z trzema innymi mężczyznami, których żony doskonale się zabawiały.

Zarzucił na jej ramiona pelerynkę, skromną pelerynkę, rażąco odbijającą od eleganckiego stroju balowego. Ona, czując to doskonale, chciała uciec, by jej nie zauważyły elegantki, utulające się w bogate futra.

Loisel usiłował ją powstrzymać.

— Zaczekaj-że. Przeziębisz się na dworze. Zaraz sprowadzę dorożkę.

Nie słuchając go, szybko zbiegła ze schodów. Gdy znaleźli się na ulicy, nigdzie nie było fiakra wolnego; poczęli się rozglą-

dać, wołając na każdego przejeżdżającego dorożkarza — napróżno.

Ruszyli więc pieszo, zrozpaczeni, drżąc od zimna. Nareszcie dostrzegli jedną z tych starych, nocnych dorożek, których za dnia nie widać wcale w Paryżu, jakby wstydziły się ukazywać swą nędzę w świetle słońca.

Zajechali przed sam dom i smutni weszli do mieszkania. Dla niej wszystko się skończyło. A on, on myślał o tem, że o dziesiątej musi już być w biurze...

Nagle krzyknęła. Nie miała naszyjnika brylantowego!

Mąż, nawpół już rozebrany, spytał:

— Co ci jest?

Zwróciła się do niego, prawie bezprzytomna:

— Ja... ja... nie mam naszyjnika pani Forestier.

Zerwał się przerażony.

— Co!.. Jak to!.. Niepodobna!

I poczęli szukać w fałdach sukni, w zarzutce, po kieszeniach, wszędzie. Bezskutecznie.

Spytał:

— Czy jesteś pewna, że miałaś go na szyi, wychodząc z balu?

— Całkiem pewna. Jeszcze w przed-sionku go dotykałam.

— Gdyby ci jednak był spadł na ulicy, bylibyśmy słyszeli. Chyba w dorożce...

— Tak. Najpewniej. Czy pamiętasz numer?

— Nie. A tyś nie zauważył?

— Nie.

Patrzyli na siebie zdruzgotani. Nareszcie Loisel począł się ubierać.

— Pójdę napowrót tą samą drogą, którą szliśmy. Może go odnajdę.

I wyszedł. A ona w stroju balowym, nie mając sił, by się położyć, pozostała na krześle, zdrętwiała, bez myśli, bez ruchu.

Mąż wrócił około siódmej. Nie znalazł nic.

Udał się do dyrekcji policji, do dzienników, by ogłosić zgubę i przyrzec oddawcy nagrodę, do przedsiębiorstw dorożkarskich, jednym słowem wszędzie, gdzie tylko mógł mieć cień nadziei.

Czekała cały dzień, w stanie zupełnego odętwienia wobec nieszczęścia tak strasznego.

Mąż wrócił wieczór, z twarzą zapadłą, bladą; nic nie odnalazł.

— Musisz napisać do swej przyjaciółki, że złamała się klamra przy naszyjniku i musiałaś ją dać do naprawy. W ten sposób zyskamy trochę czasu.

Napisała pod jego dyktandem.

Po tygodniu stracili wszelką nadzieję.

Loisel, który postarzał się o kilka lat, oświadczył:

— Trzeba naszyjnik odkupić.

Wzięli pudełko ze zgubionego naszyjnika i ruszyli do jubitera, którego firmę odczytali na pudełku. Przejrzał swe księgi, poczem rzekł:

— Nie, pani; ja takiego naszyjnika nie sprzedawałem. Widocznie dostarczyłem samego tylko pudełka.

Zaczęli tedy chodzić od jubitera do jubitera, szukając podobnego naszyjnika, natężając pamięć, oboje chorzy ze zmartwienia i obawy.

Nareszcie znaleźli naszyjnik brylantowy, najzupełniej podobny do zgubionego. Cena czterdzieści tysięcy franków. Oddaliby go za trzydzieści sześć tysięcy.

Prosilili jubitera, by go przez trzy dni nie sprzedawał. Ułożyli się też, że przyjmie go napowrót za trzydzieści cztery tysiące franków, jeśli pierwszy naszyjnik odnajdzie się przed końcem miesiąca lutego.

Loisel posiadał ośmnaście tysięcy franków, odziedziczonych po ojcu. Resztę dożył.

I pożyczał, po tysiąc franków u jednego, pięćset u drugiego, tu sto, tam trzysta. Brał

weksle, zaciągał pożyczki rujnujące, zwracał się do lichwiarzy wszelkiego gatunku. Zaprzedał się na całe życie, podpisywał kwity, nie wiedząc, czy zdoła dotrzymać zobowiązań; i z przerażeniem patrząc w przyszłość, w czarną nędzę, jaka go czeka, zmiażdżony perspektywą niedostatku, wszystkich mąk fizycznych i moralnych, poszedł po nowy naszyjnik, składając na kantorze jubitera trzydzieści sześć tysięcy franków.

Gdy pani Loisel odniosła naszyjnik, pani Forestier rzekła tonem oziębłym:

— Mogłaś mi go zwrócić wcześniej, bo nużbym go była potrzebowała.

Nie otworzyła pudełka, czego pani Loisel tak bardzo się obawiała. Gdybyż tak była zauważyła, że to inny naszyjnik? Coby pomyślała? Coby powiedziała? Czy nie uważałaby ją za złodziejkę?

Pani Loisel poznała życie straszne, niedostatek. Ciężar swój podjęła zresztą odważnie, heroicznie. Trzeba spłacić ten straszny dług. Musi go spłacić. Odprawiono służącą; zmieniono mieszkanie i wynajęto izdebkę na poddaszu.

Poznała grube roboty gospodarskie, wstrętne zajęcia kuchenne. Sama myła naczynie, prała bieliznę i ścierki, susząc je następnie na sznurze, sama wносиła na podwórze śmieci, i dźwigała wodę, odpoczywając co kilka kroków. Ubrana jak służąca, chodziła do sklepu, do rzeźnika, z koszyczkiem w rękę, targując się zaciekle o każdy grosz marnego swego mienia.

Co miesiąca trzeba było spłacać weksle, odnawiać inne, prolongować.

Mąż wieczorami porządkował księgi pewnego kupca, a w nocy przepisywał rękopisy, biorąc pięć centimów za stronicę.

Życie takie trwało dziesięć lat.

Po upływie lat dziesięciu wszystkie długi były spłacone, wraz z procentami i dodatkami lichwiarskimi. Pani Loisel robiła teraz wrażenie kobiety starej. Przy grubej

robotniczej gospodarskiej stała się silną, barczystą, tęgą i ordynarną. Żle uczesana, w podkasanej spódnicy, z czerwonymi rękami, mówiła głośno, szorując podłogę w swej izdebce na poddaszu. Czasem jednak, gdy mąż pracował w biurze, siadała koło okna i myślała przeżywała ów wieczór jedyny, ów bal, kiedy była tak piękną i uwielbianą.

Coby się też było stało, gdyby nie była zgubiła naszyjnika? Kto wie? Jakże życie jest dziwne, zmienne!

Aż tu pewnej niedzieli, gdy wyszła za miasto, by trochę wytchnąć po całotygodniowej pracy, ujrzała nagle kobietę, przechadzającą się z dzieckiem. Była to pani Forestier, ciągle młoda, ciągle piękna, ciągle powabna.

Pani Loisel uczuła dziwne wzruszenie. Czy przystąpić do niej? O, tak. Teraz, gdy spłaciła już długi, może jej wszystko opowiedzieć. Czemużby nie?

Zbliżyła się.

— Dzień dobry, Janino.

Tamta jej nie poznała, zdumiona poufałym zagadnięciem jakiejś mieszczki.

Mruknęła:

— Pani... Ja nie wiem... Pani się chyba myli...

— Nie. Jestem Matylda Loisel.

— Och!... Moja biedna Matyldo, jakże się zmieniła!...

— Tak, miałam czasy bardzo ciężkie, odkąd się z tobą widziałam po raz ostatni; przeżyłam dużo biedy... i to z twego powodu!...

— Z mego... Jakto?

— Przypominasz sobie naszyjnik brylantowy, który mi pożyczyłaś na bal w pałacu ministerstwa.

— Oczywiście. I cóż?

— Zgubiłam go.

— Jakto? Przecież mi go odniosłaś.

— Odniosłam ci inny, zupełnie podobny i oto spłacaliśmy go przez dziesięć lat. Po-

miesz, że to nie było rzeczą łatwą dla nas, nie mających żadnego majątku... Ostatecznie się skończyło i odetchnęliśmy.

Pani Forestier przystanąła.

— Powiadasz, że w miejsce mego naszyjnika kupiłaś brylantowy?

Tak. Nie zauważyłaś tego? No tak, był zupełnie podobny.

I uśmiechnęła się z zadowoleniem i pewną naiwną dumą.

Pani Forestier do głębi wzruszona, ujęła obydwie jej ręce.

— Och, moja biedna Matyldo! Ależ mój naszyjnik nie był z prawdziwych brylantów. Wart był co najwyżej pięćset franków!...



Awantura z dyfterytem.

...A więc, wracając do mego opowiadania — mówiłem już panu, jak strasznie grasował u nas dyfteryt, jak wszystkie matki poszalały ze strachu... Otóż razu pewnego przywołałem moją żonę, poczem rzekłem, wskazując naszą malutką Klarę:

— Moja droga, na twojem miejscu nie pozwoliłbym naszej małej gryźć tego drzewa świerkowego.

— Mój skarbie, cóż to może zaszkodzić? — odparła, ale w tymże momencie wyciągnęła rękę, by je odebrać dziecku; kobiety nie mogą przyjąć nawet najbardziej przekonującej rady, by jednocześnie nie zaprotestować (przynajmniej zamężne tak czynią).

Rzekłem na to:

— Najdroższa, jest rzeczą dowiedzioną, że drzewo świerkowe jest drzewem najmniej pożywnym z tych, jakie może jeść dziecko.

Żona moja cofnęła rękę, która już miała odjąć drzewo od ust dziecka i opuściła ją znów na kolana. Zgniewała się najwidoczniej, rzekła bowiem:

— Mężulku, sam przecie wiesz, że jest inaczej, tak, wiesz to dobrze! Wszyscy lekarze głoszą, że terpentyna drzewa świerkowego jest bardzo skuteczna przy słabej kości pacierzowej i chorych nerkach...

— Ach, — zatem omyliłem się! Nie wiedziałem przecie, że kość pacierzowa tudzież nerki naszego dziecka są zaatakowane i że lekarz nasz...

— A któż tu mówi, że nerki i kość pacierzowa naszego dziecka są zaatakowane? Dziwne przypuszczenia! Nigdy nic podobnego nie dawałam ci do zrozumienia.

— Ależ, najdroższa, niecałe dwie minuty temu mówiłaś...

— Wszystko jedno co mówiłam! Małeż to nic a nic nie szkodzi, jeśli będzie żuła sobie kawałeczek drzewa świerkowego, o ile ma do tego ochotę, i ty wiesz o tem aż nazbyt dobrze! To też powiadam ci, że ona będzie je żuć, i koniec!

— Nie masz potrzeby już nic dodawać, kochana żono. Czuję doskonale siłę twych argumentów, to też każę natychmiast sprowadzić kilka fur najlepszego drzewa świerkowego. Odtąd żadne z mych dzieci nie będzie odczuwać jego braku, póty, póki ja...

— Proszę cię, idź do swego kantoru i pozostaw mnie wreszcie w spokoju. Nie można wtrącić najniewinniejszej uwagi, byś ty się do niej nie przyczepił i nie począł rezonować i rezonować, aż sam zatracisz się w tem, co gadasz — a zresztą, ty wogóle nigdy nie wiesz, co gadasz!

— Dobrze, niech będzie tak, jak chcesz! Zato w twojej ostatniej uwadze był także brak sensu, że...

Lecz zanim skończyłem zdanie, żona już zdążyła wyjść za drzwi zabierając dziecko.

Tego samego dnia przy obiedzie podszła ku mnie z twarzą białą jak kreda.

— O, mężu, znowu nieszczęście! Mały Jurek zachorował!

— Dyfteryt?

— Dyfteryt!

— Czy jest jeszcze jaka nadzieja?

— Najmniejszej! Ach, co teraz będzie z nami?

Po pewnym czasie niańka przyprowadziła naszą Klarcie, aby nam powiedziała dobranoc, oraz zmówiła, jak zwykle, paciorek przy mamusi. Zdarzyło się, że akurat przy słowach: „Położę się do łóżeczka“, troszkę zakaszłała.

Żona moja słysząc to padła zda się gromem rażona. Ale już w chwilę później zerwała się na równe nogi, pełna żarliwej podniety, przejęta lękiem.

Wydała rozkaz, aby łóżeczko dziecka przeniesiono z pokoju dzieciennego do naszej sypialni, przyczem sama przypilnowała, aby rozkaz wykonywano ściśle. Mnie oczywiście też zabrała z sobą. Sprawa została w mig załatwiona.

W ubieralni żony ustawiono łóżko niani. Wtedy wszelako żonusi przypomniało się, że za daleko byłibyśmy od drugiego dziecka — a gdyby i to zachorowało... tu moja biedna żona znów zbladła, jak płótno.

Przenieśliśmy tedy łóżeczko Klarki i łóżko niani z powrotem do pokoju dzieciennego, dla nas zaś ustawiliśmy łóżko w pokoju sąsiednim.

Wszakże wnet potem zauważyła moja żona:

— A jeśli nasz mały zarazi się od Klarki?

Myśl ta na nowo przejęła ją trwogą, wobec czego wspólnymi siłami staraliśmy się w gorączkowym pośpiechu usunąć łóżeczko Klarki z pokoju dzieciennego, przyczem żona moja prawie że poszarpała ten sprzęt w kawałki — tak dalece dziki strach nią miotał!

Przenieśliśmy się na dół. Ale tam znów nie starczyło już miejsca na łóżko niani, a ponieważ żona moja twierdziła, że doświadczenie starej ma dla niej wartość nie-

ocenioną, tedy powróciliśmy z całym bagażem do naszej sypialni, gdzie puczuliśmy się jak ptaki miotane burzą, które nareszcie dostały się do własnego gniazda.

Teraz żona udała się do pokoju dzieciennego, by sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku. Wkrótce powróciła z nowym zmartwieniem.

— Jakie to dziwne, że mały tak mocno śpi?

— Ależ najdroższa, alboż nie sypia on zawsze twardo jak suseł?

— Wiem to. Tylko że teraz w jego śnie jest coś niezwykłego! Tak jakoś dziwnie odycha — tak jakoś miarowo! Och, jakież to straszne!

— Droga moja, przecież on zawsze odycha miarowo.

— Wiem to. Jednakże w tem jest coś straszego! Mamka jest nadto młoda, nie-doświadczona, niech tedy Marynia zostanie przy niej, by była pod ręką, gdyby coś zaszło.

— Świetna myśl! Ale kto tobie będzie pomagał?

— Ty przecież umiesz mi wszystko zrobić, czego będzie trzeba. A zresztą, w takich razach ja muszę wszystko sama robić.

— Uważałbym to za podłość — odparłem, — gdybym ja miał leżeć w łóżku i spać, podczas gdy ty sama będziesz się męczyć z dzieckiem.

Ostatecznie jednak pogodziłem się z tą myślą, poczem stara Marynia napowrót przенiosła się na dawne miejsce w pokoju dzieciennym.

Klarcia aż dwa razy zakaszła przez sen.

— Ach, czemu to lekarza nie widać? Czy nie uważasz, że w pokoju jest za ciepło? W pokoju stanowczo jest za ciepło! Zakręć kaloryfer — tylko prędko!

— Zakręciłem śrubę, spojrzawszy jednocześnie na termometr i pytając się w ci-

chości ducha, czy 15° — nie jest zbyt wysoką temperaturą dla chorego dziecka?

Wreszcie powrócił stangret z miasta z wiadomością, że nasz lekarz domowy jest obłożnie chory. Wtedy żona spojrzała na mnie okiem obumierającym, poczem rzekła złamanym głosem:

— W tem jest palec Opatrzności! Już tak nam było sądzone. Nigdy dotychczas doktor nie chorował, gdy się go wzywało — nigdy. Nie żyliśmy tak, jak powinni byliśmy! Mówiłam ci to raz po raz. A teraz sam widzisz, jakie są tego skutki. Nasze dziecko nie wyzdrowieje już nigdy! Podziękuj Panu Bogu, jeśli się czujesz tu bez winy; ja jednak sobie tego darować nie mogę!

Odparłem, nie chcąc jej bynajmniej urazić, ale i nie licząc się też zbyt ze słowami, że bynajmniej nie uważam, byśmy prowadzili życie zbyt lekkomyślne.

— Czy chcesz, aby na nasze maleństwo spadł dopust Boży?

Poczem rozpląkała się, by za chwilę nagle wykrzyknąć.

— Doktor chyba przysłał lekarstwo!

— Owszem — odparłem, — oto je masz. Czekałem tylko, aż przestaniesz mówić.

— Ależ dawaj natychmiast! Czyż nie wiesz, że każda chwila jest droga? Ale poco lekarz przysłała lekarstwo, skoro choroba jest nieuleczalna?

Zrobiłem uwagę, że tam, gdzie życie nie ustało, zawsze jeszcze jest nadzieja wyzdrowienia.

— Nadzieja! Ty nie wiesz już, co pleciesz! Ty nic nie wiesz, jak nowonarodzone dziecię! — Czy nie zechciałbyś — o Boże, tu naprawdę napisane, co godzina małą łyżeczkę! Co godzina... Jak gdybyśmy mieli przed sobą całe życie do uratowania dziecka! Prędko, daj biedactwu pełną łyżkę stołową, tylko proszę cię, śpiesz się!

— Ależ najmiłsza, pełna łyżka stołowa może jej przecież za...

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Tu, tu, tak, tak, mój skarbie, moja pieśczoćko; wiem, wiem, że to brzydkie, że to gorzkie lekarstwo, ale jest ono Klarci potrzebne, potrzebne mamusinej pieśczoćce... Ono ją uzdrowi. Tak, tak, oprzeź główkę o pierś mamusi i zaśnij sobie dziecinko, bo niedługo i tak — ach mężu, ja wiem, że ona nie dożyje poranku! A możeby tak łyżkę stołową co pół godziny, co, nie? — Och, dziecko musi przyjąć także belladonnę — tak, ona tu byłaby wskazana — a nawet akonit! Przynieś mi akonit. — O, proszę cię, daj mi tylko robić, co ja chcę, ty się nic a nic nie znasz na tych rzeczach.

Poczem udaliśmy się spać. Łóżeczko Klarci postawiliśmy tuż obok łóżka mej żony.

To przestawianie i hałasowanie tak dalece mnie zmęczyło, że już po dwóch minutach spałem więcej niż mocno. Ale wtedy naraz żona zbudziła mnie.

— Mężulku, czy centralne ogrzewanie jest otwarte?

— Nie.

— No, oczywiście. Proszę cię, odkręć natychmiast kurek, w pokoju za zimno.

Odkręciłem kurek i natychmiast zasnąłem ponownie. I znów mnie obudzono.

— Mężusiu najdroższy, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, by łóżeczko postawić obok ciebie. Będzie bliżej półtek.

Uczyniłem, jak chciała, wszedłem jednak przez to w nieporozumienie z poręczą łóżka, wskutek czego dziecko obudziło się. Zasnąłem wszakże ponownie, podczas gdy żona uspokajała chore dziecko!

Po krótkiej jednak chwili przez mgłę sennych majaczeń przebiły się do moich uszu następujące słowa, niby szmer daleki:

— Mężulku, gdybyśmy tu mieli tak smalec gęsi! Może zadzwonisz!

— Napół senny wygramoliłem się z łóżka, nastąpiwszy przytem na kota, który żywo zaprotestował, za co byłoby otrzymał kop-

nięcie, gdyby nie ukrył się pod gościnnym dachem krzeselka.

Na miłość Boską, poco gaz zapaliłeś? czy chcesz obudzić dziecko?

— Muszę przecież zobaczyć, czy bardzo się skaleczyłem.

— Ach, w takim razie obejrzyj krzesło — jestem pewna, żeś je złamał. Biedny kotek. Jak łatwo...

— No, no, co do kota, to już lepiej nie mów nic. — wszystko to nie stałoby się, gdyby tu została Marynia, onaby lepiej ode mnie załatwiła te sprawy, jako że bardziej wchodzą one w zakres jej zawodu.

— Wstydzilibyś się mówić coś podobnego. Smutne to zaiste, że nie chcesz wykonać nawet tych kilku błahostek w tak strasznych chwilach, gdy nasze dziecko...

— No dobrze już, dobrze, robię wszystko, co tylko chcesz... Tylko tym dzwonkiem nie dodzwonię się nikogo — wszystko śpi. Gdzie jest ten gęsi smalec?

— Na kominku, w dziecinnym pokoju. Możebyś zechciał pójść i zapytać o to Marynię?

Przyniosłem gęsi smalec i położyłem się do łóżka. Ale znów zawołano na mnie.

— Mężusiu, tak mi przykro przerywać ci sen, lecz widzisz, jest tu jeszcze za zimno, by móc zrobić dziecku nacierania. Rozpalno ogień w kominku. Nic więcej nie trzeba tylko podpalić.

Zebrałem się w sobie i rozpałem ogień. Poczem zgnębiony, usiadłem.

— Ależ na miłość Boga, nie siadaj, bo to śmierć pewna w takim zimnie! połóż się do łóżka!

Gdy kładłem się, znowu zawołała: — Ach, proszę, możebyś tak wpierv dał dziecku lekarstwo!

Uczyniłem i to. Było to takie lekarstwo, które tylko mogło co najwyżej obudzić dziecko. Pauzę, która nastąpiła podczas snu Klarci, miła moja wykorzystała w ten sposób, by

ją rozebrać i natrzeć jej całe ciało gęsim smalcem. W chwilę potem zasnąłem, lecz poto tylko, by znowu być zmuszonym do wygramolenia się z ciepłych pieleszy.

— Mój kochany, czuję jakiś przeciąg. Nic tak nie szkodzi przy dyfteryście, jak właśnie przeciąg. Proszę cię, przesuń łóżeczko bliżej do ognia.

Uśluhałem, a że znów wpadłem w kolizję z poręczą łóżka, tedy wrzuciłem ją bez ceremonji do ognia. Zobaczywszy to, moja żona wyskoczyła z łóżka jak z procy, by wyratować poręcz — zamieniliśmy z sobą kilka odpowiednich słów. Poczem przez kilka sekund mogłem spać. Na żądanie żony jednak dzwignąłem się znowu, by skonstruować okład z siemienia, który miał być położony dziecku na piersi.

Ognisko z drzewa nie jest czemś stałym. Musiałem tedy wstawać co dwadzieścia minut, by podtrzymywać ogień na kominku, a moja żona korzystała z tych sposobności, by pauzy pomiędzy jednym dorzuceniem drzewa a drugim możliwie skrócić za każdym razem o dziesięć minut. Sprawiało jej to niebywałą przyjemność. Od czasu do czasu zmieniała poprzedni okład z siemienia, lub kładła prócz tego jeszcze plastry z musztardy i innych rzeczy, tam gdzie jeszcze było choć trochę miejsca na ciałku dziecka.

Nad ranem wyszedł nam zapas drzewa, wobec czego moja żona postawiła wniosek, abym zeszedł do piwnicy po nowe naręcze.

— Moje dziecko — odważyłem się odezwać, — jest to praca dość uciążliwa, czy nie uważasz, że dziecku jest aż za ciepło w podwójnej sukience? — Czy nie należałoby raczej ponowić okład?...

Nie dokończyłem, ponieważ przerwała mi zacna połowica. Przez pewien czas dzwigałem tedy drzewo z piwnicy, poczem przylgnąłem do poduszki i chrapnąłem tak potężnie, jak tylko może chrapać człowiek śmiertelnie znużony.

Dopiero, gdy słońko już jasno świeciło, poczułem rękę, chwytającą mnie za ramię. I nagle ujrzałem nad sobą przerażoną żonę, nie będącą w stanie tchu złapać. Gdy tylko powróciła jej władza języka — rzekła mi:

— Wszystko stracone — tak, wszystko! Dziecko się poci! Co teraz począć?

— Na miłość boską, jak ty mogłaś mnie tak przestraszyć! Nie wiem, co robić. Możebyśmy wyjęli Klarcie z łóżeczka i postawili w przeciągu?

— Ach, ty idjoto! Niema ani minuty czasu. Pędź po lekarza. Pędź sam. Powiedz mu, że musi przyjść, żywy czy umarty!

Wyciągnąłem biednego chorego człowieka z łóżka i przyprowadziłem do nas. Obejrzał małą i orzekł, że nie umrze. Dla mnie była to radość nieopisana, zato moją żonę doprowadziło to do wściekłości, jak gdyby lekarz wyrządził jej osobistą krzywdę. Lekarz orzekł, że kaszel został spowodowany nieznacznym podrażnieniem krtani. Obawiałem się, że moja żona pokaże mu drzwi po tych słowach. Następnie lekarz powiedział, że da dziecku środek na wywołanie silniejszego kaszlu, by usunąć tegoż przyczynę. Po przyjęciu tego środka Klarcia dostała gwałtownego ataku kaszlu, przyczem z ust jej wyleciało parę drzazg drzewnych.

— Dziecko nie jest chore na dyfteryt — zauważył lekarz — gryzło zapewne kawałek drzewa świerkowego, czy coś w tym rodzaju i kilka drzazg dostało się do krtani. To mu nie zaszkodzi.

— O, tak, chętnie w to wierzę — odparłem. — Przeciwnie, terpentyna, którą to drzewo zawiera, bardzo jest dobra przy niektórych chorobach dziecięcych. Moja żona najlepiej to panu potwierdzi.

Nie uczyniła jednak tego, przeciwnie, odwróciła się do nas tyłem, pełna oburzenia i opuściła pokój.



Droga rzodkiewka.

Pewnego jasnego dnia wiosennego poszedłem na spacer z żoną i zauważyłem niezbyt daleko od domu plakat z napisem, treści następującej:

„Tu oddaje się w dzierzawę działki pod ogrody!“

Weszliśmy przez bramę, nad którą wisiał plakat. Przed nami rozpostarł się duży plac, zadrzewiony. Żona wytłumaczyła mi, że to są jabłonie i grusze. Na drzewach nie było jeszcze owoców, a gdy niema owoców, nie umiem odróżnić jabłoni od drzewa wiśniowego.

W cieniu drzew biegła droga szeroka. Stał na niej człowiek jakiś i dłubał coś kijem w ziemi. Nie uklonił się nam; nie egzystowaliśmy wogóle dla niego. Domyśliłem się odrazu, że to musi być właściciel tych działek.

Zaczelśmy rozmawiać z nim. Zgodził się pokazać nam działkę, którą mógłby ostatecznie wydzierzawić nam za 100 złotych rocznie. Powierzchnia działki tej wynosiła ściśle trzysta metrów kwadratowych. Na placyku tym stała niewielka altanka drewniana która stawała się na rok naszą wyłączną własnością. Do placyka należał również stół i trzy krzesła trzcinowe.

Po godzinie kontrakt został zawarty. Zostałem właścicielem posiadłości, agrarjuszem.

Najbliższego dnia ubrałem się w zielony strój ogrodnika i długie buty. Z udziałem połowicy mej nakupiłem mnóstwo najróżnorodniejszych narzędzi ogrodniczych, które osobiście zaniósłem do swej posiadłości, obładowany, jak tragarz.

Robiło mi to przyjemność.

Właścicielowi, naturalnie, zapłaciłem całe sto złotych zgóry.

Następnie kupiłem mnóstwo metrów płótna szarego, którem obiliem wnętrze na-

szego drewnianego domku-altanki. Jednocześnie żona sprowadziła mnóstwo garnków z zieloną farbą olejną, którą wymalowała wszystko, co tylko było drewniane, nie wyłączając własnego nosa, rąk i ubrania.

W pocie nie tylko czoła, lecz całego do słownie ciała, zacząłem kopać swój ogród i dość zręcznie przeprowadzać dróżki i ścieżki, posypane piaskiem. Następnie kupiliśmy różnych nasion: sałaty, rzepy, dyni, rzodkiewek, pietruszki, fasoli, cebuli, groszku, szpinaku. Przygotowałem wiele zagonków wedle wszystkich prawideł sztuki ogrodniczej, poczem posialiśmy i posadziliśmy nasiona i odtąd codziennie nosiłem po trzydzieści wiader wody z dość odległej studni.

Właściciel placu, widząc, jak pracuję wytrwale, nie mógł się mnie nachwalić. Chciał nawet skłonić mnie do tego, abym zaraz podpisał kontrakt i na rok następny, lecz jakiś głos wewnętrzny szepnął mi, żeby lepiej się zatrzymać.

Po trzech dniach od daty zasiewu na grządkach ukazały się pierwsze zielone źdźbła, z których byłem wielce dumny, lecz żona moja powyrywała je, gdyż, jak się okazało, było to zwykłe zielsko.

Gdy deszcz padał, cieszyłem się. Pamiętam, że dawniej każda kropla deszczu doprowadzała mnie do wściekłości; byłem święcie przekonany, że deszcz stworzony został specjalnie poto, aby psuć człowiekowi spacer. Teraz wiedziałem, co znaczy deszcz. Deszcz — to urodzaj. Deszcz — to sałata. Deszcz — to rzepa, fasola, pietruszka. Teraz po całych godzinach chętnie pracowałem właśnie podczas deszczu, choć żona w taki czas zwykle nie chodziła do naszego ogródka. W jeden z takich dni wykryłem znów na niektórych grządkach jakieś potworne zielsko, które sam powyrywałem. Ażeby pochwalić się przed żoną, przyniosłem zielsko do domu.

Żona zemdlała.

Po dojściu do przytomności z płaczem rzekła mi:

— Zniszczyłeś wszystkie dynie w ogródku!

Był to dzień bardzo smutny, gdyż zupa z dyni jest ulubioną naszą potrawą. Czy można jednak zgadnąć na widok jakiejś głupiej trawy, co z niej wyjdzie: zielsko czy porządna, uczciwa dynia?

Kalafiory rosły pięknie. Młoda sałatka wyglądała tak delikatnie, tak pociągająco, choć była tylko wielkości paluszka małego niemowlęcia.

Najbardziej jednak cieszyła nas rzodkiewka. Ach, jak ona rosła!

Prawie tak, jak zielsko!

Obok świeżej zieleni naszych grządek, stara darnina wydawała się rudawą i brzydką, pomimo, iż strzygłem ją codzień prawie i obficie podlewałem. Wtedy postanowiłem za poradą żony skopać cały gazon i posiać nową trawą. Po dwóch tygodniach trwożliwego oczekiwania ukazały się pierwsze żdzbla trawy.

Co to była za radość!

Nasz właściciel trzymał kury. Stara kwoka wodziła swe kurczęta po wszystkich działkach, a kurczęta — zdaje się — specjalnie pokochały za coś mnie. Nie było mi to nieprzyjemne. Pewnego razu leżę sobie w leżaku ogrodowym i czytam jakąś piękną książkę; słyszę, że wokół mnie sielsko szczeniącą kurczęta i gdaka gniewnie kwoka. Nagle nadbiega żona i krzyczy jeszcze z daleka:

— Wypędź kurczęta! Zjedzą nam wszystką sałatę.

Było już zapóźno. Kurczęta podziobały wszystkie delikatne listki sałaty i szpinaku. Teraz zrozumiałem, dlaczego mnie tak pokochały.

Zacznę się streszczać: kalafiory pożarły gąsienice, pietruszka i marchew wcale się nie ukazały, fasola po kilku próbach wypro-

stawiania się, skończyła samobójstwem, dynie wyrwałem własnoręcznie, biorąc je, jak już mówiłem, za zielsko, młodą trawkę na gazonach wypaliło słońce, szpinak i szczypiorek, posadzony na brzegu grządek wyrwały jakieś ręce zbrodnicze.

Pociechą naszą były rzodkiewki. Ach, jak pięknie rosły one! Pocieszały nas również jabłka i gruszki. Wiele z nich spadało z drzewa robaczywych, lecz czekaliśmy cierpliwie, aż reszta dojrzeje. Czas ten zbliżał się szybko, coraz częściej musiałem oganiać się przed różnymi urwiszami, którzy nieprawnie włązili ciągle na płot nasz w pogoni za nie-dojrzałymi owocami. Gdy nadszedł czas urodzaju i pewnego dnia zjawilem się w ogrodzie, z bólem serca przekonałem się, że w nocy wszystkie jabłka i gruszki zniknęły.

Był to duży cios, lecz przewyżczyliśmy z żoną nasz smutek.

Czyż nie pozostały nam jeszcze rzodkiewki?

I na nie przyszedł wreszcie czas. Zebrałiśmy okrągłą liczbę: 30-ci sztuk ślicznych rzodkiewek. Razem z zielenią uformowały się dwa duże pęczki. Zanieśliśmy swój plon do domu, z dumą pokazując go szwajcarowi i sąsiadom, którzy nam zazdrościli z całej duszy.

Wieczorem przy kolacji rzodkiewki miały grać rolę deseru i uwieńczyć naszą skromną ucztę. Zaledwie dotknęliśmy smacznych koltetów, ser został z powrotem usunięty z pogardą do kredensu. Wzięliśmy się z apetytem do rzodkiewek. Pierwsze dwie, największe były łykowate i niezdarne do jedzenia. Następne dwie okazały się sparciałe. A pozostałe dwadzieścia sześć — podobne do pierwszych.

To był cały nasz plon. I za to zapłaciłem sto złotych dzierżawy i pięćdziesiąt przeszło złotych na różne wydatki. Za to w ciągu lata dźwignąłem trzy tysiące wiader wody.

Obliożyłem, że każda rzodkiewka kosztowała mnie pięć złotych gotówką i sto wiader wody.

Teraz rozumiem, jak trudny jest zawód rolnika. Rozumiem, że obywatel ziemski ma słusne prawo skarżyć się i płakać. Ja płacę razem z nim...



Zapisana w testamencie.

Roztrząsano w kółku przyjaciół kwestję, często omawianą przez moralistów: czy ojciec lub mąż mają prawo wpływać za pomocą testamentu lub też przez ostatnie prośby i zaklęcia przed śmiercią, by osierocone dzieci lub wdowa wstępowały albo nie wstępowały w związki małżeńskie z pewną osobą?

Wszyscy obecni zawyrokowali jedno-myślnie, że takie rozporządzenie ostatniej woli jest jednym z najbardziej nierozsądnych, na jakie się człowiek może zdobyć, chociażby zresztą zamiar zmarłego był czysty i szlachetny. Niejaki pan Descombes, notariusz z okolicy Paryża, rzekł:

— Poznałem w wykonywaniu mego zawodu wiele przykładów takiej nierozwagi i odradzam zasadniczo klientom moim, którzy są skłonni mnie słuchać. Ci, którzy mimo moich uwag inaczej postępują, są często powodem wielu nieszczęść. Opowiem panom wypadek najbardziej bolesny, na który z bliska patrzałem i w którym brałem udział.

W czasie, gdy byłem jeszcze tylko pierwszym pomocnikiem w mej dzisiejszej kancelarii, przyjmowano mnie bardzo chętnie w towarzystwie naszego małego miasteczka, które, chociaż tak bliskie Paryża, czyni wrażenie głębokiej prowincji. Lubiałem tańczyć i wygrywałem wcale przyzwoicie kadryle i walce na fortepianie u sędziego lub inżyniera. Byłem wesół i ochoczy, jak każdy, kto ma dwadzieścia pięć lat; a mając dwie-

ście franków pensji od mej rodziny, życzliwych przyjaciół, oraz nadzieję zastąpienia pewnego dnia mojego szefa, pana Gobin, na jego fotelu, czułem się w mym jednostajnym zawodzie niewymownie szczęśliwym.

Młody praktykant bez majątku spogląda z zajęciem na panny na wydaniu. Było ich dość w naszym towarzystwie, jedne były posażne, inne bardzo miłe, niektóre nawet ładne. Nie potrzebowałem nawet tańczyć dużo kotylionów, by zauważyć, że los sprawiedliwy rzadko kojarzy te trzy przymioty w jednej i tej samej osobie, blondynce lub brunetce. Będąc młodzieńcem rozsądnym i praktycznym, byłem grzeczny wobec wszystkich panien, jednak nie patrzyłem zbyt blisko w oczy bardzo piękne. Wybór mój padł na małą osóbkę, do której się nikt nie garnął, bo była skromna i nieśmiała, a przytem nieładna. Gdy ją w pięć lat później poprowadziłem do ołtarza, przyniosła mi w posagu fotel pana Gobin i byłem z nią przez cały czas naszego pożycia małżeńskiego bardzo szczęśliwy, niestety zbyt krótko, bo tylko przez siedmnaście lat...

Tu urwał pan Descombes i jak się należało, poświęcił chwilę skupienia wspomnieniu zmarłej żony, które właśnie wywołał. Później podjął dalej swoje opowiadanie:

— Mój najlepszy przyjaciel Huvelin, urzędnik pomocniczy przy podatkach, był mniej rozsądny odemnie. Sam biedny, zakochał się szalenie w najbiedniejszej z naszych danserek, pannie Reginie de Pillière, córce kapitana piechoty, który po wojnie poszedł na pensję. Kapitan de Pillière był wdowcem, córka jego ze szczupłych pensyj, jakie pobierał ojciec jako wysłużony oficer i jako oficer legji honorowej, umiała pokrywać potrzeby gospodarstwa i prowadzić dom w sposób nadzwyczaj oszczędny. Należy jeszcze dodać, że Regina była zachwycającą brunetką i że Huvelin, również chłopak bardzo przystojny, pozyskał sobie jej wzajemność



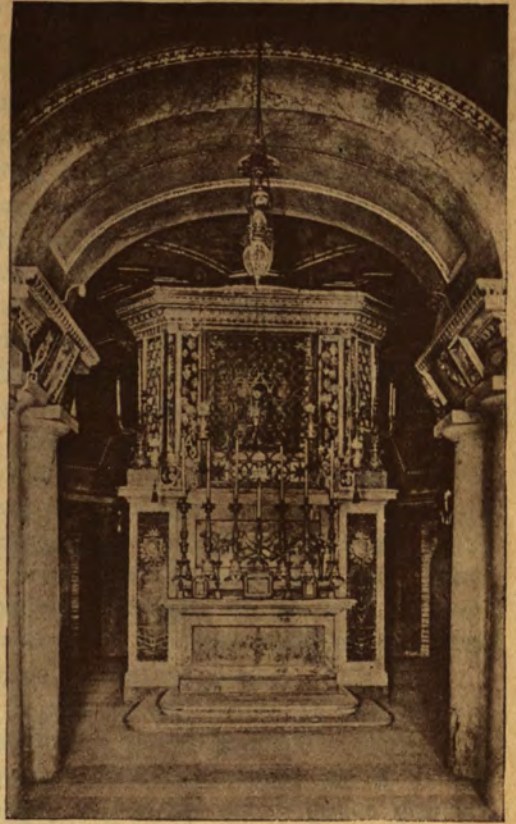
Kaplica św. Stanisława Kostki w Rzymie.
(obok celi, w której umarł).



Posąg św. Stanisława w jego kaplicy w Rzymie.



Św. Franciszek z Asyżu.



Grób św. Franciszka.



Św. Franciszek błogosławi Asyżowi.



Olden's Institute



Dr. Richardson's portrait



w tym stopniu, że przez wzgląd na niego odrzuciła była bardzo dobrą partję, młodego Couberta, syna wybitnego przemysłowca w naszym mieście... Rozumie się, ku wielkiemu zmartwieniu pana de Pillière.

Domyślcie się niezawodnie rozwiązania tego małego dramatu na prowincji? Pan de Pillière dostał w sześćdziesiątym piątym roku życia pierwszego ataku apopleksji, który mu sparaliżował prawe ramię, nie nadwerężył jednak wcale sił umysłowych. Regina pielęgnowała chorego ojca z bezprzykładnem poświęceniem, ale w siedm miesięcy później ponowny atak pozbawił go życia.

Pozostawił córkę bez żadnego utrzymania. W portfelu jego znaleziono testament, w którym wyraża obawę i niepokój o przyszłość jedyne go swego dziecka. Poleca w nim ukochaną córkę opiece jednego ze swych przyjaciół, wysokiego funkcjonariusza jeneralnego sztabu. Końcowy ustęp opiewał jak następuje:

— Jeżeli moja ukochana córka, Regina, pragnie, bym spał spokojnie w mogile, błagam ją i zaklinam, aby zmieniła swoje poprzednie postanowienie i poślubiła p. Franciszka Couberta, który ją szczerze miłuje...

Regina zdobyła się na heroizm. Oświadczyła Huvelinowi stanowczo, że nie ma się od niej niczego spodziewać, i poślubiła Franciszka Couberta. Pamiętam, że to ja pisałem bruljon kontraktu. W owym czasie miałem serce tak czułe, że opuściłem łzę na sam środek arkusza, co mi ściągnęło surowe upomnienie ze strony mego zwierznika, pana Gobina.

Tak tedy Regina stała się panią Coubert. Miała dzieci i opływała w dostatki. Coubert był w gruncie rzeczy poczciwym człowiekiem i dobrze się z żoną obchodził. A jednak Regina nie czuła się szczęśliwą. Wiedziałem o tem, bo gdy Huvelin porzucił swą posadę i opuścił nasze strony, prze-

niosła na mnie, jako jego najbliższego przyjaciela, część tej życzliwości, jaką zachowała dla nieobecnego.

Podczas tych dwudziestu lat, które trwała nasza przyjaźń, poznałem dziwny wypadek, mianowicie, że kobieta, w istocie uczciwa, może dochować wierności równocześnie dwom mężczyznom, mimo, że zdaje się tu zachodzić sprzeczność i że wierność wobec jednej osoby zdaje się wykluczać wierność względem drugiej. Regina była swemu mężowi zupełnie wierną, ale mimo to nie odebrała Huvelinowi nigdy tej części swego serca, którą mu niegdyś oddała. Coubert wiedział o tem, ale nic sobie z tego nie robił; był to człowiek wesoły, który używał rozkoszy życia i nie gubił się w czułościowych abstrakcjach. Aby tylko żona jego była przystojna i apetytna, aby była dobrą gospodynią i strzegła honoru jego ogniska domowego, to mu wystarczało do szczęścia i niczego więcej nie pragnął.

Regina jednak, mimo upływu lat, nie zapomniała o swem cierpieniu; rana, jaką zadano jej pierwszej miłości, nie zablizniła się nigdy a ja z mej strony jestem głęboko przekonany, że właśnie ta rana stała się przyczyną choroby nerwowej, której młoda kobieta przedwcześnie uległa, w chwili, gdy doszła do wieku dla kobiet krytycznego.

Historja, którą panom opowiadam, mógł dalek notariusz, nie zawiera w sobie do tychczas nic nadzwyczajnego, albowiem wiele kobiet doznało takiego losu, i mógłbym przytoczyć dziesięć podobnych wypadków, w których byłem świadkiem lub powiernikiem. Teraz jednak zaczyna się część rzeczywiście zajmująca, gdyż historja Reginy miała później rozwiązanie, lub raczej koniec prawdziwie romantyczny.

Gdy biedna kobieta znalazła wreszcie wieczny odpoczynek, pomagałem jej mężowi w porządkowaniu papierów, jakie po zmarłej pozostały. Na szczęście nie znaleźliśmy

nigdzie wzmianki o cierpieniach moralnych, jakie za życia przeżyła. Tajemnica ich pozostała u niej i u mnie. Z głębokim wzruszeniem stwierdziliśmy, że przechowała u siebie z dziecięcym pietyzmem wszystkie pamiątki, pozostałe po ojcu, nawet wykłady ze szkoły w Saint-Cyr, które pan de Pillière chętnie przeglądał w czasie ostatnich miesięcy swej choroby.

Otóż, otwierając machinalnie jeden z zeszytów, znalazłem w nim kartkę papieru listowego, całą pożąłką, a na niej następujące wyrazy, kreślone ledwie czytelnie, ręką niezgrabną i drżącą:

„W obliczu śmierci, która mnie już napół powaliła, czuję, że nie mam prawa rozporządzać sercem mego dziecka. Odwołuję rozporządzenie, zawarte w ostatnim ustępie mego testamentu z 18-go stycznia. Regina może w wyborze męża iść za głosem swego serca“.

Jak wyżej wspomniałem, było to pismo dziecka, które ledwie zaczęło stawiać pierwsze litery, a więc właśnie pismo kapitana, gdy w międzyczasie, między dwoma atakami apopleksji, ćwiczył się w kreśleniu liter lewą ręką.

Czy Regina dowiedziała się po nie-wczasie o tem odwołaniu nieszczęsnego rozporządzenia? Nigdy mi nic o tem nie wspominała i przypuszczam raczej, że w istocie zmarła, nie dowiedziawszy się o tem. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że owa kartka papieru pozostała niepostrzeżona w zeszycie, do którego ją zmarły po napisaniu włożył. Regina przechowała z czią relikwie ojcowskie, ale nie można przypuszczać, by zaglądała kiedy do wykładów geometrii opisowej.

* * *

Tak tedy całe życie tej zachwycającej kobiety zostało złamane przez ścisłe przestrzeganie ostatniej woli ojca, co mówię? raczej fałszywego wyrazu tej ostatniej woli!...

Regina poświęciła swe życie na ołtarzu straszliwej pomyłki!

Wyznaję, że byłem tem odkryciem do głębi wstrząśnięty. Pan Coubert zauważył moje wzruszenie. Nie mogłem go powstrzymać od przeczytania fatalnej kartki.

Trwało czas jakiś, nim zrozumiał, o co idzie. A gdy już pojął, czy wiecie panowie, co mi powiedział, rzewnie płacząc, gdyż zresztą żonę swą kochał szczerze i ból jego był prawdziwy:

— Co za szczęście, mój przyjacielu, co za szczęście, że Regina nie znalazła tej kartki przed naszym małżeństwem!



Nieszczęśliwy narzeczonny Aurelji.

Smutna i zagmatwana historia, opowiedziana mi przez Aurelję wśród błagań o ratunek ze wzruszającą gadatliwością, która głąz nawet nieczuły byłaby w stanie zmiekczyć — przedstawia się, jak następuje.

W 16-tym roku życia, poznała pewnego młodego człowieka starszego od niej o jakie lat sześć, nazwiskiem Williamson Breckinridge Caruthers, i zakochała się w nim z całym ogniem swego wrodzonego temperamentu. Zaręczyli się niebawem za zgodą obu rodzin i czas jakiś zdawało się, że czeka ich życie szczęśliwe, wolne od trosk, zatrważających zazwyczaj ludzkie egzystencje. Naraz odwróciło się szczęście: Caruthers zachorował na ospę a kiedy wyzdrowiał, twarz biednego chłopca podobna była do pilnika, uroda zniknęła na zawsze. W pierwszej chwili Aurelją miała ochotę zerwać, lecz litosć dla nieszczęśliwego przemogła w jej sercu i odłożono tylko na parę miesięcy zaślubiny, aby się biedaczka miała czas oswoić z obecnym stanem jego oblicza.

Wtem w dniu, naznaczonym na ślub, wpada Breckinridge, zapatrzwszy się na

szybujący w przestworzu balon, do rowu i łamie nogę, którą musiano mu uciąć wyżej kolana. Znowu niewiele brakowało do rozwiania się zamierzonego związku, lecz miłość zwyciężyła i tym razem, Aurelja odłożyła tylko dzień ślubu, aby się mieć czas przystosować do zmienionych okoliczności.

Tymczasem wrogi los nawiedza ponownie młodego człowieka. Przedwczesny wystrzał armatni na festynie urywa mu jedno ramię, a drugie, w trzy miesiące później, młockarnia. Dwie te straszliwe katastrofy o mało nie stały się ciosem śmiertelnym dla serca nieszczęśliwej Aurelji. Ból nie do opisanego rozdzierał je, kiedy musiała patrzeć, jak jej ukochanego ubywa kawałek po kawałku. W łzawym strapieniu żałowała, że nie została jego żoną zaraz po pierwszym nieszczęśliwym wypadku, podobnie do giełdowego gracza, który zaraz po pierwszym spadku kursu stara się o pokrycie. Poskromiła w sobie jednakże wszystkie, wzbudzone tem, co się stało, uczucia i postanowiła się pogodzić z tak zredukowanym obecnie uposażeniem ziemskiej powłoki swego narzeczonego.

Lecz co powiecie? — za ponownem zbliżeniem się daty ślubu — nowe nieszczęście!... Caruthers zapadł na oczy i stracił jedno z nich! Krewni narzeczonej, mniemając, że Aurelja uczyniła już dla swej miłości znacznie więcej, niżeli najbardziej wymagający mógłby od niej wymagać, oczekiwali z jej strony zerwania zaręczyn. Tymczasem, po pewnem wahaniu, wielkoduszne dziewczę oświadcza, że rozważywszy z całym spokojem spadłe na Breckinridge'a kalectwa, nie widzi w nich nic takiego, coby go miało wykluczać z jej serca. Odłożyła tylko znowu dzień ślubu a on tymczasem złamał drugą nogę.

Smutny to był dla biednej Aurelji dzień, kiedy patrzeć musiała, jak lekarze zabierali z poważnemi minami worek, którego prze-

znaczenie tak dobrze znała od czasu poprzedniej amputacji, a który zaostrzał w niej bolesne przeświadczenie, że oto znowu kawałek jej narzeczonego ubywa bezpowrotnie. Czując wszakże, że skłonność ku nieszczęsnemu coraz głębiej w jej serce wstąpiła, odtrąciła wszelkie perswazje rodziny, i raz jeszcze, w terminie przypuszczalnego wygojenia się Caruthersa, nazaczyła ślub.

Na krótko przed owym terminem — zważcie, co za fatalność — nieszczęście zysła nowy dopust. Tego roku Indjanie Owens Riwer oskalpowali jednego z białych i tym jedynym oskalpowanym białym był właśnie nasz biedny William Breckinridge Caruthers. W powrocie do domu postradał ni stąd ni z owąd na wiek wieków swe piękne włosy.

Otóż Aurelja nie wie, biedactwo, co ma właściwie począć. Kocha swego Breckinridge'a pomimo wszystko nie przestanie jej być drogiem nad życie i to, co zeń jeszcze pozostało, rodzina jej jednak sprzeciwia się już teraz ich połączeniu z całą stanowczością, ponieważ Caruthers nie jest zdolnym do żadnej pracy a oboje nie mają majątku — „więc co ja mam wobec tego wszystkiego począć?“ kończy z rozpaczliwym zapytaniem, pełnem bólu i trwogi.

Trudna jest zaiste i drażliwa odpowiedź na to pytanie, tyjące się dożywotniego szczęścia kobiety z blisko dwoma trzeciami częściami mężczyzny, — czuję też wielką odpowiedzialność, jakąby na mnie włożyło sformułowane odpowiedzi w tonie rozstrzygającym. Napomykając jednak mimochodem o możliwości nadania Caruthersowi i dziś jeszcze względnie zbliżonej do normalnego człowieka postaci za pomocą drewnianych członków z dobrej fabryki.

Ponieważ to wszystko, co się już stało, odstać się nie może, udzielić Caruthersowi trzymiesięcznej zwłoki na wygojenie się i jeśli do tego czasu karku nie skręci, za-

wrzeć z nim ślub i pozostawić resztę zwykłemu biegowi rzeczy. Cóż bo już obecnie panna Aurelja ryzykuje?... Jeżeli jej narzeczony zachowa w dalszym ciągu swój szczególny talent podpadania cielesnym uszkodzeniom przy każdej nadarzającej się sposobności, najbliższy przypadek już go uśmierci, a w takim razie — zameżna czy wolna — pozbędzie się go raz na zawsze. Prócz tego, gdybyś za niego, panno Aureljo, wyszła — owdowiawszy, nie postradałabyś go w gruncie rzeczy całego, lecz tylko jego części żyjące, części drewniane zaś, metalowe, szklane i t. d. mogłabyś schować sobie na pamiętkę, skutkiem czego i strata twoja o tyle byłaby mniejsza i mniejbyś potrzebowała wylać łez żalu na opłakiwanie ułomka tylko swego szlachetnego ale nieszczęśliwego męża, co nie oszczędziłby zapewne rzetelnej fatygi okazania się godnym oddanej mu przez ciebie rączki. Spróbuj więc, panno Aureljo! Ja, rozważwszy sprawę wszere i wzdłuż, nie mogę znaleźć innego wyjścia. Byłoby wprawdzie ze strony Caruthersa daleko piękniej, gdyby był zaczął w swoim czasie szereg sypiących się na niego katastrof od przeciwnego końca, to znaczy, odrazu od skręcenia karku. Skoro jednak tego nie zrobił, skoro wołał smętnym kolejom swych ubywających członków nadać rozwlekłość możliwie największą, przystosujmy się do okoliczności, oddajmy mu rączkę... Jeśli się kogoś tak gorąco, jak pani jego, kocha, należy spróbować, ma się prawo spróbować...



Podarunek.

Powóz nasz zatrzymał się, by zmienić konie, trzeba było nieco zaczekać, bo wszystkie były zajęte.

Wtem zbliżył się do nas biedny starzec ze swym psem, podnieśli głowę z wyrazem obawy i prośby, żebrak niósł w rękę

kapelus, a zwierzę blaszaną miseczkę w pysku, Uprzedziła mnie żona i delikatnymi palcami wydobyła z małej jedwabnej sakiewki monetę, którą rzuciła starcowi w kapelus, a słodki uśmiech jej zdawał się mówić do nieszczęśliwego: wybac mi tę jałmużnę, którą ci daję. Biedak musiał to zrozumieć, wdzięczne jego spojrzenie odpowiedziało: Bądź błogosławiona, młoda paro! oby wam szczęście długo sprzyjało, niechaj rozkosze wasze długie trwają lata!.., Ona się domyśliła tych słów w jego wzroku, bo drobna jej dłoń uściśnęła moją rękę.

Biedak i stary pies jego usiedli na kamiennym ławie, obok żołnierza, który miał także psa, ale młodego, śmiałego, spoglądającego odważnie na przechodniów. Żołnierz strudzony położył broń koło siebie i dzielił się skromną wieczerzą z swym towarzyszem podróży.

Wtem głuchy turkot, zrazu niewyraźny, zbliżał się coraz bardziej i ujrzełmy wspinałą karatę, poprzedzaną kurjerem na dzielnym rumaku, który z głośnym krzykiem domagał się koni. Koni jednak nie było, nowi przybysze musieli więc czekać zarówno z nami. Rzuciłem szybkie spojrzenie do wnętrza tego świetnego powozu, siedział w nim młody jeszcze mężczyzna obok bardzo pięknej kobiety, ale kwaśne ich miny i gniewne twarze mówiły, że się sprzeczą z sobą z zawziętością i goryczą.

Wkrótce mężczyzna odwrócił się gwałtownie od swej towarzyszki i wychylił głowę przez okno powozu. Wtedy to zbliżył się do niego stary żebrak ze swym psem, z nieufnością i trwogą, chcąc obudzić litość podróżnego. Ten jednak rzucił im brutalną obelgę, iza zakręciła się w oku starca i zwolna powrócił na swe miejsce.

Do karety zaprzężono świeże konie, słudzy rzucili na ziemię resztki swego śniadania, a oba psy, żebraka i żołnierza, poskoczyły ku nim.

Wtem konie ruszyły z miejsca tratując jednego z psów, który się dostał pod koła powozu — był to pies żebraka. Jeszcze jeden krzyk wydał i zwrócił ostatni raz gasnące oczy na swego pana, który pogrążony w ponurej rozpacz upadł obok niego na ziemię, nie mogąc znaleźć łyż w suchych żrenicach.

— Masz, mój pocziwcz — zawołałem i dwie monety potoczyły się u stóp jego, ale on na nie nie zwrócił uwagi i patrzył wciąż na martwe wierne zwierzę.

Stary żołnierz płakał i wydawał się bardzo dotknięty tem nieszczęściem, a potem zdobywając się na widoczne wysilenie, zbliżył się szybko do starca i dając mu w rękę powróż, do którego był pies jego uwiązany, rzekł:

— Oto weź go, biedny człowieku, ja wkrótce przybędę pod strzechę mego ojca, zostawiam ci więc mego wiernego Hektora.

I ocierając pokaleczoną dłonią oczy, pochwylił torbę podróżną i prędkim oddalił się krokiem. A stary żebrak głaskał swego nowego towarzysza, lecz oczy jego wciąż były zwrócone na psa nieżywego. Helena zaś rzekła do mnie: Ten żołnierz od nas szczęśliwszy, on ofiarował temu biednemu swego wiernego towarzysza, a my nic mu innego dać nie mogli prócz pieniędzy.



Zasadzka.

Było to w roku 1594. Cudny dzień sierpniowy miał się ku końcowi, słońce rzucało już skośno promienie swe na kwitnące pola i lasy w okolicy miasta Bordeaux. Rośliny ożywione świeżym i orzeźwiającym wietrzykiem podnosiły od ziemi swe pochylone łodygi, a ptaki gotowe do snu układały się na zielonej posadzce leśnej, żegnając hałaśliwym koncertem zachodzące słońce.

W owym czasie wewnętrznych zamieszek i wojen domowych rzadko kto odważał się wydalac z miasta, a gdy go do tego niezbędna zmuszała potrzeba, uzbrajał się dobrze sam lub częściej puszczał się pod osłoną zbrojnego orszaku, tak obawiano się rzezimieszków i opryszków, którzy niepokoiłi okolice, łupiąc i ściągając bogaty okup od podróżnych.

Tego dnia jednak, o którym wspomnieliśmy, o godzinie, kiedy robotnicy przerywają pracę, dwóch mężczyzn opuściło Bordeaux, zdążając ku pobliskiemu laskowi. Nie mieli oni na sobie płaszczów żołnierskich, ni tarcz, pancerzy, ani też długich sztyletów u boku, niezbędnych w owym czasie do wojennego rynsztunku, a jednak rusznice o długich, ołowianych lufach, w które się zaopatryli, wskazywały dobitnie, że celem ich wycieczki nie jest zwykła przechadzka.

Czas jakiś stali w milczeniu, ukryci w zaroślach, przez które wiodła droga do miasta, i spoglądali ku niej z niecierpliwością, aż wreszcie jeden z nich przerwał milczenie:

— Nic jeszcze nie widać — wykrzyknął, miotając dzikie przekleństwo — a oto ósma wybiła na kościele św. Andrzeja. Czy możesz sobie wytłumaczyć to spóźnienie, Bertrandzie?

— Wiesz co, Maurycy? — odparł drugi towarzysz, który wydawał się mniej zdecydowany — jeżelibyś mnie chciał posłuchać, zaniechalibyśmy naszego przedsięwzięcia. Prawdopodobnie pomyliłeś się co do dnia i nasza wyprawa jest chybiona.

— Chybiona, powiadasz? Nie, zanadto jestem pewny swego. Czyż nie jesteśmy w połowie sierpnia i czy nie jest to pora, o której regularnie przeor św. Dominika wyjeżdża pobierać dziesięciny? Stary ten mnich bogaty i czeka nas piękna zdobycz.

— Targnąć się na sługę bożego! — zawołał Bertrand — to okropna zbrodnia.

— Ba, na najbliższym jubileuszu użyjemy odpuszczenie. Zresztą, czy ci słudzy kościoła nie żyją za nasze koszty? A tenże właśnie, czy miał litość nad tobą, gdy cię zawezwano do oficjała za to, żeś pozwolił sobie zabić kilka nędznych królików, własność duchownego magnata?

— To prawda. Plecy me mogą jeszcze potwierdzić, ile mnie kosztowały te przekłete króliki. Ale przeor znów nieraz wsparł mego ojca, mego biednego ojca, który przezemnie nędznika chodzi o kiju żebraczym. Dziś właśnie wyruszył z miasta zbierać jałmużnę po wsiach okolicznych i tą drogą ma wracać. Gdyby ujrzał, jakim się trudnię rzemiosłem, nie przeżyłby tego.

— Wiecznie te skrupuły — przerwał mu niecierpliwie Maurycy. — Biedny głupcze! Czy twoja uczciwość wybawi cię od śmierci głodowej, czy pomoże ci poślubić twą ukochaną Gertrudę, córkę polowego Raimbanda?

— Przebóg, poco wymówiłeś to nazwisko? Tak, to musi się stać, niech się spełni moje przeznaczenie!

— Milcz! — przerwał mu Maurycy, przykładając ucho do ziemi — słyszałem odgłos jakiś. Na Boga, nic nie straciliśmy, czekając cierpliwie. Odwagi, fortuna zbliża się do nas!

I w istocie, ledwie tych słów domówił, obłok kurzu podniósł się zdała, a rozchodząc się zwolna odstąpił powóz przeora klasztoru św. Dominika, który się zbliżał ciągniony leniwie przez cztery silne muły. Po drugiej zaś stronie drogi stąpał z trudnością starzec o siwej brodzie w łachmanach, dźwigając wór żebraczy, powóz przeora zastał go całkowicie.

W tej właśnie chwili, gdy podróżni dosięgli końca lasu, Maurycy trącił łokciem towarzysza.

— Teraz baczność — rzekł cicho, opatrząc broń — ja biorę na siebie pocztyljona, ty celuj do lokaja. Gdy tych dwóch

sprzątniemy, wszystko pójdzie jak z płatka, Baczność, pal!

I zarazem sam wykonał komendę, lecz proch spalił mu się na panewce, a rusznica nie wypaliła. Bertrand otarł zimny pot z czoła i strzelił odwróciwszy głowę. Kula świsnęła gwałtownie, a o ich uszy odbił się głuchy jęk. Maurycy rzucił się na drogę. Bertrand podążył za nim machinalnie, ale powóz przeora już był daleko. Huk strzału, przerażając muły, przyspieszył jeszcze ich krok.

— Przekleństwo! — wykrzyknął Maurycy — chybiliśmy ich. Lecz kogoż traficieś? Zdawało mi się, że słyszałem coś, jakby...

I w tejże chwili dostrzegł o kilka kroków starca, leżącego na ziemi, bez życia, a przy nim kałużę krwi.

— Popatrz tam — mówił chłodno dalej — oto twoja zwierzyna. Ładne miałeś polowanie.

Ale Bertrand już go nie słuchał. Na jeden rzut oka poznał starca, z przeraźliwym krzykiem rzucił się na te zimne zwłoki, obejmując je z rozpaczą w sercu. Nieszczęśliwy zabił własnego ojca!...



Kelner, piwa!...

Poco wszedłem tego wieczora do owej piwiarni? Sam nie wiem. Wszedłem bez potrzeby, gdyż wcale nie czułem pragnienia.

Spojrzeniem szukałem miejsca, gdzie nie będę zbyt krępowany i usiadłem obok jakiegoś człowieka, który wydał mi się starym i palił fajkę glinianą, czarną jak węgiel. Siedm czy ośm spodków, wznoszących się przed nim na stole, wskazywało liczbę wypitych już piw. Nie przyglądałem się wcale memu sąsiadowi. Na pierwsze spojrzenie poznałem w nim piwosza, jednego z tych stałych gości, przychodzących do piwiarni rano, skoro tylko otworzą lokal, a odchodzących wieczór, gdy go zamykają. Był brudny,

łysy w samym środku czaszki, a długie, tłuste włosy, koloru soli i pieprzu, opadały mu z tyłu na kołnierz surdutu. Ubranie zbyt szerokie, zdawało się pochodzić z czasów, gdy miał potężny brzuch. Widać było, że spodnie wcale się nie trzymały na szelkach i że idąc musiał co parę kroków podnosić je i podciągać do góry. Czy nosił kamizelkę? Sama myśl o obuwiu i jego zawartości, wprost mnie przerażała. Mankiety wystrzępione, miały obrzeżenie tak samo czarne, jak jego paznogie.

Zaledwie usiadłem obok niego, osobnik ów zagadnął mnie całkiem spokojnie:

— Dobrze się miewasz?

Drgnąłem i szybko zwróciłem się doń twarzą.

Rzekł: — Nie poznajesz mnie?

— Nie!

— Des Barrets.

Ośłupiałem. Był to hrabia Jan de Barrets, dawny mój kolega z gimnazjum.

Uściskałem mu rękę, tak pomieszany, że nie mogłem znaleźć słowa.

Nakoniec wyjąkałem: — A — jakże tobie?

Odparł spokojnie: — Ot, żyję, jak mogę.

Zamilkł. Chciałem być uprzejmym... poszukiwałem słów. — I... co właściwie robisz?

Rzekł z rezygnacją: — Widzisz przecie.

Czułem, że się czerwienię. Nalegałem jednak: — Ale tak wogóle... codziennie?

Wyrzucając z ust gęste głęby dymu, rzekł:

— Codziennie to samo.

Poczem dzwoniąc monetą w marmurowy blat stołu, krzyknął: — Kelner, dwa piwa!

Jakiś głos odległy powtórzył: — Dwa piwa do czwartego! A inny głos, jeszcze dalszy, odrzucił: — Dobrze! Następnie ukazał się mężczyzna w białym fartuchu, niosąc dwa piwa, z których piana żółta spływała na piaskiem wysypaną podłogę.

Des Barrets duszkiem wychylił szklanicę i postawił ją na stole, ocierając pianę, która mu osiadła na wąsach.

Następnie spytał: — I cóż nowego?

Rzeczywiście, nie miałem mu nic nowego do powiedzenia. Wyjąkałem więc: — Och, nic mój stary. Ja bo jestem przemysłowcem.

Równym swym głosem zapytał: — I... to cię bawi?

— Nie! co jednak począć? Przecież człowiek musi coś robić.

— A to czemu?

— By... się czems zająć.

— I naco to się zda? Ja nic nie robię, jak widzisz, nigdy nic nie robię. Gdy się niema grosza, rozumiem, że trzeba pracować. Ale jeśli się ma z czego żyć, uważam to za niepotrzebne. Poco pracować? Czy to robisz dla siebie, czy dla drugich? Jeśli dla siebie, to widocznie cię bawi, bardzo więc dobrze; jeśli zaś dla drugich, toś głupiec.

Poczem, kładąc fajkę na marmur stołu, znów krzyknął: — Kelner piwa! I mówił dalej: — Gadanie podnieca mi pragnienie. Nie zwykłem mówić. Tak, tak, ja nic nie robię, żyję tak z dnia na dzień, starzeję się. Umierając, nie będę żałował niczego. Nie będę miał żadnych wspomnień, prócz tej oto piwiarni. Nie mam żony, ni dzieci, ni trosk, ni zmartwień, nic. Tak lepiej.

Wychylił szklanekę, którą mu tymczasem przyniesiono, językiem przesunął po wargach i znów zabrał się do fajki.

Patrzyłem nań w zdumieniu. Po chwili spytałem:

— Ale przecież nie zawsze byłeś takim?

— Przepraszam, zawsze byłem taki sam, od czasów szkolnych.

— Ależ, mój drogi, to przecież nie jest życiem. To straszne. Musisz przecież coś robić, musisz coś kochać, masz zapewne przyjaciół.

— Nie. Wstaję w południe. Przychodzę tutaj, zjadam śniadanie, piję piwo, czekam nadejścia wieczoru, zjadam obiad, piję piwo; następnie około pół do drugiej wracam do

siebie, by się położyć, gdyż tutaj zamykają. To mnie najwięcej nudzi. Od lat dziesięciu spędziłem z pewnością sześć na tej ławce, w moim kącie, a resztę w łóżku — nigdzie indziej. Niekiedy rozmawiam z przychodzącymi tu gośćmi.

— Co jednak robiłeś zaraz po przybyciu do Paryża?

— Studjowałem prawo... w kawiarni.

— A potem?

— Potem... przeprowadziłem się na drugi brzeg i przyszedłem tutaj.

— Poco zadałeś sobie tyle trudu?

— Cóż chcesz? Trudno pozostać przez całe życie w dzielnicy studenckiej. Studenci zbyt są hałaśliwi. Stąd się już nie ruszę. Kelner, piwa!

Sądziłem, że drwi ze mnie. Począłem nalegać:

— No, bądź szczerym. Musiałeś mieć jakąś wielką zgrzyotę? Zapewne miłość nie-szczęśliwa? Tak, z pewnością ugodził w ciebie jakiś cios straszny. Ile masz lat?

— Trzydzieści trzy. Wyglądam jednak co najmniej na czterdziestopięcioletniego.

Przyjrzałem mu się bacznie. Jego twarz pomarszczona, zaniedbana, robiła wprost wrażenie starczej. Na samym szczycie czaszki fruwało kilkanaście długich włosów, niedostatecznie osłaniając skórę, czystości bardzo wątpliwej. Miał olbrzymie brwi, bujne wąsy i gęstą brodę. Gdym tak nań patrzył, mignęła mi nagle przed oczyma, nie wiem dlaczego, miednica ciemnowej wody, w której obmyto całą tę skórę.

Rzekłem: — Istotnie wyglądasz na starszego, niż jesteś. Niewątpliwie musiałeś mieć wiele przejść ciężkich.

Odparł: — Zapewniam cię, że nie. Wyglądam staro, ponieważ nigdy nie bywam na świeżem powietrzu. Nic nie rujnuje człowieka tak bardzo, jak życie kawiarniane.

Nie mogłem uwierzyć.

— Musiałeś też hulać porządnie? Bez tego nie miałeś takiej łysiny.

Spokojnie potrząsnął głową, siejąc na swe plecy jakiś drobny pył biały, który wypadał z ostatnich jego włosów.

— Nie, ja zawsze byłem rozsądny. — I podnosząc oczy ku lampie gazowej, ogrzewającej nam głowy, dodał:

— Jeśli jestem łysy, to z powodu gazu. To wróg włosów... Kelner, piwa!... A ty nie masz pragnienia?

— Nie, dziękuję. Ale doprawdy, to mnie mocno zajmuje. Od jak dawna jesteś tak zniechęcony? Przecież to nie jest normalne, ni naturalne. Coś się pod tem ukrywa.

— Tak, to się datuje od mego dzieciństwa. Gdy byłem dzieckiem, ugodził we mnie cios, który raz na zawsze pomalował mi życie na czarno.

— Cóż to było?

— Chcesz wiedzieć? Więc słuchaj. Przypominasz sobie zapewne zamek, w którym się wychowałem, bo byłeś u mnie coś pięć czy sześć razy podczas wakacyj. Pamiętasz ten wielki szary budynek, pośród ogromnego parku, i długie aleje dębów, biegnące w czterech kierunkach. I pamiętasz ojca mego i matkę, oboje ceremonjalni, namaszczeni, surowi.

Matkę ubóstwiałem, ojca się obawiałem, oboje otaczałem szacunkiem, przyzwyczajony zresztą do tego, że wszyscy przed nimi uchylali czoła.

Ja miałem wówczas lat trzynaście. Byłem wesół, zadowolony ze wszystkiego, jak to zwykle bywa w tym wieku, pełnym radości życiowej.

Aż tu pod koniec września, na parę dni przed moim powrotem do gimnazjum, gdy bawiłem się w wilka wśród gąszczy parku, pędząc po liściach i zaroślach, przebiegając jedną z alei, ujrzałem rodziców, przechadzających się opodal.

Pamiętam wszystko dokładnie, jakby to było wczoraj. Dzień był bardzo wietrzny.

Drzewa uginały się pod naporem wichury, jęczały, zdawały się wydawać krzyki, krzyki głuche, głębokie, jakie lasy wyrzucają z siebie podczas burzy.

Liście zerwane, całkiem już żółte, ułatywały jak ptaki, wirowały, spadały, następnie pędziły wzdłuż alei jak zwierzątka szybkonogie.

Zapadał wieczór. Ciemno robiło się wśród zarośli. Ten szum wiatru i gałęzi podniecał mnie; pędziłem przed siebie jak warjat i wyłem, starając się naśladować wilka.

Zaledwie ujrzałem rodziców, zacząłem się ku nim skradać chyłkiem popod gałęzie, by nagle wypaść, jak prawdziwy włóczęga.

O parę kroków od nich przystanąłem jednak, zdjęty trwogą. Ojciec mój, w uniesieniu straszliwym, krzyczał:

— Twoja matka jest głupia; zresztą nie idzie tu o matkę, lecz o ciebie. Powiadam ci, że potrzebuję tych pieniędzy i czekam, byś podpisała.

Matka tonem stanowczym odpowiedziała:

— Nie podpiszę. To majątek Janka. Muszę go zachować dla niego, i nie pozwolę, byś go przepuścił z dziewczkami i służącami, jak zrobiłeś ze swoim spadkiem.

Wówczas ojciec, trzęsąc się cały z wściekłości, chwycił matkę za szyję, a drugą z całej siły zaczął ją bić po twarzy.

Kapelusz spadł jej z głowy, włosy rozproszyły się po plecach. Próbowała uniknąć ciosów, lecz jej się to nie udawało. A ojciec jak warjat bił ją, bił i bił.

Rzuciła się na ziemię, ukrywając twarz w dłoniach. Wówczas przewrócił ją na plecy, by ją bić jeszcze, usunąwszy ręce, którymi zastaniała sobie twarz.

Co do mnie, mój drogi, to miałem wrażenie, że nastał oto koniec świata i prawa wieczyste zostały odwrócone. Doznałem wstrząśnienia, jakiego się doznaje wobec rzeczy nadnaturalnych, katastrof potwornych,

klęsk niepowetowanych. Mój umysł dziecięcy był całkiem zbląkany, ogłupiały. I zacząłem krzyczeć ze wszech sił, sam nie wiem czemu, zdjęty strachem okropnym, bólem, przerażeniem potwornym. Ojciec usłyszał, odwrócił się, dostrzegł mnie i podniósłszy się z ziemi, szedł ku mnie. Myślałem, że mnie zabije i począłem uciekać, jak zwierzę ścigane, biegnąc prosto przed siebie w las.

Lasem szedłem godzinę lub dwie — sam nie wiem jak długo. Gdy noc nadeszła, padłem na trawę wyczerpany i tak pozostałem, przerażony, pełen lęku, trawiony bólem, mogącym raz na zawsze złamać biedne serce dziecka. Zimno mi było, może też głód mi dokuczał. Tak doczekałem rana. Nie śmiałem wstać z miejsca, ni pójść gdzie, ni powrócić do domu, ni dalej uciekać, z obawy napotkania ojca, którego nie chciałem już widzieć.

Byłbym może umarł z głodu i cierpienia pod owym drzewem, gdyby mnie nie był odkrył leśniczy i gwałtem odprowadził do zamku.

— Rodzice mieli zwykłe swe miny. Tylko matka mi powiedziała: — Jakże mnie nastraszyłeś, niedobry chłopcze; przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nic nie odpowiedziałem, tylko zacząłem płakać. Ojciec nie rzekł ani słowa.

W tydzień później wróciłem do gimnazjum.

I oto mój drogi, wszystko się dla mnie zakończyło. Widziałem odwrotną stronę rzeczy, tę złą, i od tego dnia nigdy już nie zobaczyłem dobrej. Co dokonało się w mym duchu? Nie wiem. Nie miałem już jednak ochoty ni chęci do niczego, ani miłości dla kogokolwiek, ani żadnego życzenia, żadnych ambicji, ni nadziei. I ciągle widzę moją biedną matkę, leżącą na ziemi w alei parkowej, gdy ojciec ją katował... Matka zmarła w parę lat później. Ojciec żyje dotychczas. Ale go już nie widziałem od tego czasu... Kelner, piwa!...

Przyniesiono mu piwo, które połknął jednym łykiem. Gdy jednak brał fajkę ze stołu, drżał tak silnie, że fajka wypadła mu z ręki i potłukła się w drobne kawałki. Uczynił ruch rozpaczliwy, mówiąc:

— To prawdziwe zmartwienie, do-prawdy! Miesiąc potrwa, zanim sobie za-dymię nową.

I w ogromną sałę, pełną już teraz dymu i piwoszy, rzucił swe zwykłe:

— Kelner, piwa!... I nową fajkę!



Konie z licytacji wojskowej.

Podniosły się głowy pyzowiańskie, gdy gruchnęła wieść po wsi, że rząd sprzedaje po bardzo dogodnych cenach konie wojenne. Na całym Podhalu nie odbyło się tyle narad gminnych, publicznych i poufnych, familijnych i kumoterskich, co w jednej Pyzówce. Gmina zostawiła obywatelom wolną rękę: kto chce, niech kupuje. Rząd głosi, że warto, gmina nie przeciwi się temu, ale też i nijak nie doradza, żeby potem nie było jakich mętów. Dobrze, ale niebardzo. Gazdowie, póki radzili między sobą, chętkę do kupna mieli, ale jak ino zaczęli sprawę ruszać z babami — wielu odpadło. Bo baby, jako baby. Ani tam może żadna tyle nie umyśli, co powie, ale jak jedna z drugą zaczął gadać — amen: robi się zamieć koło człeka i na niczem się już wtedy nie wyznasz.

— Kupujcie, kupujcie, nakupicie se ino kłopotu — warczały. — Rząd akurat Pyzówce sprzeda dobre konie. A juści. Pyzówka mu spać nie daje. Słychana rzecz? Pewnie tam ma kaliki jakie, z którymi nie wie, co zrobić, i spycha to na biedny naród. A potem przyjdzie znowu do jakiej ru-chawki i bądź zdrów — kupiłeś rządowe, dawaj pierwszy...

W dzień oznaczony przez starostę zja-wiła się na targu nowotarskim biedota z różnych stron — biedota taka, że i tych starganych wojną szkap nie miała bardzo czem płacić. Z Pyzówki było wszystkiego pięciu młodszych gazdów na targu, w tem trzech (jeden wolowaty!) przyszło ino tak na prześpiegi i na zwiady, czy się zaś nie wyszykowała jaka nowa krzywda na naród chłopski. Dwóch jednak Szymek Kondziara, co to niedługo miał się żenić, i Wojtek od Skupnia Łaś, niedawno ożeniony — ci przy-szli kupić i kupili.

Zwiadowcy wrócili z miasta pierwsi i postawili całą wieś na nogi. Kiedy Wojtek i Szymek dowlekli się ze swemi szkapami na jakie dwa, trzy stajania od Pyzówki, wieś wyległa przed izby, ku opłotkom, na pola, gdzie kto mógł. Obaj młodzi gazdowie zamiarkowali odrazu, że tu już oszacowaii ich mądrość na wieki. Szymek radził za-wrócić i przejść przez wieś nocą. Ale Wojtek się zaciął.

— Niech patrzą, choroby zatracone — kłął, zgrzytając zębami. — To wiedzę, na co mnie stać Ja tu nie spekulował przez wojnę...

Szymek szarpał swą kobyłę, żeby szła prędzej, ale szkapina nie mogła, bo zbiedo-wana była setnie. Kasztan Wojtka, wychudły tak, że kości zdawały się sterczeć na nim, ruszał się podobnie, jak i kobyła, chwiejnie i niepewnie. Doszli do pierwszych chałup. Odtąd zaczynała się droga iście krzyżowa, droga przez wieś. Z każdej szpary, z ka-żdego okienka, z za węglów i z za płotów, zewsząd wyzierały oczy, oczy i oczy. Oczy ciekawe i szacujące odrazu konie, chłopa i jego rozum, oczy żazdrosne (na wszelki wypadek!) i dokuczliwe, oczy do rozpuku roześmiane, najgorsze ze złych. Na dobitek kobyłsko Szymka około obejścia samego wójta rozkroczyło się szeroko, jak nie przy-

mierzając krowa, zrobiło swoje, a potem nie mogło ruszyć z miejsca.

— Ta będzie po cysarzu! — syknął ktoś z za płotu.

I w te loty znalazło się koło kobyły paru gazdów, którzy z miłosiernym uśmiechem śpieszyli pomóc Szymkowi poskładać — jak powiadali — tych parę kości i popchnąć pod górkę... Szymka omal wciurności nie porwały i na kobyłę i na ludzi. Ale hamował się. Hamował się i głośkał ją, ludziom dziękując za pomoc. Ruszyła wreszcie. Nie uszła jednak i stu kroków, gdy znów przed Falfiarzowem obejściem rozkroczyła się i na nowo wrosła w ziemię. Stanął i Wojtków kasztan, zwiesiwszy smętnie łeb ku ziemi. Falfiarz oderwał się od okna i wyszedł z izby ku młodym gazdom. Do Wojtka nie miał żadnej śmiałości, ale Szymkowi, który u niego chciał się żenić, przychwalił odrazu, że niby kobyłę kupił rozłożystą i niemitrężną. Obejrzał ją uważnie, a gdy dostrzegł i narodził wielkości pięści na jej szyi, zaśmiał się radośnie.

— Będzie pasowała do Pyzówki. Wól do wola.

Szymek zaciął zęby. Żeby nie Falfiarzowa Wiktusia, żeby nie ona, Boże ty mój — nie dałby on tu mamrotać i mlaskać temu gratowi, ale... nieporada. Łagodnie jęli obaj gazdowie przegadywać do swych kalek, aż pierwszy ruszył kasztan. Poruszyła się wreszcie kobyła, ale — jakby już dość mając wszystkiego — zбочyła nagle od drogi i jakąś przemocną wolą skierowała się ku Falfiarzowej stajni.

Z za wszystkich węglów rozległ się nieokielznany śmiech.

— Na namówiny idzie!...

Teraz już i Falfiarzowi dość było tego. Szymkowi nie był bardzo przeciwny, Wiktusię tak jakby mu przyobiecał, o weselu sam przebąkiwał, ale żeby przez jego głupią szkapę przyjść z familją na śmiech ludzki —

to nie mogło być. Wyrwał kołek z płotu i przyodział nim szkapinę tak rzetelnie, że omroczona przygięła się i cofnęła bezwolnie ku drodze.

Szymek zgrzany, zziąjany, zły, rękawem otarł pot i z trudem tamowane łzy, zepchnął siłą — mocą kobyłę na drogę, wziął twardo za pysk i pchał ją dalej, ku swemu obejściu.

Jakiś czas poddawali Wojtek i Szymek swoim koniom, co tylko mogli, zabrały się też już dobrze, ale jeszcze nic nie robiły. Bali się gazdowie wstydu. Sprowadzili więc na naradę znanego w okolicy handlarza i znawcę koni Tadeusza. Ten im mówi:

— Chłopcy moi, nic się nie bałamućcie. Ja kupuję i sprzedaję wszystko. Pokaże się, że końska płone — ja wam je puszcze. Pokaże się, że dobre — chowajcie. Za mojego kupiectwa sprzedałem do tej wsi waszej zatraconej ino raz i tylko jedno kobyłsko — a było to na jaki rok przed wojną. Alem tu jeszcze nigdy nic nie kupił. To kobyłsko kupiłem w Starem Mieście. Niedrogie to było, myślę se, zostanie to u mnie, będzie tu Jędrus, niby syn mój, podjeżdżał, bo to spokojne i robotne. Przywiódł ja to do chałupy tak, jak na niedzielę, a o tydzień musiałem z tem gnać na jarmark do Nowego Targu.

— Ej?

— Dyćby mnie ta kobyła wyjadła ze wszystkiego. Dyć to krowa bo to poprostu powiedzieć — krowa, żadnego honoru końskiego, żadnego umiaru nie miała... I dopiero — wiecie — trzeba było Pyzowiana, żeby ją odkupił.

— Któżby to tu był w Pyzówce, co ją kupił? — zagadnął Szymek.

Tadeusz przymarszczył brwi, oczy wbił w powałę, szukał w pamięci.

— Średni gazda był, oczami gonił, jak postrachany, tyrtolił strasznie dużo, a o piątkę,

coby mu opuścić, po rękach chciał całować...
Ja mu tam i opuścił co nieco, ale ten dziadyga nawet potem litkupu nie postawił.

— Falfiarz! — uderzył pięścią w stół Wojtek.

— Falfiarz, hej — powtórzył Tadeusz.—
On Falfiarz będzie, bo i u nas są Falfiarze i tacy sami.

Tymczasem Wojtek podprowadził swego kasztana. Tadeusz zmrugał prawe oko, zmierzzył kasztana od stóp do głów, obszedł go raz i drugi dokoła, zajrzał mu w zęby, poklepał po łopatce, obejrzał jedno i drugie kopyto, popróbował kolan, zajrzał mu w oczy, i po chwili, kiedy już stał z boku, obejmując całą postać kasztana, kazał Wojtkowi przeprowadzić go najpierw wolno, a potem kłusem. Poczem obejrzał go równie dokładnie jeszcze raz i kazał otworzyć wrotka od obejścia ku łące. Wreszcie, nic nie pytając, starzec jednym skokiem dosiadł kasztana, podrażnił go piętami i popuszczając uzdy, najpierw kłusem a wkońcu galopem harcował po łące tam i zpowrotem.

W Wojtku zamierało serce z niepokoju, żeby się szkapie co złego nie przydarzyło. Ale koń uganiał wcale do rzeczy, a gdy wpadł z jeźdźcem na obejście, na dany znak stanął w miejscu, jak stary wojownik i zarżał.

Tadeusz zeskoczył zgrabnie i oddał konia Wojtkowi.

— Nogi conieco naderwane — zaczął uroczystym głosem — ale, Wojtuś, tyle ci ino powiem: szanuj swojego kasztanka. Niestare to jeszcze, układ pański, oko żywe, jędrne, do ludzi, ino to zgłodzone, sponiewierane i zziąbłe, jak i ludzie, co wojowali...

Tymczasem przywiódł i Szymek swoją kobyłę. Tadeusz badał szkapę dłużej i dokładniej jeszcze, niż kasztana. Wreszcie, odstąpiwszy parę kroków od niej, spojrzał na Szymka uroczyście, poklepał go po plecach i roześmiał się na głos.

— Kobyła murowana — orzekł. — Ale przyżeń się rychło do jakiej hrubej gaździny, bo sam nie dasz jej rady. Nie martw się nic. Ona może zjeść całą Pyzówkę, ale i całą Pyzówkę obsłużyć. Końsko mocne i zdrowe, ino... ino przepaściste okrutnie. Żeń się, a wartko.

Szymek nie wiedział, czy się cieszyć czy martwić. Tadeusz zaczął się żegnać.

— A zaprzęgaliście je? — zapytał jeszcze.

I Wojtek i Szymek wzruszali ramionami. Zaprzęgać zaprzęgali, jeździć jeździli niemi conieco, ale ta ino tak, o zmroku albo skoro świt, chyłkiem, bo naród strasznie dokuczał ozorami. Chcieli je podpaść, żeby do zbierek nabrały jakiej takiej siły.

— Możebyśmy was odwieźli — wyczuł intencję Tadeusza Wojtek.

— Bardzobyście mi wygodzili, a i końskom się przyda.

W dwa pacierze wóz był gotowy, słomiane siedziska sporządzone i konie zaprzężone. Tadeusz uprosił ku sobie Jagniesię, żonę Wojtka, i rozparł się z nią na siedzisku głównem. Szymek zaś z Wojtkiem usiedli na przedzie. Przeżegnawszy konie, Wojtek strzelił z biczem i ruszyli. Konie szły nieźle. Po czasie kobyła tak się rozruszała, że kasztan nie mógł się zrównać z jej szerokim, krowim krokiem. Ciągnął wprawdzie i on, do roboty był widać chętny, ale miał swój honorny układ, z kobyliłm niezgodny. Szkapę zrównały się wreszcie jako tako i szły przez wieś kłusem, co wywołało w Pyzówce istny zamęt — gdy nagle kobyła skręciła na prawo w bok, porwała za sobą kasztana i wjechała z okrutnym rumorem do połowy obejścia Falfiarzowego. Jak to zwyczajnie przy niedzieli, gromadka Falfiarzów wygrzewała się na słońcu przed izbą. Nagły hałas poderwał ją z ławki. Cóż to znowu za komedje? — mamrotał Falfiarz, zbliżając się na czele rodziny do wozu. Na Szymka uderzyły wszyst-

kie złe poty. Zeskoczył z wozu wraz z Wojtkiem i obaj zaczęli tarmosić i spychać kobyłę ku drodze, lecz nadaremno. Kobyła zarzyła się prosto w ziemię i niesposób jej było ruszyć z miejsca.

— Falfiarz to? — zawołał w tej chwili Tadeusz, zeskakując z wozu.

— Dyc Falfiarz — odrzekł spokojnie gazda, wyjmując fajkę z ust.

— Poznajecie mnie?

— Così niby tak, jakbym miał znać — wycedził Falfiarz.

— Kupczyliśmy ze sobą...

— Może i to być...

— Tadeusza z Pieniążkowa baczycie?

— Ba! — wyciągnął rękę Falfiarz — witajcie! Coście tam nasłuchali? Ale po prawdzie, tośmy wtedy płono pokupczyli, bo mi kobyłę zabrali do wojska.

— Zabrać zabrali, ale ona, niewstydna, wróciła znowu.

Falfiarz spojrział na Tadeusza, na Szymka, na kobyłę i prędko włożył fajkę do ust, żeby już nic nie gadać. Ale Tadeusz ona- czył dalej:

— Dyc się jej ino przypatrzcie... Przybiedła trochę, postarzała, ale pamięć ma... A strzałka na pysku, a ten brzuch, jak kadź, a te rozstawne nogi — nie ta sama?

— Dyc przecie takiego wola nie miała — syknął Falfiarz.

— Wtedy jej dopiero zaczął narastać, a dziś już urósł.

Szymkowi przybaczyło się, jak rozkroczyła się przed tem samem obejściem, kiedy ją wiódł z Nowego Targu.

Falfiarz mlaskał językiem, popluwał, ćmiąc gęsto fajkę, badał kobyłę z tej i z tej strony, wreszcie — nie wypowiadając się ani tak, ani siak, zwrócił się najpierw do Jagniesi i do Tadeusza, żeby weszli pod dach, potem do Wojtka i Szymka (którego po przyprowadzeniu nieszczęsnej kobyły nie chciał widzieć).

Szymkowi zrobiło się niewyraźnie. Wiktusia stała w otwartem oknie, jak obraz w ramkach i niewiada, śmiała się z niego, wabiła go, czy też ino cudowała się zdarzeniu. I już miał się na nowo zabrać do spychania kobyły ku drodze, gdy akuratnie Falfiarz objął go ręką wpół, i mlaskając, jął mu dobrotliwie, jak równy równemu, wypominać, że to już het! zabaczył, gdzie Falfiarze siadują, że widać — jak się kobyła ruszyła do życia, to Szymkowi inne myśli zaczęły chodzić po głowie...

Jagniesia chyżo spostrzegła, na co się zanosí, migiem pognąła do domu po wódkę, którą Falfiarz przepił do Szymka, Szymek do Wiktusi, i tak dalej kum do kuma, kuma do kumy, bo się ich sporo naschodziło.

Za niedługo zadudniała i muzyka za oknami, gdzie się młódź rówieśna Wiktusi albo Szymka już do tańca brała.



Niewinna zemsta.

Panowie Ludwik i Dionizy jeszcze w czasach szkolnych nie czuli do siebie sympatji. Po wyjściu ze szkół drogi ich życia rozeszły się i zapomnieli prawie o swej niechęci. Po latach przypadkiem spotkali się na stacji Papotville pod Paryżem.

Obydwaj jednocześnie odezwali się:

— A! mieszkasz tutaj?

— Tak.

— Czy wolno zapytać, co tu robisz — zapytał Ludwik.

— Bardzo proszę!... Jestem redaktorem dziennika giełdowego — odpowiedział Dionizy.

— I pomimo tego mieszkasz poza murami Paryża?

— Tak. Tu znacznie lepsze powietrze.

— A zatem pewnie posiadasz stały bilet jazdy?

— Naturalnie.

Z osobliwym uśmiechem Ludwik objaśnił kolegę:

— Jestem właśnie naczelnikiem tutejszej stacji.

— Aa!

Spojrzeni na siebie i odrazu obaj odczuli, że niechęć ich odżyła.

— Do widzenia, Panie Naczelniku — powiedział Dionizy.

— Do widzenia, Panie Redaktorze — odpowiedział Ludwik.

Rozeszli się.

Nazajutrz zaledwie Dionizy zajął miejsce w przedziale wagonu, Ludwik zławił się w drzwiczkach.

— Proszę o bilety.

Dionizy jak na złość, wychodząc w pośpiechu z domu, zapomniał swego biletu.

— Proszę zapłacić lub wysiąść! — zawołał rozkazującym tonem Ludwik.

Dionizy zapłacił.

Dnia następnego ponowne zjawienie się pana naczelnika w drzwiczkach wagonu.

— Masz tobie! — mówił jakby do siebie Dionizy — zdaje się, zapomniałem...

I powoli, bez pośpiechu, zaczął szukać drogiego dokumentu po rozmaitych kieszeniach i kieszonkach swego ubrania.

— Masz pan bilet, czy nie? — krzyknął zniecierpliwiony Ludwik.

— Zaraz, Panie Naczelniku! — świadczę się Bogiem i tymi oto towarzyszami jazdy, przysięgam, że nie wiem... W nadziei skrócenia, w interesie Pana i moim tej niepewności szukam, starannie szukam, Panie Naczelniku... Widzi Pan, szukam... powoli, ale dokładnie...

Mówiąc tak Dionizy szukał w bucikach, w kapeluszu, wytrząsnął podszewkę kapelusza, otwierał zegarek, pomrukując:

— Jak nie będzie, trzeba będzie znów zapłacić!

Już, już Pan naczelnik przygotował się groźnie do przyjęcia zapłaty, jakby tylko czekał na to... gdy Dionizy wykrzyknął radośnie:

— A, nareszcie go mam!... Oto jest upragniony bilet, przedmiot mych poszukiwań!.., Proszę sobie wyobrazić Panie Naczelniku, co za roztargnienie!.. Był w kieszonce kamizelki, tam gdzie zwykle go chowam. Prawdę mówi przysłowie: nie szukaj szczęścia daleko!..

Ale Ludwik nie słyszał już, bo wściekły wyskoczył z wagonu.

Drobna ta zemsta nie zadowoliła pana Dionizego, postanowił obmyśleć inną. Długi czas myślał nad nowym sposobem zdrwienia z Pana Naczelnika stacji w sposób legalny.

Pewnego popołudnia w biurze ku ogólnemu zdumieniu wykrzyknął z zapałem: „Jest“!

— Co się stało? — zapytali koledzy.

— Mam pomysł, mam! — dodał uradowany Dionizy.

I opowiedział swój plan.

— Nie zrobisz tego!

— Dlaczego nie?... Zrobię i to dziś jeszcze!

Zaledwie północ wybiła na zegarze wieży kościoła w Papotville, gdy zjawił się na stacji Dionizy.

— Gdzie naczelnik? — zapytał jednego z urzędników.

— Poszedł spać... jeszcze przed ukończeniem służby; jest cokolwiek cierpiący.

— Tak? — Proszę go obudzić. Wypadek! — Urzędnik nie słuchał dalej, popędził do naczelnika.

W pięć minut nadszedł zaspany naczelnik, zaledwie odziany.

Na widok pana Dionizego aż nim podrzuciło.

— A, to pan!.. Co za wypadek?

— Oto, Panie Naczelniku... chciałem spróbować czekolady z automatu, umiesz-

zonego na stacji, wsunąłem więc w otwór przepisana sztukę monety, ale napróżno ciągnąłem za rączkę, czekolada nie wyszła...

Ludwik aż oczy wytrzeszczył z oburzenia.

Dionizy zaś najspokojniej mówił dalej:

— Bylem w rozpacz, gdy oto spostrzegam napis:

„W razie niesfunkcjonowania aparatu, zawiadomić naczelnika stacji“. Przyszedłem więc zawiadomić Pana Naczelnika o wypadku z automatem...



Wybór wójta przed 40 laty.

Od bardzo wczesnego ranka, na wszystkich drogach, wiodących do Biednej-woli, był ruch znaczny. Jedni jechali wozami, inni konno, wielu zaś podążało pieszo na wielki akt wyborczy. Przemknęła też jedna i druga bryczka szlachecka, wymijając wózki i obypując pieszych tumanem kurzawy, podnoszącej się z pod kopyt rączych koni.

Przyjazd pana naczelnika i wybory były zapowiedziane na godzinę dwunastą w południe, ale naród wiejski, który przyzwyczajony jest wszystkie czynności rozpoczynać od rana, zgromadził się dość wcześnie.

Korzystali też z tego kandydaci i pragnęli ostatnie, decydujące niemal chwile na rzecz swoją wyzyskać. Karczma była jak nabita, a kto się w jej ścianach pomieścić nie mógł, lokował się, jak można było pod oknami i drzwiami, na przyzbie, przy wozach.

Około godziny dziesiątej, gdy znaczna część trunków, przez karczmarza na urozystość wyborczą sprowadzonych, była wyczerpana, zaczęły się rysować nieco wyraźniej partje i stronnictwa.

Najsilniejszą była partja konserwatystów, żądających utrzymania na stanowisku do-

tychczasowego wójta Sokoła. Wśród tej grupy przemawiał kowal Pikuła, w skórzanym fartuchu, z twarzą osmoloną sadzami. Słuchano go pilnie, jako męża mającego dużą popularność i znaczenie. Pikuła znany był w okolicy z tego, że znakomicie kuł wozy i doskonale rwał zęby, świetnie puszczal krew koniom i bydłu, oraz niezwykle zręcznie zdejmował paskudnika z oka cierpiącego bydłęcia. Taki człowiek ma zawsze mir i poszanowanie.

Partja konserwatystów wzrastała, coraz to przymknął do niej ktoś z innej grupy, pociągnięty urokiem wymowy dzielnego Pikuły.

Stronnictwo postępowe, zdecydowane głosować za sołtysem Gwizdałem, gorąco pragnęło reform, mających polegać na tem głównie, żeby wszelkie opłaty, obciążające morgę, albo zupełnie znieść, albo zmniejszyć, ile się da — i tak zmniejszone nie płacić gotówką, o którą dziś ludziom trudno, lecz odsiadywać w kozie.

Prócz dwóch grup wymienionych powyżej, istniała jeszcze partja obojętnych względem wyborów. Kazano im przyjść, więc przyszli, — każą odejść, pójdą. Ci już to kładli się na wozach i spali, już to rozwiązawszy kobiałki, posiadali w chłodzie i jedli chleb powoli, patrząc przed siebie bezmyślnie i ruszając szczękami jak woły.

Partja pisarzowej, pani Kobzikowskiej, najmniej silna liczebnie, zebrała się na podwórku kancelarji. Pousiadali wszyscy na wywróconem korycie i raczyli się poczęstunkiem, jaki im gościnna pani Kobzikowska wyprawiła.

— Moi dobrze ludzie, mówiła ona do nich, stojąc na progu kuchni, jeżeli mam prawdę powiedzieć, to sama nie wiem, co takiemu Sokołowi albo innemu gospodarzowi po urzędzie? Do pióra ciężki, kancelarji prowadzić nie potrafi, pisarza musi trzymać.

— Dyc prawda.

— Kłopoty, jeżdżenie do powiatu... pilnować się trzeba.

— A juści.

— To też wybierajcie mego męża. Gamajda on jest, bo gamajda, ale człowiek dobry, krzywdy wam nie zrobi. Czekaście no, dobrzy ludzie, przyniosę wam jeszcze trochę wódki.

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Piękne masło pisarka ma, rzekł jeden, gdy pani Kobzikowska odeszła.

— Piękne, bo moje, odrzekł drugi.

— Wasze?

— A jeno co? moje — bo właśnie wczoraj brałem paśport dla chłopaka.

— Niby to można masło poznać.

— Można, widzicie, bo moja kobieta zawdy z onem masłem różne sztuki wyrabia. Jakoś marchwią podprawia i ono się robi takie żółciuteńkie, jak majowe. Ja zaraz poznałem, że ono moje.

— Eł, bajduga z was i tylo, odezwał się najgorliwszy stronnik, pani pisarzowej, Maciej Łomignat — daliście pisarzowi garnuszek masła — to i co, wielga rzecz! — ale paśport zaraz był, nie staliście cały dzień przed kancelarją.

— Juści co nie, to nie.

— Pisarz jest niezgorszy człeczyna, niechby tedy ostał se wójtem.

— A niechby ostał!

— Będziemy krzyczeli, żeby ostał... będziemy!

Pani Kobzikowska wyniosła dużą butelkę wódki i oddała ją w ręce Łomignata.

— Mój Macieju, rzekła z przymileniem, wyręczcie mnie i raczcie siebie oraz sąsiadów. Ja nie mam dziś ani chwili czasu... skoro zaś zobaczycie dno we flaszcze, to przyślę wam więcej.

— Już niechta pani pisarka nie frasuje się nic. My damy radę onej butelczynie.

Słońce wzbilo się wysoko — nadeszło południe.

Przez ten czas partja zwolenników pani pisarzowej z Maciejem Łomignatem na czele, uraczyła się rzetelnie.

Co prawda, wszystkie stronnictwa i frakcje były pod dobrą datą, a gdy naczelnik przyjechał i wyborcy zgromadzili się przed kancelarją gminną, powstał gwar i harmider jak na jarmarku.

Kilku strażników z trudnością usiłowało zaprowadzić porządek.

Stary wójt Sokół, wzruszony do łez, mówił do swoich zwolenników:

— Służyłem wam, moje ludzie kochane, po sprawiedliwości, rzetelnie, jako Bóg miłosierny przykazuje. Mało wam? Chcecie jeszcze? Mogę jeszcze... jeszcze będę harował dla was, tak mi Panie Boże we zdrowem skonaniu dopomóż! Chcecie mnie, to ostanę, a nie chcecie zaś, to nie ostanę, jak do waszej woli i ochoty.

Sołtys swoich zwolenników nie tak serdecznie traktował.

— Co mnie! — mówił. — Tak ja z wójtostwem jak i przez wójtostwa, ja se gospodarz obsiedziały; grunt mam, pieniędzy dość mam, a jakbym wójtem ostał, to jeno dla biednych ludzi.

— Żeby nijakich opłatów nie było!

— I żeby egzekucyjów wójt nie robił!

— Cicho, ludzie, cicho, krzyknął potężnym basem Łomignat, nie ten będzie, co był, — i nie ten, co wy chcecie, żeby był, — jeno jenszy, ja wam naraję osobę.

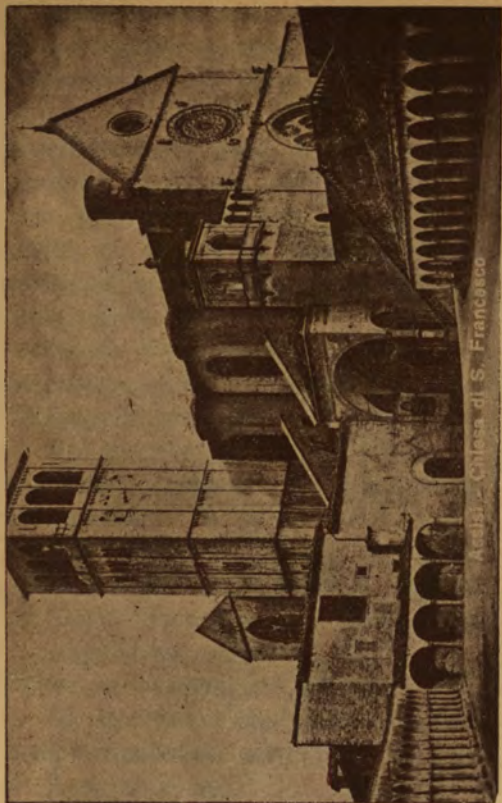
— Uspokoić się! cicho! wołał Kobzikowski, pan naczelnik chce do was przemówić.

Gdy się uciszyło nieco, pan naczelnik zaproponował wyborcom, żeby na następne trzylecie wybrali ponownie Sokola.

Konserwatyści odpowiedzieli na tę propozycję jednogłośnie okrzykiem:

— Starego wójta chcemy! starego!

Postępowi milczeli, skrobiąc się z zadowolającą jednomyślnością po czuprynach.

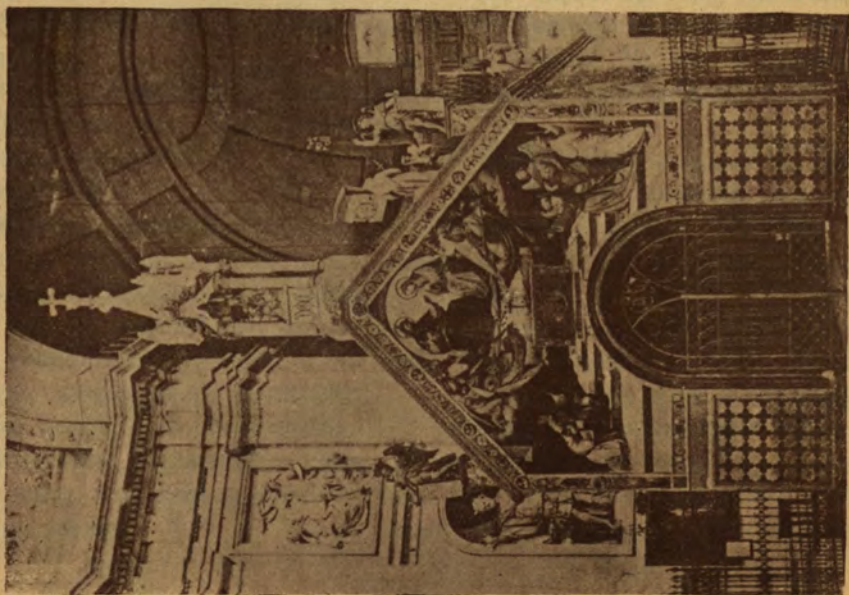


Assisi - Chiesa di S. Francesco

Kościół św. Franciszka w Asyżu.



Śmierć św. Franciszka z Asyżu.



Grób św. Franciszka.

— Rozdzielić się, zawołał obyty w takich interesach Kobzikowski, kto za starym, niech przechodzi na prawo, kto nie — na lewo.

Zrobił się ruch, jedni drugich przepychali, ciągnęli za rękawy, nareszcie po kilku minutach grupy zarysowały się wyraźnie. Konserwatyści stanęli po prawej stronie, postępowi po lewej, Łomignat zaś ze swoją gromadką na uboczu.

— Kogoż wy chcecie? — spytał naczelnik postępowych.

Odpowiedzi nie było.

— No! niech który wyjdzie i powie.

Dwadzieścia żylastych pięści wypchnęło naprzód mowcę.

Był to Wincenty Pypeć, przeciwnik wszelkich systemów podatkowych z zasady.

— Cóż ty nam powiesz? Kogo chcecie? — zapytał naczelnik.

Pypeć aż do ziemi się skłonił.

— My doprasamy się, rzekł, żeby wójtem ostał biednowolski sołtys Józef Gwizdał.

— A on chce być?

Sołtys naprzód wystąpił.

— Mnie, wielmożny naczelniku, tak z tem jak i przez tego. Ja gospodarstwo swoje mam, pieniądze mam, i w moim rodzie jeszcze żadnych urzędników nie było — jeno dla biednego narodu...

— My chcemy, mówił dalej Pypeć, żeby sołtys wójtem ostał, jeno, żeby wprzód dał nam na piśmie kwitek...

— Jaki kwitek? Naco?

— Niby, żeby się podpisał, bo on jest krzynekę piśmienny, żeby się podpisał u reagenta, jako żadnych opłatów nie będzie i egzekucyjów też nie będzie, żeby se gospodarze byli spokojne i żeby stójków nie dawali, jeno żeby zawdy przed kancelarją stała fornalka ze dwora, — a jak wypadnie, na to mówiący sialwark, a gospodarze będą mieli w polu robotę, tedy żeby gospodarzy do sialwarku nie spędzać.

— No, a kto drogi zreperuje?

— Do reperacji dróg można nazgarniać żydów, naród letki jest i do roboty nie ma.

— Ty mądry chłop. Ty już wszystko powiedział?

Pypeć znów zaczął się skrobać po głowie.

— Mybyśmy jeszcze chcieli, rzekł nieśmiało.

— A to proszę wielmożnego naczelnika, żeby nam jeszcze po jakie kilka morgów lasu...

— Ho! ho! jak ty się nazywasz człowiku?

— Ja się nazywam na imię Wincenty, a na przydomko Pypeć, moja chałupa trzecia z brzegu.

— Ty dziś trochę wypił, Pypeć, nieprawda?

— A juści, mało wiele wypiło się, do takiego jenteresu trza wypić.

— No, kiedyś wypił, to idź spać — a wy obliczcie, wiele głosów za wójtem, a wiele za sołtysem.

Z gromadki na uboczu stojącej wyrwał się Łomignat, rozepchnął tłum potężnem ramieniem i stanął przed samą kancelarją,

— Nie rachować! nie rachować, nie potrza. My i starego wójta nie chcemy i sołtysa nie chcemy! My też gospodarze jesteśmy i wolno nam obierać wójta swoją głową.

— Wolno, wolno, a kogoż wy chcecie?

— My chcemy człowieka uczonego, co je piśmienny na wszystkie styry boki, a jak weźmie pióro do garści, to mu jeno piscy.

— Tak, tak, nie chcemy ciemnego, nie chcemy chłopca, jeno wójta, coby urząd swój znał i mógł się obchodzić przez pisarza!

— A juści, żepy przez pisarza był sam!

— Któż waszym kandydatem?

— Gamajda! wrzasnął Łomignat, wskazując palcem na Kobzikowskiego, pan Gamajda! pan Gamajda! wójtem ma być.

Pisarz zaczerwienił się po same uszy — stronnictwa przeciwne wybuchły śmiechem.

Powstał piekielny wrzask.

— Gamajda! wiwat Gamajda! Gamajda wójt!

Z trudnością hałas można było uśmieńczyć. Łomignat z miną triumfującą spoglądał dookoła.

— Któż to Gamajda? — spytał naczelnik.

— To je właśnie nasz pisarz, odrzekł Łomignat z pokłonem.

— Pisarz? — on zdaje się... Kobzikowski.

— Nie Kobzikowski, jeno Gamajda.

— On pijany, panie naczelniku, jak Boga kocham pijany, tłumaczył pisarz.

— A jeno pijany!! Nie taka moja głowa, żebym się miał zaraz upić. Jeno pana pisarza naszego szanuję i chcę, żeby wójtem ostał i jensze gospodarze też chcą. Krzyczcie chłopcy: Gamajda!

— Gamajda! wrzeszczał cały tłum, zanosząc się od śmiechu.

— Ty gałganie, zawołał pisarz, ty łotrze! dlaczego mi ubliżasz? Wiesz przecie, że ja się nazywam Kobzikowski.

— Kobzikowski? — odparł ze zdumieniem chłop, to pan pisarz Kobzikowski je? Tak mi Boże dopomóż, nie wiedziałem, sprawiedliwie, zem nie wiedział. Pani pisarka zawdy mówi na pana gamajda, i ja myślałem, że Gamajda. Dyć żona chyba najlepiej wie, jak się mąż na przewisko nazywa.

Z powodu tego wypadku, wybory przerwano.

Kobzikowski, ośmieszony, jako kandydat przepadł. Wybrany mógł zostać tylko dawny wójt lub sołtys.

Gdy się zebrano powtórnie, wyborcy mieli się rozdzielić. Zwolennicy starego wójta stanąć mieli po prawej stronie drogi, postępowi po lewej.

Nieszczęściem dla stronnictwa postępowych, lewa strona była pozbawiona drzew, a słońce bez miłosierdzia piekło — wszyscy więc przeszli na stronę prawą, gdzie od kilku ogromnych topól cień padał.

Dawny wójt wybrany został prawie jednomyślnie.

Tak to w życiu narodów, częstokroć drobna, na pozór nic nie znacząca okoliczność, zmienia karty historii — cień przychylił szalę zwycięstwa, cień rozbił stronnictwo postępowe, cień wyniósł na godność wójtowską Sokoła.



Biała kura.

Jan, dziedzic miejscowy, wyszedł z doktorem na wieś. Przy drodze, którą szli, zobaczyli człowieka, siedzącego w rowie. Chłop to był, pomimo gorąca ubrany w kożuch, blady, mizerny, trzęsący się od zimna.

Zobaczywszy pana Jana, podniósł się z trudnością i, uchylając czapki, rzekł:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. Co tu robisz, Walenty?

— Stary jestem, — odrzekł — rozlało mnie całkiem. Po plecach ból chodzi, po gnatach łamanie, a środkiem ziąb taki, jakby w siarczysty mróz. Robić nie mogę, w chałupie się kuczy samemu, wylazłem tedy w pole, układałem się na słońcu, żeby choć mnie trochę przygrzało.

— Niedobrze w takim stanie zdrowia kłaść się na ziemi — rzekł doktor — może zaszkodzić.

— Ej, wielmożny panie, to bajki! gdzieby tam szkodziło? toć człowiek z ziemi jest i w ziemię się obróci. Koło ziemi robi, na ziemi sypia, a jak pomrze, to go też nie gdzieindziej, jeno w ziemię schowają. Takie prawo.

— Radziliście się też kogo? — spytał doktor.

— A jakże, wielmożny panie. Byłem u kowala, i u Berka felczera, i kobieta jedna, znająca, lekarstwo mi dawała, i owczarz proszek z ziela; nic nie pomogło, panie. Już mnie tak ze dwa tygodnie morduje.

— Czy wy mnie znacie?

— Nie, wielmożny panie, nie znam.

— Ja jestem doktor.

Chłop pokłonił się do ziemi.

— Już ja i to sobie miarkowałem — rzekł, — że wypadnie mi coby do doktora pójść, żeby mi proszek na lekką śmierć zapisał, bo kiedy od dobrych ludzi lekarstwo nie pomaga, to snadź już taka wola Boska, że trzeba umierać.

Doktor wcale się tą odpowiedzią nie zraził, położył chłopu rękę na ramieniu i bystro popatrzył mu w oczy:

— Nie — rzekł po chwili — w twoich oczach, człowieku, śmierć jeszcze nie stoi.

— Albo to znać?

— Naturalnie, że znać, jak się kto zna. Ja chorobę widzę i wiem, jakie ci lekarstwa dawali. Berek zerznął ci cały grzbiet bańkami.

— A dyć prawda.

— Kowal dawał ci wódkę z psim proszkiem.

— O la Boga, a wielmożny pan skąd to wie?

— Z twoich oczu, mój człowieku; od owczarza dostałeś ziela tysiączniku, a owa kobieta znająca kazała cię natrzasać.

Chłop sądził, że ma z czarownikiem do czynienia i miał wielką ochotę drapnąć.

Doktor z całą powagą mówił dalej:

— Oni nie leczyli cię źle, mój człowieku, tylko nie poznali się na chorobie. Już nie powtarzaj tych lekarstw, bo wiesz, że i dobre nawet, jeżeli go użyć za wiele, zaszkozi...

— Ano dyć prawda., wielmożny panie.

— Przyjdź za godzinę do dworu, dam ci krople, będziesz je brał o samym wscho-

dzie, o samem południu i o zachodzie słońca; a pamiętaj na ziemi się nie kładź, bo ta słabość, co cię tak zmarnowała, w ziemi siedzi. Jeżeli chcesz leżeć, to się połóż w izbie, albo lepiej w stodole na słomie. Postaraj się też o białą kurę i niech ci kobieta ugotuje z niej rosół, ale pamiętaj, żeby kura była biała.

— Właśnie, że mam taką kokoszę.

— To bardzo dobrze. Cóż? zrobisz, jak ci mówię?

— Zrobię, wielmożny panie.

Pan Jan, gdy odeszli od chłopca, śmiać się zaczął.

— Co też ci, doktorze, przyszedł za pomysł z tą białą kurą?

— Nie można inaczej. Przesady to chwast, który trzeba powoli wyrwać, od razu nie sposób. Ja bo zawsze idę drogą kompromisu w tym względzie i przekonałem się, że dobrze robię. Tą drogą przyzwyczajam chłopów do leczenia się. Wypraktykowałem ten środek. Gdybym mu zalecił do jedzenia kurę, wzruszyłby ramionami i nie posłuchał; ponieważ mówiłem o białej, będzie jej szukał po całej wsi, dopóki nie znajdzie.

— A może...

— O, ręczę za niego, i to jest bardzo naturalne. On nie rozumie, że leczenie chorób odbywa się na pewnych wyrozumowanych zasadach, lecz uważa je za jakąś czynność tajemniczą, nadprzyrodzoną; dlatego tak się garnie do zamawiaczy i znachorów. Baba nad nim szepce wyrazy bez związku, okadza go dymem z ziół pachnących i on w tem widzi jakąś tajemniczą potęgę. Moje lekarstwo tego uroku nie ma, więc nie wzbudza wiary. Ano, i muszę się uciekać do kur białych, czarnych, pstrych, a przytem szwarcuję moje lekarstwo. Nie zalecam też nigdy, żeby brali lekarstwa podług zegaru, raz, że mało który z nich zegar posiada, a powtóre, że godzina nie robi wrażenia.

Co innego słońce: chłopu się nie śni nawet, że w tym razie użyte jest ono jako czasomierz. Nie, on je uważa poniekąd za część składową lekarstwa, za czynnik uzdrawiający. Godzina razem z zegarkiem siedzi u pana w kieszeni — słońce na niebie jest. Takiemi drogami do tych ludzi trafiam, robię maleńki kompromis z ciemnotą i powoli zwalczam ją podstępnie. Zczasem, gdy się z lekarzem i lekarstwami oswoją, nie będzie potrzeby o białych kurach mówić. Mam już między chłopami pacjentów, i to coraz więcej, którzy mi wierzą i ufają.



Kot.

— Nie, nie jestem wcale zabobonny — rzekł Aleksander — chyba, że to konieczne, np. na polowaniu, bo wtedy, jak wiadomo, zdarzają się dziwne rzeczy. Ale w życiu codziennem nie wierzę w podobne brednie. Rano śpiewam, a jednak nie jestem wcale smutny wieczorem. Wyjeżdżam śmiało w piątek i nie wzrusza mnie to zupełnie, że jestem trzynastym przy stole.

Nazajutrz po tej rozmowie wróciliśmy do miasta (spędziliśmy kilka wesołych dni nad morzem). Podróż była bardzo piękna. Wylądowaliśmy z uczuciem tęsknoty za przyrodą, którąśmy opuścili. Szliśmy do miasta, myśląc o naszych interesach.

Nagle Aleksander stanął jak wryty na środku ulicy, podniósł rękę do góry i zawołał: Ani mi się waź! Mam zbyt ważne sprawy do załatwienia, żebyś mi tu w drogę włąził.

— Co ci jest, pytam, kto ci „w drogę włązi“?

— Nie widzisz tego kota? mówi Aleksander, myślisz, że może mi bezkarnie zabiec drogę i to z samego rana, gdy mam tyle interesów ważnych? Przecież ten kocur może wszystko zepsuć!

— Spluń trzy razy, mówię, to pomaga. Wszystkie moje krewne stosują ten środek i bardzo go sobie chwalą. Podobno jest niezawodny.

— Znam ten sposób, ale nie wierzę — rzekł Aleksander. Tfu, tfu, tfu, Nie! trzeba kota obejść naokoło, wtedy już nic złego się nie stanie. Gdzie on jest?

Popędził tam, w stronę ogrodu.

Aleksander zajrzał poprzez drzewa. Oh, jest! siedzi! I to mówiąc, jął pędem okrązać ogród. Stałem i czekałem. Ledwo mój przyjaciel wrócił, kot wyskoczył z ogrodu i przebiegł nam drogę po raz drugi. Przeskoczył na przeciwległy chodnik i znikł w oknie suteryny. Aleksander szybko zamknął okno.

— Teraz cię mam, rzekł, obejdem tylko ten czworobok i sprawa załatwiona.

— To dosyć duży blok, rzekłem, potrwa kilka chwil, nim go oblecisz.

— Wszystko jedno, o 12-ej muszę być w banku, mam otrzymać pożyczkę, a ten głupi kot może mi wszystko pokreć.

Poczekaj tu na mnie. Momencik!

Aleksander zaczął biec, a ja czekałem. Ulica, w którąśmy wleźli, była paskudna. Ciemna, smutna i pusta.

Stałem smutnie i myślałem: Co mnie ta cała sprawa obchodzi. Mam inne rzeczy na głowie, niż czekać na człowieka, który obchodzi kota naokoło.

Wtedy nadeszła pani Helena. Ucieszyła się ze spotkania. Obawiała się pewnie przejść sama przez tę ponurą ulicę.

— Co pan tu robi, — spytała mnie pani Helena.

— Czekam na człowieka, który obchodzi kota naokoło.

— Pan jest zawsze taki wesoły i dowcipny, rzekła pani Helena, — niechże mnie pan odprowadzi kawałek.

— Nie mogę, rzekłem; — muszę czekać na człowieka z kotem.

Wtedy stały się trzy rzeczy: 1. Aleksander ukazał się na rogu, wracając ze swego obiegu. 2. Kot wyjrzał przez otwarte okno suteryny (obok tego, któreśmy zamknęli) i 3. nie widząc Aleksandra, wyskoczył z okna, przemknął przez ulicę i znikł naprzeciwko w piwnicy.

Ale Aleksander zauważył kota i natychmiast uświadomił sobie, że napróżno biegał koło domów. Stał zziębnięty, dysząc ciężko i oparł się o rynnę.

Pani Helena zauważyła kota i splunęła trzy razy: „tfu, tfu, tfu“.

— Czy pan mówił o tym kocie?

Tak, — odpowiedziałem, to był ten kot. Teraz musi pani obejść naokoło te domy, w przeciwnym razie nie dostanie pani pożyczki w banku.

— Tak dziwnie pan dzisiaj mówi, — rzekła pani Helena, — nie mam odwagi zostać tu z panem. Zresztą za dużo kotów wokoło pana. Żegnam!

Pani Helena poszła, a Aleksander tymczasem szedł wolno, czając się jak indyjanin.

— Teraz go mam, rzekł, spójrz w okno.

Aleksander wskazał mi dom naprzeciwko. Na drugim piętrze w oknie siedział kocur.

Proszę cię mój drogi — powiedział — poczekaj tu, aż wrócę po okrążeniu tego domu i pilnuj, by kot nie uciekł. Mógłbyś właściwie iść na górę i poprosić tych ludzi, żeby kota nie wypuszczali, zanim ja wrócę.

Aleksander ruszył z kopyta poraz drugi, a ja zostałam sam na ulicy. W oknie ciągle jeszcze siedział kot i jakaś starsza pani głaaskała go po głowie.

Wtem na rogu ulicy ukazał się mój przyjaciel. Kiwnąłem na niego radośnie i zawołałem: Hallo, hallo, prędzej! zdaje mi się, że właśnie ma ochotę zeskoczyć.

Aleksander dobiegł do celu, a kot wciąż siedział spokojnie w oknie.

— No, dzięki Bogu, — rzekł Aleksander, — dobrze, że się już skończyło.

Tak, i ja się cieszę, odparłem, ale przeszedłszy kawałek, stanąłem nagle i rzekłem:

— Wiesz, Aleksander, to śmieszne, ale po gruntownym namyśle zdaje mi się, że kot, który siedział w oknie był większy i ciemniejszy od tego, który uciekł do piwnicy.

Aleksander stanął, spojrzał mi w oczy i rzekł: — Nigdybyś mi tego nie powiedział, gdybyś był istotnie moim przyjacielem.

— Niema przyjaźni, gdzie o prawdę chodzi — rzekłem, — jeśli dostaniesz pożyczkę w banku, to za zupełnie fałszywego kota. Obalasz wprost prawa natury...

— Dobrze. Chodź do banku.

Poszliśmy do banku.

Otworzyliśmy ciężkie orzechowe drzwi, weszliśmy na schody i stanęliśmy w obszernym pokoju. Aleksander podszedł do okienka dyrektora i wszczął z nim rozmowę. Widziałem, jak dyrektor kiwnął uprzejmie głową i podał Aleksandrowi jakiś papier. Mój przyjaciel spojrzał na mnie triumfująco, podszedł do kasy i dostał od kasjera kilka dużych banknotów, które szybko schował do portfela. Potem skierował się ku mnie, ale zawrócił w połowie drogi, podszedł znów do dyrektora i, wsadziwszy głowę do okienka, zawołał donośnie:

— Proszę powiedzieć temu panu, że to był ten sam kot! Bo on twierdzi, że ja dostałem pieniądze na zasadzie fałszywego kota.



Zielony pokój.

— Czytałem kiedyś — odezwał się mój przyjaciel Paweł — że kolor obicia w pokoju bardzo wpływa na nastrój człowieka... Niebieskie obicie usposabia do lenistwa, marzeń i próżniactwa; żółte wpływa ciężko, przygnębiająco; czerwone nadaje nastrojowi

ton bardziej podniosły, a białe łagodzi, koi, uspokaja człowieka...

Na to opowiada pewien starszynek taką historję:

„Za dawnych czasów byłem bardzo bogaty i żyłem sobie hucznie i wesoło. Razu pewnego, wynajawszy i umeblowawszy wspa- niałe wielkopańskie mieszkanie, postanowi- łem urządzić pijatykę. Zaprosiłem około półtorej setki swych przyjaciół i znajomych, zamówiłem sutą kolację i postanowiłem spędzić wieczór przyjemnie, „wesoło i z uroz- maiceniem“. Goście moi, była to wszystko sfera doborowa, lepsza, ponieważ zamożny człowiek ma, naturalnie, z czego wybierać...

Z początku wszyscy siedzieli w moim ogromnym pokoju jadalnym, gdzie pili her- batę i spokojnie rostrząsali wyniki jakichś tam powikłań politycznych na Bałkanach...

Następnie przeszli do gabinetu, podzie- lili się na grupy i poczęli dokańczać roz- mów, rozpoczętych w jadalnym pokoju.

Koło mnie siedziało dwóch — inżynier i adwokat — i komentowało zdanie jednego z panów, że: „słowiańskie państwa — to poprostu jakieś gniazdo os...“

— Wogóle, my Słowianie — tu adwo- kat wzruszył ramionami — jesteśmy mate- rjałem pustym, tępym i niepraktycznym... Wstyd przyznać się do tego, jednakże to tak jest!

Inżynier zmarszczył brwi z niezadowo- leniem.

— Hm... Widzicie panowie, ja sam je- stem Słowianinem, a jednakowoż nie zgodzę się na to, co pan powiedział o plemienu słowiańskim. Naturalnie, ci którzy sami czują w sobie te rysy...

Adwokat sponsował.

— Przepraszam kochanego pana! Jeży- lim właściwie pana zrozumiał, to...

— Tak, tak, — ostro zaśmiał się inży- nier — pan zupełnie dobrze mnie zrozumiał! Człowiek, który poniża wielkie plemię, uzna-

jące go za swego; człowiek, który charakte- ryzuje to plemię jako puste, próżniacze i tępe — ten człowiek prawdopodobnie do- chodzi do tych smutnych wniosków na pod- stawie danych osobistych.

— Pan mi za to odpowiesz! — zawo- łał adwokat, chwytając inżyniera za rękę. — Taką znie wagę krwią tylko zmyć można!

— Precz z brudną łapą! — wrzasnął inżynier. — Z całą przyjemnością przestrze- lę twą ograniczoną i pozbawioną zupełnie pod- niosłych myśli głowę.

Rozmowa ta powstała tak nieoczekiwa- nie, że nawet nie zdążył jej zatrzeć.

Adwokat zerwał się, odszedł na stronę, i począł się przeszeptywać z tęgim, czerw- nym oficerem. Doleciały mnie słowa:

— Pan nie odmówi mi, naturalnie, panie pułkowniku, być moim sekundantem...

— Ależ, z przyjemnością... Ja zaraz znajdę drugiego...

Adwokat odszedł, a pułkownik zatrzy- mał przechodzącego tuż obok syna bankiera i szepnął mu:

— Na jedną chwilkę! Odbędzie się po- jedynek... Spodziewam się, że pan nie od- mówi mi być drugim świadkiem, wraz ze mną...

Syn bankiera zagwizdał.

— Pojedynek? Po-je-dy-nek?! Cóż to za idjoci postanowili wystawić swe łby pod kule?...

— Łaskawy panie! — z rozdrażnieniem w głosie zaoponował pułkownik. — Prosił- bym pana pohamować swe wyrażenia tam, gdzie chodzi o mych przyjaciół. Świadczy to conajmniej o braku taktu!

— Tylko bez uwag — wybuchnął syn bankiera. — Że pan nosi wojskowy mun- dur, to jeszcze nie znaczy, aby panu wolno było pleść bzdury! Patrzcie go: brak taktu!

— Ach, tak! — ledwie panując nad sobą, zasyczał pułkownik. — Spodziewam się, że to, co pan przed chwilą powie-

dział, obowiązuje pana, jako człowieka honoru...

— I owszem! — wzruszył ramionami syn bankiera. — Ja, aczkolwiek nie jestem wojskowym, jednakowoż rewolwer umiem trzymać w dłoni...

— Zgoda! Oczekuję pańskich sekundantów...

Syn bankiera z drżącymi z niezadowolenia usty, odszedł do stołu i pochylił się nad siedzącym za stołem studentem.

— Michaś! Wiesz, niemiła, powiadam ci, historia! Jeżeli się nie mylę, to wyzwano mnie na pojedynek! Chyba zgodzisz się być moim sekundantem...

Michaś pomyślał.

— Daruj, bracie, ale odmawiam. Egzamina mam prawie na nosie, ale jeżeli wplączę się w tę historję — to, Bóg wie, czem to się może skończyć...

— Głupstwo — egzamina! Czyżbyś więc rzeczywiście nie zrobił tego dla mnie?

— Jak Bożię kocham, drogi, nie mogę.

Syn bankiera uśmiechnął się gorzko.

— Nie możesz!... Powiedz poprostu... stchórzyłeś!

— No, bracie... panuj nad sobą. Za takie słowa — wiesz?

Szept ich przeszedł wkrótce we wściekły syk i trzask. Niby dwie rozjuszony pantery, odskoczyli jeden od drugiego, i student, nie zwlekając ani minuty, szybko podbiegł do mnie:

— Co? — spytałem zdumiony, zmartwiony tem, co zaszło. Co, może na sekundanta chce mnie pan prosić? Słyszałem, wszystko słyszałem... Ależ co znowu, czyście się panowie blekotu najedli?!

— Pan może odmówić — posępnie oświadczył student — to panu wolno, ale takich wyrażań używać panu nie wolno! Trzeba być bezceremonjalnym idjotą, aby będąc gospodarzem domu...

— Dość tego! — zawołałem. — Jako gospodarz domu, nie mogę wytluc pana jak

należy, to też zaraz jutro przyślę mu sekundantów!

W tej chwili podbiegło ku nam czterech ludzi.

— Czy nie zgodziłby się pan... — zaczął jeden.

— Być... — wtrącił drugi.

— Sekundantem — dokończyło dwóch ostatnich.

— Czego się pchacie — popchnął pierwszy drugiego. — Ja pierwszy go prosiłem, a nie pan!

— Co? Pchać się? Czy nie wiadomo panu, że podobne postępowanie tylko krwią się da zmyć!

— Ależ, proszę...

— Oj! A to kto mi na nogę nastąpił?...

— To nie podstawiaj pan...

— Ach, tak! Otóż, chociaż pana nie znam, jednakże — oto mój bilet wizytowy...

— A oto mój, pał pana djabli...

W gabinecie powstał nieopisany harmider.

Wszyscy krzyczeli, wymyślali sobie, z wściekłością bluzgali na siebie śliną, popychali się wzajemnie... Większość gości napierała na mnie, zapytując, gdzie mogłem być wyszukać tyłu grubianów, ordynusów, chamów i osłów bez żadnego taktu...

Przerażony, porwałem się za głowę i wypadłem do drugiego pokoju... Wzburzeni goście wypadli za mną. Upadłem na krzesło z zamkniętymi oczyma i długo, długo tak siedziałem.

A kiedy otwarłem oczy, ujrzałem, że koło mnie stoi student, który mnie wyzwiał na pojedynek, i przyjaźnie mówi do mnie:

— Wybacz pan. Jak się zdaje, zagalopowałem się... Toteż — zapomnij pan! Uznaję swą winę!

Koło nas znów inżynier trzymał za guzik adwokata i, wzruszając ramionami, mówił:

— W gruncie rzeczy, ma pan rację: naturalnie, Słowianie — jest to plemię na-

ogół tępe i niepraktyczne. Nie pojmuję do-
prawdy, jak mogłem być tego nie widzieć!

— No, jednakowoż — pojmuję pana!
Przykra rzecz — mrucał ze wstydem, spu-
ściwszy głowę na dół adwokat. — Prawdę
mówiąc, nie powinienem być tego mówić.
Przepraszam więc i mam nadzieję, że
wszystko pójdzie w niepamięć. Oto moja
dłoń!

Do studenta Michasia podszedł syn ban-
kiera i cały czerwony ze wzruszenia, rzekł:

— Świnia jestem! Wal mnie pan
w gębę!

— Za co? — zdziwił się Michaś. —
Raczej ja nie miałem racji. Jeżeli pan jeszcze
życzy sobie, to i owszem, mogę być pańskim
sekundantem.

— Nie trzeba, drogi, kochany Michasiu!
Już nie trzeba. Pogodziłem się z tym praw-
dziwie sympatycznym pułkownikiem.

Zewsząd widać było łagodne uśmiechy
i szept przyjazny“.

Siwy pan umilkł.

— Oto — rzekł — cała historia!

— Ależ o co tu chodzi? — z żywym
zdumieniem zawołał Paweł.

— Jakto... o co chodzi? — zdziwił się
mocno staruszek. — Alboż wam nie opo-
wiedziałem przedtem? Cała rzecz polegała
na przedpokoj, w którym byliśmy przed-
tem i na gabinecie, do któregośmy przeszli
następnie.

— E, do diabła! A cóż tam takiego
było?

— Więc naprawdę nie domyśla się pan?
Przedpokój był pokryty ciemno-czerwonem
obiciem, z jasno-czerwonemi meblami, a ga-
binez — miałem pomalowany na biało...

— No i cóż?!?

Staruszek przebiegle zerknął na nas.

— Przecież... kolory wpływają na uspo-
sobienie! Czy nie tak?

Paweł z niezadowoleniem wzruszył ra-
mionami:

— Jeżeli czerwony kolor działa podnie-
cająco, biały łagodząco, to zielony bardzo
szkodliwie wpływa na wyobraźnię ludzką —
gdyż każe jej bezwstydnie łącać!

Rzuciłem okiem na pokój, w którymeśmy
siedzieli.

Pokój był zielony...



Wschodni targ.

Pan Karazof, Pers, ma w Konstantynop-
olu na pierwszym piętrze pomalowanego
na czerwono domu sklep obficie zaopatrzony
w najrozmaitsze rzeczy, poczynawszy od
dywanów a skończywszy na drogich ka-
mieniacz.

Byłem tam dzisiaj; chcę bowiem przy-
ozdobić sobie trochę moje salony.

Pan Karazof, człowiek bardzo grzeczny,
nosi się całkowicie czarno, jak przystoi lu-
dziom jego narodowości. Jego grzeczność
jest wyszukana i szlachetna. Żydzii są na-
trętni, Grecy poufali, co jednym i drugim nie
pozwala być sprytnymi kupcami i prędko
się z bogacić. Ale Persowie, bardzo sprytni,
szybko się bogacący, umieją dojść do tego
bez natręctwa i poufałości. Takt ich w handlu
przewyższa wszystko, co sobie w tym
względzie na Zachodzie wyobrazić można.

Mam tego dowód na panu Karazofie.

Zaledwie zdążył uklonić mi się, podać
mi krzesło i klasnąć w ręce na subjekta,
żeby przyniósł herbatę, a już mnie otakso-
wał pewnym rzutem oka i wie, z jakim
klijentem ma do czynienia, wie, że jestem
dostatecznie bogaty i wiem, co ładne.

Więc też pan Karazof nie pokazuje mi
drobiazgów niegodnych mojej kieszeni, ani
też „bardzo kosztownych szkaradziejstw,
przeznaczonych dla amerykańskiego gustu“.
Ale natychmiast stare dywany, piętrzące się
stosami w głębi sklepu, padają z góry, roz-

pościerając przed memi oczyma swe jedwabiste wspaniałości.

Pan Karazof mówi cicho, jak w świątyni. Dwaj służący rozpościerają w odpowiedniej odległości wspaniałe tkaniny, układają je, wywołując umiejętnie grę barw pod światło.

— Dzień dobry, panie Karazof.

Weszła jakaś staruszka o zupełnie białych włosach. Pan Karazof z ręką na sercu kłania się do samej ziemi.

— Widzę, że pan zajęty. Nie przeszkadzaj pan sobie, bardzo proszę. Ja sobie odpocznę w tym tu fotelu, a pański synowiec przyniesie mi tej wybornej herbaty, którą piję bez cukru...

— Pozwoli pani — mówię wstając — abym jej ustąpił moją kolej. Nie spieszy mi się nigdy. W tej chwili mniej niż kiedykolwiek. Kupuję dywany, nic się na tem nie znam... więc to potrwa długo.

Staruszka dyga dworsko.

— Bardzo chętnie pozwalam. Komuż mam dziękować?

— Jestem pułkownik de Sévigné!

— Domyślałam się potroszę! Jestem pani Erizian.

— Pani Erizian? I ja także słyszałem to nazwisko. Armenijanka, wdowa, bezdzietna, wiodąca dość odosobnione życie, aczkolwiek bywa czasem w świecie dyplomatycznym, z którego pochodzę.

Tymczasem pan Karazof przynosi w szklanym kubku garść turkusów¹⁾ perskich, małych, ale pięknej, błękitnej barwy.

— Nie, panie Karazof. Dziś mam ochotę na perły. Masz pan może jaką ładną perłę, okrągłą, białą albo lekko różowawą?

Pan Karazof przynosi z nabożeństwem drugi kubek, mniejszy, zawierający perły i opale²⁾, Pani Erizian milknie, bierze szkła

¹⁾ Turkus = drogi kamień barwy niebieskiej.

²⁾ Opal = drogi kamień mleczno-biały z barwami tęczy.

powiększające i ogląda z nadzwyczajną uwagą. Po chwili oddaje kubek z zawiedzioną miną.

— Tu niema nic, panie Karazof. Te perły są do niczego. Poszukaj pan lepiej. Założyłabym się, że gdzieś na dnie pańskich szuflad...

Trzeci kubek. Tylko cztery perły błyszczą na dnie, wysłanem delikatną jedwabną bibułą.

— Ach! nareszcie. Ta... nie: ma wadę. Tak, tak, ma wadę. Nie obruszaj się pan, panie Karazof, ja mam dobre oczy. A ta jest żółta. Ale tamta dosyć mi się podoba... chociaż!... no, ostatecznie, jaka cena, panie Karazof?

— Pani, cały mój sklep do pani należy... Ta perła?... to nic... Nic... Podarunek...

— Jesteś pan najgrzeczniejszym z Persów, panie Karazof. Ale już piąta. Nie mamy czasu na wymianę wszystkich obowiązujących grzeczności. Dlatego powiedz mi pan niezwłocznie: ile?

— Nic, upewniam panią... Ta perła jest jedyną, bezcenną... Okrągła jak księżyc i błyszcząca! To się nie płaci... Wszystko, co jest w tym sklepie, nie warte jest tej perły... Przyjm ją pani w podarunku.

— Jaki pan jesteś uprzejmy, panie Karazof! Ale mówmy poważnie. Co pan myślisz na sześć liwrów tureckich?

— Sześć liwrów?... Łaskawa pani żartuje tak wesoło, że to cieszy moje stare oczy... Jesteśmy dawni przyjaciele i raduję się, widząc panią w tak dobrym humorze. Powiem to mojej córce, która się często pyta o zdrowie pani...

— Ślicznie dziękuję, panie Karazof. Ale ja nie żartuję. Sześć liwrów wydaje mi zupełnie dostateczną ceną...

— Dostateczną ceną!... Nie mówmy już o tem, łaskawa pani. Nie trzeba, żeby tu obecny pan pułkownik nabierał fałszywego wyobrażenia o wartości rzeczy. Ścisłe mó-

więc, perła ta kosztuje mnie dwadzieścia dwa liwry. Pokażę pani moje rachunki!...

— Nie czyń pan tego, panie Karazof. Rachunki pańskie pisane są po persku, a ja nie znam tego języka. Ale widzę, że nie dobijemy dziś targu. Mam tylko sześć liwrów przy sobie.

-- Rachunki moje wykazują dwadzieścia liwrów. Myślałem, że za moje trudy zarobię na tej perle dziesiąty procent. Ale trzeba się tego wyrzec. Czasy są coraz cięższe dla handlujących. Mniejsza z tem. Mój dziadek sprzedawał towary babce pani i czuję, że jakkolwiek zysk osiągnięty na pani Erizian przyniósłby mi nieszczęście. Oto perła. Przyjm ją pani w upominku. Zapłacisz mi tylko dwadzieścia liwrów tureckich.

— Nic z tego, kochany panie. Mam tylko ośm liwrów. A pan wiesz, że Armeńscy nie ustępują nigdy...

— Łaskawa pani, nie mówmy już o dwudziestu liwrach. Postawmy ceny ściśle. Wszystko to były żarty. Ale żartuje się tylko do czasu, a potem trzeba mówić poważnie. Teraz masz pani ostatnie słowo: piętnaście liwrów, a nie zarobię na tem tyle, ile kosztuje jedna chustka do nosa.

— Panie Karazof, weźmiesz pan dziewięć liwrów i jeszcze zarobisz na tem tyle, że od głów do stóp ubierzesz w atłasy swoją śliczną córkę. A ja nie jestem tak bogata, żeby...

— Boże! dziewięć liwrów! Houdże-Gull! pójdź tutaj.

Wchodzi ładna dziewczeczka, uchylając portjerę.

— Pani! na głowę tego dziecka, które jest moją krwią i kością — pan Karazof kładzie rękę na gładko uczesanej głowie dziewczynki — że biorąc dziesięć liwrów tracę.

— Panie Karazof, wierzę panu na słowo. Pójdź-no bliżej, kochanko, niech cię ucałuję! Tak... I powiedz twemu tatusiowi,

że musi mi ustąpić perłę za dziewięć liwrów tureckich, bo jestem bardzo dawną klientką, upartą i kiedyindziej więcej na mnie zarobi. I cóż, panie Karazof?

— Jedenaście liwrów, łaskawa pani!... ostatnie słowo!

— Nie! nie! Dziewięć i pół!

— Ach! pani! Cały ten sklep do pani należy. A perła? To nic... Podarunek. Niech będzie dziewięć i pół liwra.

„Gdyby“...

Małżonkowie mogliby być o wiele szczęśliwsi, niż w rzeczywistości:

Gdyby się chcieli nauczyć przystosowywać swe wydatki do dochodów, gdyby nie żyli nad stan.

Gdyby nigdy nie opowiadali dobrym przyjaciółom o swoich strapieniach domowych!

Gdyby się starali wzajemnie być tak przyjemnymi, jak w dniach ich pierwszej miłości.

Gdyby każda z osób uważała na to, że druga jest człowiekiem, a nie aniołem!

Gdyby każda z osób starała się więcej czynić, a mniej trochę żądać!

Gdyby mieli mniej jedwabnych i aksamitnych ubiorów do wychodzenia, a więcej pojedynczych i czystych ubiorów domowych!

Gdyby uważali w domu więcej na przyzwyczajone obyczaje, a mniej popisywali się przed publicznością tkliwymi słowami.

Gdyby oboje raczej w domu urządzali zabawy, a mniej ich szukali poza domem!

* * *

Każde męskie życie powinno mieć dwie twarze: jedną ze zmarszczonem czołem i wyrazem natężonej myśli, zwróconą ku zadaniom ludzkości, drugą — cichą i spokojną w domu przy ognisku. *H. Sienkiewicz.*



Z DAWNYCH LAT.

Lwów dawny.

W mieszczaństwie lwowskim dawnych wieków jest urok wielki dla każdego, kto kocha życie i przeszłość polską, urok bardzo pozytywnego a dumnego stanu, mocnego samym sobą i zadowolonego z siebie, stanowiącego świat swój całkiem własny i całkiem osobny. Badając życie i sprawy tego mieszczaństwa z dobrej epoki, ma się zarazem i żal i radość odkrycia, że były czasy, tak krótkie niestety, kiedy poza szlachtą, a nawet obok szlachty znajdował się jeszcze odrębny stan z dobrobytem, oświatą i cnotą.

Były czasy, kiedy wszystko się waliło na Rusi polskiej, a Lwów stał prosto, jedyna przystań dla rozbitków wśród burzy. Wśród zamieci kozackich buntów, kiedy w odmęcie strachu i pożogi zniknęło wszystko, co w tej części ziem polskich było władzą, ładem, bezpieczeństwem i nadzieją jakiegoś jutra, Lwów jeden widniał na horyzoncie, a jego baszty i wieże unosiły się jak arka na falach potopu.

Niemniej słynna, jak waleczność, była oświata lwowska. Wśród mieszczaństwa, które wydało tylu znakomitych uczonych pisarzy i poetów, niemal każdy większy kupiec był za dobrych czasów doktorem filozofji, a każdy doktor praw lub medycyny także kupcem. Nie miał Lwów tych samych środków naukowych co Kraków, ale szkoła miejska przy farze, której rektorami bywali znakomici i głośni swego czasu mężowie,

była zakładem wyborym i dawała dobre podstawy wiedzy, którą rozszerzał następnie Kraków, a uzupełniały Bolonja, Padwa, Rzym i Paryż.

Wiedzy pragnęli niemal wszyscy za-możniejsi, i nie znamy prawie patrycjuszowskiej rodziny we Lwowie, która by nie wysyłała swych synów za granicę. Było to tradycją rodową, a zarazem ambicją osobistą każdego młodego patrycjusza, aby być doktorem, przyczem doktorat nie odwodził od handlu. Jeszcze z początkiem XVII w. każdy z tych patrycjuszów lwowskich byłby szczerze powiedział, iż gdyby nie był mieszczaninem, chciałby nim zostać. Szlachta i szlachectwo długo mu nie imponowały; miał swoje cenne przywileje, majątkiem i oświatą stał wyżej od szlachcica miernej kondycji, czasem nawet od senatora, nie kontentował go klejnot szlachecki.

Szlachta często ubiegała się o córki mieszczańskie, nawet jeszcze w XVII wieku, kiedy mieszczaństwo upada, a szlachta przebiera w bucie; ale za pierwszej epoki, t. j. do pierwszych dziesiątków lat XVII-go stulecia, nie spotykamy śladów, aby mieszczaństwo lwowskie uważało to sobie za szczególnie zaszczyt.

Te „tyki“ lwowskie bogate i rozumne, opasane warownymi murami i basztami, obeznane równie dobrze z wagą, jak z armatą, władające równie dobrze łokciem, jak mieczem, a co także znaczyło dużo, piórem i językiem, budziły w średniej i małej szlachcie

zazdrość i szacunek. Jeszcze do pierwszych lat XVII-go stulecia niema otwartego antagonizmu między mieszczaństwem a szlachtą, przeciwnie, dostrzec można ślady wzajemnych sympacji i ufnosci.

Lwów przybiera pozory jakiegoś całym samoistnego, niemal udzielnego organizmu, jakby był kupiecka republika włoską — jest też, aż do swego upadku, dla mieszczańska ojczyzną, Rzeczpospolitą, światem całym. „Ma to miasto wszystko — pisze ówczesny historyk — co tylko do ludzkiego użytku jest potrzebne“. Tu byli wszelkiego rodzaju rzemieślnicy o wielkiej biegłości w swojej sztuce, tu były składy hurtowne wszelkich możliwych towarów, olbrzymie piwnice win greckich, włoskich, węgierskich i wołoskich, bogate kramy, obfitujące w najkosztowniejsze i najrzadsze przedmioty zbytku. Złotnicy i jubilerowie lwowscy sławni byli z doskonałości w swej sztuce, architekci włoscy, niemieccy i polscy, osiedli we Lwowie, na daleki promień dokoła wznosili kościoły, zamki i pałace; ludwisarstwo dochodziło do wysokiego rozwoju — Lwów odlewał działa, dzwony, a nawet śpiżowe pomniki dla znacznej części Polski; tu wykonywano wspaniałe hafty, aplikowano pyszne namioty, wyrabiano sławne złociste rzędy, oprawiano przesłiczne szable. Gdy chodziło o szybkie wyekwipowanie wojska, żadne miasto polskie wyrównać nie mogło łatwością i szybkością dostaw Lwowowi, a było to niejako dobrą tradycją i dumą rzemieślników lwowskich okazywać swoją dzielność w śpiesznym dostarczaniu oręża.

Lekarze lwowscy słynni byli w całej Polsce, garnęła się do nich najznakomitsza magnacka klientela, a wielu z nich było lekarzami nadwornymi. Miał Lwów zawsze drukarnie; księgarze zaopatrywali ludzi czytających w nowe księgi, a na słynne jarmarki lwowskie zjeżdżali zawsze księgarze z Krakowa, Gdańska, Lubeki i t. d.

Magnat i szlachcic mógł tutaj wydzierżawić dobra, sprzedać produkty, wypuścić stawy, znaleźć przedsiębiorcę do eksploatacji lasów, a jego żona i panny znalazły tu wszystko, czego zapragnąć tylko może serce elegantki, począwszy od gronostajów i soboli, od indyjskich pajęczych tkanin, wschodnich złotogłowiów, genueńskich aksamitów, aż do pereł, niderlandzkich koronek, francuskich pończoch i perfumowanych rękawiczek.

Lwów był niewątpliwie pod względem handlowym jednym z najważniejszych punktów na europejskim kontynencie. Na Lwów prowadziła główna lądowa droga handlowa na wschód — tu była stacja handlowa wschodnich kupców. Niemcy przez długi czas nabywali tu wszystko, czego im potrzebna było z dalekiego wschodu, nawet Włochy były niekiedy ograniczone do przewozowego szlaku, który na Lwów przechodził.

Co się tylko gromadziło na cypryjskim targowisku: wino, bawełna, balsamy, korzenie, drogocenne złote i jedwabne tkaniny, co tylko szło na Trapezunt z produktów najdalejszego wschodu, z Persji, Indyi, Chin, jak drogie kamienie, perły, korale, kość słoniowa, kobierce, znajdowało się w składach lwowskich. Nawet haniebną stroną genueńskiego handlu, ów eksport niewolników do handlowych republik włoskich, który długo stał się prowadzony, opierał się niekiedy o Lwów, jak tego pozostały ślady w najstarszych aktach miejskich.

Mieszczaństwo lwowskie za dobrych swoich czasów miało wszystkie wyższe instynkta i zamiłowania patrycjatu włoskiego i niemieckiego, te same upodobania w sztuce i zbytku. Domy patrycjuszów odznaczały się bogatą architekturą i prawdziwie niekiedy artystyczną dekoracją. Okryte szczydrą, aż do przesady rzeźbą, z dumnie sklepieniami sieniami i z krążgankami o kamiennych arka-

dach od podwórza, nie ustępowały najpiękniejszym mieszczańskim domom zagranicy. Najbardziej ulubionym motywem dekoracyjnym był lew, herb i mianodawca miasta, ukochany przez wszystkich Lwowian, jako symbol siły i waleczności ojczyzestego grodu. Niestety pożar i wandalizm zarówno wysilił się na to, aby zniszczyć najpiękniejsze domy patrycjuszowskie. To, co się zachowało, świadczy dobrze o lwowskim mieszczaństwie, a nie zapominajmy, że żyło ono tuż u „paszczyki tatarskiej“, że było załogą fortecy, w którą tak często były kule obłężnicze.

Zewnętrzne dekoracje przygotowywały na coś jeszcze bogatszego w samym wnętrzu domu, w komnatach pana i pani. Poza rzeźbionymi obramieniami drzwi i okien uderza prawdziwie mnogość olejnych obrazów, która się znajdowała w każdym patrycjuszowskim domu. Lwów posiadał zawsze dobrych i średnich malarzy, głównie portrecistów, o czym świadczą dochoowane do dziś portrety patrycjuszów. Przy niektórych znajdujemy wyraźne objaśnienia, że malowane przez włoskich lub niderlandzkich malarzy. Zdumiewające jest prawie bogactwo obić, makat i kobierców. Nigdzie zapewne na całym obszarze Rzeczypospolitej tak się nie miłowano w kobiercach wschodnich i tyle ich nie posiadano, co we Lwowie, który miał je sam z pierwszej ręki, a zaopatrywał w nie najdalsze strony nie tylko Polski samej, ale prawdopodobnie i Europy. Objiano niemi ściany i podłogi; każdy sprzęt, każdy zydel i stół nakryty był kobiercem wschodnim. Najwyżej, oczywiście, cenione były jedwabne na złotem tle. Obok najróżniejszych kosztowności, jak meble rzeźbione, ozdabiane kością słoniową, złociste łoża i zwierciadła, szafy norymberskie i gdańskie, świeczniki zawiesziste z brązu; także najzacieńszy sprzęt w domu cywilizowanym: książka zajmowała szanowne a obszerne miejsce w mieszkaniu

patrycjusza lwowskiego, który uważał to za dumę i za obowiązek swojego stanu być miłośnikiem nauk i oświaty. Każdy mieszczanin ma w swoim domu zapas książek, niektórzy posiadają obszerne biblioteki.

W społeczeństwie tak zamożnym, cywilizowanym i zamiłowanym we wszystkim, co upięknia i uszlachetnia życie, kobieta niewątpliwie musiała mieć tyle pozycji, ile jej potrzeba, aby rozwinąć w pełni nie tylko urok, ale i godność płci swojej. Mieszczanin lwowski posiadał w znacznym stopniu zmysł rodzinny, a szukać żony znaczyło dla niego tyle, co szukać „przyjaciela“. Mieszczka lwowska nie ustępowała wykształceniem swojemu szlachciance, tak, jak nie ustępowała jej pewnie elegancją stroju, a przewyższała niewątpliwie praktyczną znajomością życia, bo umiała zastąpić męża za ładą sklepową i przy księdze rachunkowej. Rozumiała dobrze handel i potrafiła robić pieniądze. Zimorowicz pisze, że od czasu założenia szkół we Lwowie i dziewczęta miejskie szczebioły po łacinie. Sławne były mieszczki także z elegancji; przepychem swoich strojów i bogactwem klejnotów budziły zazdrość szlachcianek. Zdaje się, że mieszczki lwowskie, kiedy były w pełnej toalecie, musiały wyglądać, jak madonny bizantyńskie, tyle było na nich złota, pereł i brylantów.

Cudzoziemcy, osiadający we Lwowie, a osobliwie Niemcy i Włosi, szybko i szczerze przywiązywali się do miasta i zlewali się z jego społeczeństwem. To samo powiedziec można o Grekach, którzy ruszczyli lub polszczyli się zaraz w drugim pokoleniu. Aż do pierwszych lat XVII wieku było w mieście wiele rodzin włoskich, greckich i angielskich nie chwilowo, lecz stałe osiadłych, utrzymujących wprawdzie ciągłe stosunki z ojczyzną pierwotną, ale mieszczan zaprzysięgłych, ożenionych z Lwowiankami, mówiących i piszących tak dobrze po polsku, jak po włosku lub po angielsku.

Niestety niedługo trwa ta świetność handlowa i mieszczańska Lwowa. Jeszcze nim go powaliły katastrofy wojen kozackich, upadek jego handlu i dobrobytu staje się coraz widoczniejszy. Koniec to już Lwowa, jako silnego i bogatego miasta; wraz ze schyłkiem XVI wieku upadek dojdzie do ostatecznego ubóstwa¹⁾.



Wieża się wali.

Będąc we Lwowie, wyszedłem pewnego poobiedzia na rynek, zastałem tam popłoch i usłyszałem wołanie stróża „Wieża się wali“. Od dni kilku wisiało to niebezpieczeństwo nad miastem, komisja bowiem rządowa, czyniąc jakieś naprawy pod spokojną wieżą, wyciągnęła z pod niej węgielny kamień, nakrywający pamiątkowe napisy i medale. Wieża, oburzona taką grabieżą, chmurzyć się i marszczyć zaczęła, lecz zesłana komisja uznała to za babskie fochy, być może patriotyczne wybryki i zaręczyła, że stać jeszcze wieki może (ściśle prawdziwe). Staruszka byłaby przykładnie napastników ukarała, gdyby, czort wie po co, miejski budowniczy K a w k a, wmieszawszy się w sprawę z szwabskimi łotrzykami, przylepionym na ścianie arkuszem papieru, który od razu pękać zaczął, nie był swawolników opamiętał. Musiało się to dziać na chwilę przed mojem przyjsciem na rynek, gdyż ledwo wścignąłem schronić się pod bramę przechodniej kamienicy, wtedy Andreolego, ujrzałem, jak szczyt wieży się kołysze, a sama pani jakby coś niemilego z głowy zrzucić chciała, ale jak na poważną matronę przystoi, pochyła czoło i bez żadnych podrygów przysiadła jak w menuecie²⁾. Ani chwilkę nie

¹⁾ Obecnie przez coroczne od r. 1920 Targi Wschodnie wszedł Lwów w nowy okres rozkwitu.

²⁾ Taniec.

przyszło nikomu na myśl, że nas robroną¹⁾ nakryć może tak poważny i przyzwoity ruch cały. Obłoki gęstego czerwonego pyłu rozścieliły się nad miastem i zrobiła się brudna noc, przez którą po omacku trafiłem do domu. Dla swoich dziwnie łagodnego usposobienia była nieboszczka; córka stróża miała czas po linie spuścić się na dół, sam stróż do ostatniej chwili wołający przez tubę, trzymając się balkonu, bez szwanku osiadł na na gruzach, tylko na kilka dni straciwszy mowę. Kto pamięta jakie gniazdo kamieniczek tuliło się pod wieżą, temu śmierć 32 ludzi cudem się wyda. Odę na zgon wieży napisał jakiś bernardyn, z której dwa wiersze pamiętam:

„A kiedy już śmiertelna porwała ją czkawka,
Kona! Kona! zawołał obywatel K a w k a“.



Pierwsza noc w koszarach.

W Warszawie, podczas powstania listopadowego
w r. 1830.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wieczora i pierwszej nocy w koszarach. Dziwne zrobił na nas wrażenie sypialny salon całego szwadronu, czterema rzędami prycz opatrzone, kilku szabasówkami oświecony. Tu szmer cichych pogadanek, tam szydercze „Moskalu kochany“, porykiwane chórem, szybami wstrząsającym, to jakaś ruska dumka jakby przez sen nucona, wśród brzęku szabel i ostróg włóczących się żołnierzy. Były to dawne koszary kirasjerskie, więc w oczach mi ciągle stały moskiewskie kolosy, tak niedawno rozkładające się na tych pryczach. Prycza to wymysł szatański, sypiałem w życiu mojem na śniegu, grudzie, na skale, ale tam wszędzie ruszyć się, wyciągnąć, obrócić można, tego wszystkiego na pryczy nie wolno, bo się wymknie z pod śpiącego. Pierw-

¹⁾ Szeroka, sztywna suknia kobieca.

szej nocy poślubnej z koszarami, spaliśmy z Julkiem Potockim na jednej pryczy, tuż obok naczelnego wodza naszej szóstki sierżanta Sadowskiego. Zaszczyt dla rekrutów był nie mały ale łoża szkaradne, całą noc ćwiczyliśmy się w gimnastyce, co on zasnął, to ja pokrzywiony wyciągałem nogi, to jemu zdawało się, że spada; trącał mnie a ja znalazłszy się pod pryczą zaspany nie mogłem się połapać, gdzie jestem. Choć przykre nasze położenie było jeszcze zazdrości godnem, bo gdzie jaki rekrut z starym wyjadaczem śmiał walczyć o koniuszek siennika? Tam wiarus leżał do góry brzuchem z rozpartemi szeroko łokciami, a rekruckie ścierwo kuczalo na podłodze, tuląc znużoną głowę to ściany, to do pryczy. Na pierwszy odgłos pobudki zacerpnąwszy po pełnym hańście rumu, włożyliśmy błogosławioną manierkę w otwartą rękę naszego wodza, wdzięcznie uśmiechnął się i odtąd lepszą opinię o naszej znajomości sztuki życia mieć zaczął. Przeznaczył nas do kuchni. Poszło nam to w niesmak, ale wódz kazał, leż w kosz grzybie! Ja sprawiałem mięso i łupiłem zdziwione ziemniaki, Julko skrobał marchew i warzył ryż z własnej kieszeni nabyty (rozrzutnik był niepoprawny). Ryż miał być z roźdzynkami, na mleku wypieczony, w rądlu obłożonym słoniną, a sownie cukrem i cynamonem posypyany. Gdyśmy się tak koło kuchni krzątali, wszedł Sadowski zastraszone, bo, jak się potem pokazało, od włoskich wypraw był wielkim nieprzyjacielem ryżu: „Bo to panie i rano i wieczór ryż, a na obiad jeszcze ryż, aż się szkapom owsa zazdrościło“. Zawołał kuchcika, który po nas objął fartuchy i kociołki. Niechętni poszliśmy na plac ćwiczeń. Tam nowe na nas czekały zawody i zgryzoty. Potocki miał kobyłę szesnastej miary, czystej krwi angielkę. Przy Pierwszem zajściu spłoszona pororcami kwiknęła i nuż na kozły, lanca poszła w lewo, ciasna ceratówka w prawo, Julko z wielką

uciechą szwadronu przed samym frontem w śnieg, a kobyła jednym pędem do stajni. Ja miałem, jak wszyscy nasi, pod galonkami ochotnika oficierskie guziki (zamiast cynowych), rozsierdziłem tem rotmistrza Grzybowskiego (byłego naczelnika żandarmerji), który bił w każdego panicza jak piorun w żelazo. Oburzony całym powstaniem, przedewszystkiem nienawidził Galilejczyków, przybyłych bez paszportów, jednak był to żołnierz twardy, miał przysłowie „Furda ha i cóż!“ Wąsy na czarno szwarcował z huzarską i okręcał je koło nosa, lecz czapkę na prawem nosił uchu. Więc Julko za kobyłę, ja za guziki przed frontem ostre dostawszy napomnienie, pojechaliśmy na obiad nie do koszar, lecz do Kantego, gdzieśmy rozszarpali parę befsztyków i połknęli parę butelek, by zapomnieć o owym ryżu, zostawionym żołdactwu na pastwę.

Lepiej jest mieszkać w kącie pod dachem, albo w ziemi pustej, niż z żoną swarliwą w domu przestronnym.

(Przypowieści Salomona).

* * *

....Nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci hoduje, nie tańcem się dom rządzi.

Ignacy Krasicki.

* * *

Niesforną żonę, chociaż ci mózg wierci, Musisz nieboże cierpieć aż do śmierci.

I. D. Minasowicz.

* * *

Niejeden na koniec świata pędziłby za kobietą, gdy nie jest jego żoną, a jak się z nią ożeni, to na koniec świata chciałby przed nią uciec.

* * *

Człowiek póty młody, póki się rusza, a starzeje się w bezczynności.

H. Sienkiewicz.



DZIAŁ ZDROWIA.

Światło słoneczne.

Czynność organizmu a słońce.

W świetle oddycha się energiczniej, zwiększa się wrażliwość nerwów, t. zn. że człowiek staje się żywszy, ruchliwszy, zwiększa się sprawność mięśni: człowiek chętnie, ochoczo, bez trudu wykonuje wszelką pracę. Przeciwnie w mieszkaniach ciemnych. Brak słońca objawia się u człowieka ślamazarnością, ospałością, niedokrwistością, więc bladeścią; brak światła jest przyczyną najrozmaitszych chorób, że wspomnę prócz niedokrwistości czyli anemji jeszcze reumatyzm, gruźlicę, krzywicę. Prawdę mówi przysłowie: „gdzie słońce nie dochodzi, tam lekarz dochodzić musi“.

Nie chcę się rozwodzić bliżej nad wpływem światła na wszystkie zarazki. Słońce jest naszym najlepszym odkazicielem, bo zabija w niedługim czasie zarazki, których nie mogą szybko zabić nawet silne płyny odkażające jak: karbol, sublimat i inne.

Umiejętnie korzystać ze słońca.

Słońce jest wielkim naszym dobrodziejem, nie trzeba gardzić jego darami, lecz je wdzięcznie a umiejętnie przyjmować. Podkreślam to słowo: umiejętnie. Słońce jest szczodrym dobroczyńcą, darów nie żałuje, ilości swych darów nie wyznacza: człowiek musi sam wyznaczyć sobie ilość. Dałoby się słońce porównać do jakiegoś bardzo boga-

tego wujaszka z Ameryki. Bogatemu wujaszskowi nie zależy na paru dolarach, ma ich dużo, więc kupuje krewniaczkowi moc cukierków, tak dużo kupuje, że krewniaczek rozchorowałby się napewno, gdyby sobie nie wyznaczył ilości, gdyby nie powiedział: mam już dosyć, resztę zostawiam na dni następne.

Szkodliwość światła słonecznego.
Zapalenie skóry.

Co do literki podobnie jest ze słońcem: szafuje światłem bez ograniczenia, ograniczać mają i muszą sami ludzie. Najlepiej to zrozumiecie Czytelnicy, gdy wam opiszę prawdziwy wypadek z lata 1925 roku. Byłem na wakacjach w jednej wsi pod Krakowem. Przyjechał tam jeden pan z Krakowa razem z żoną chorą na nogi. Lekarze polecili żonie trzymanie nóg odsłoniętych do kolan na słońcu, na białym prześcieradle, mówiąc językiem lekarzy: kazali jej brać kąpiele słoneczne nóg, co też ta niewiasta skrupulatnie szereg dni robiła. Mąż słyszał o dodatnim wpływie słońca na organizm człowieka. Nic mu nie brakowało, ale przecież słońce dobre a za darmo, trzeba korzystać. Wyniósł sobie pod ścianę białe prześcieradło, zdjął koszulę i raz brzuchem, drugi raz plecami cieszył się panisko słoneczkiem. Siedział tak przez parę godzin w pełnym słońcu w dniu upalnym. Nie długo czekał na skutki. Pod wieczór zrobiło mu się niedobrze, dostał nudności,

czuł wyraźnie gorączkę, rwanie w głowie, a potem zaczerwieniła się skóra, obrzękła silnie, potworzyły się liczne pęcherze. Bolesność była tak wielka, że parę dni chodził bez koszuli, całkiem nago, pod parasolem, bo słońce prażyło niemiłosiernie, a naświetlenie takiej skóry jest bardzo bolesne i może pociągnąć za sobą poważne następstwa.

Jest to przypadek zapalenia skóry, znany zresztą każdemu żniwiarzowi z mało opalonym karkiem, albo z dziurą w koszuli: słońce działa ostro na nieprzyzwyczajoną, białą, nieopaloną skórę i powoduje jej zaczerwienienie i bolesność.

Przebywanie na słońcu.

Skórę naświetlać należy powoli, stopniowo, najpierw przez krótki czas, potem gdy się skóra przyzwyczai, to znaczy trochę opali, można skórę naświetlać dłużej, a potem nawet dowolnie długo. Specjalnie jednak nie robić naświetlania większych partij skóry, czyli nie brać kąpeli słonecznych bez zalecenia lekarza, bo nieumiejętna kąpiel słoneczna może przynieść większą szkodę niż korzyść. Zato przebywać dużo na słońcu, w ruchu, w polu; przez ustawiczny ruch zmienia się ułożenie ciała, coraz to inne części są naświetlane, wszystkie naświetlane równomiernie, żadna nie narażona na ustawiczne działanie słońca, jak to jest przy wszelkich leżeniach czy siedzeniach na słońcu.

Leczenie zapalenia skóry.

Czasem, właściwie bardzo często zdarza się jednak zapalenie skóry, poparzenie skóry, spowodowane przez ciągłe operowanie słońca na jednym miejscu. Często w jakichś podróżkach pod słońce, koniec nosa (szczególnie u ludzi z długimi, wystającymi nosami), najwięcej narażony jest na szkodliwe działanie słońca. Często połowa twarzy zaczerwienia się od słońca nadmiernie u kosiarzy, którzy koszą najczęściej ze zachodu na

wschód, więc strona prawa twarzy. Wtedy radzić sobie w ten sposób: jeżeli skóra tylko zaczerwieniona nie myć się, okładać utartymi, surowymi ziemniakami, albo mąką, albo alkoholem, albo posmarować olejem lnianym z wodą wapienną (pół na pół), oliwą, lub maścią borową.

Jeżeli są pęcherze, postępuje się inaczej. Pęcherzy nie wolno rozcinać, zrywać i t. p. Co najwyżej nakłuć je można z brzegu igłą wypaloną w płomieniu i wypuścić wodę. Najlepiej przyłożyć na całe miejsce poparzone duży płat czystego płótna, zmoczonego w oliwie, lub oleju lnianym z wodą wapienną (po równych częściach — przed użyciem zakłócić) i lekko przybandażować. Jeżeliby poparzenia były duże, należy podać choremu czarnej kawy, wina, rumu i t. p., a ewentualnie nawet zawezwać lekarza.

Porażenie słoneczne albo udar słoneczny.

Gdy z jakiegokolwiek powodu utrata ciepła ustroju jest utrudniona, następuje zatrzymanie większej ilości ciepła w organizmie, przegrzanie organizmu czyli udar słoneczny. Zdarza się najczęściej u żołnierzy maszerujących w pełnym rynsztunku w czasie upału, zdarza się u wycieczkowców, naturalnie nie tak rzadko na wsi, gdzie się w lecie pracuje ciężko tylko na słońcu. Udar słoneczny objawia się początkowo zawrotem głowy, pragnieniem, zaczerwienieniem twarzy, potem zamąceniem przytomności i zupełną jej utratą, szybkim oddechem i szybkim pulsem. Najcharakterystyczniejsza jest sinoczerwona twarz i gorąca skóra.

Ratowanie porażonego.

Ratowanie: Ułatwić ustrojowi oddawanie ciepła, więc ułożyć chorego w chłodnym, przewiewnym miejscu, głowę i barki ułożyć wysoko, rozpiąć ubranie, piersi obnażyć aż do brzucha, na serce i głowę zimny okład,

lub zlewanie głowy zimną wodą, w ciężkich przypadkach zlewać zimną wodą całe ciało albo zawinąć na $\frac{1}{2}$ —1 godz. całe ciało (nagie) w prześcieradło, umaczane w zimnej wodzie (tak owiniętego chorego nakrywa się czemś suchem: kocem albo suchem prześcieradłem i kołdrą — po godzinie wytrzeć dobrze ciało), podać zimną wodę do picia, w osłabieniu kawę, wino, łyżkę koniaku, krople Hoffmana, lub amoniak i eter do włączania, ewentualnie zrobić sztuczne oddychanie. Wypadków takich nie lekceważyć, lecz wnet wezwać lekarza, bo śmierć z ciężkiego porażenia nie jest rzadkością.

Gdy chory jest nieprzytomny, nie wolno mu wlewać do ust żadnych płynów. Gdy przytomny, podawać dużo napojów.

Zapamiętajcie sobie to wszystko, żeby w razie wypadku umieć sobie lub innym poradzić. H.

Przyprawy.

Czyste naczynia i schludna, przyjemna izba to pierwszy warunek smaku. Drugim warunkiem jest przygotowanie pokarmów odpowiednimi dodatkami, które nazywami przyprawami.

Najbardziej rozpowszechnioną przyprawą pokarmów jest sól. Pewna ilość do smaku jest niezbędna. Uważać jednak trzeba, żeby nie solić za dużo. Nadmiar soli szkodzi. Robiono badania na kurach, którym zbyt solono jedzenie — i wszystkie zdychały. Człowiekowi tak samo szkodzi nadmiar soli. Używać więc soli miernie, do smaku.

Drugą po soli najwięcej rozpowszechnioną przyprawą jest cebula. Znakomicie pobudza apetyt, pędzi wiatry. Poza tym wpływem na przewód pokarmowy cebula ułatwia odrzucanie flegmy przy katarach i zapaleniu oskrzeli.

Podobne a nawet silniejsze działanie ma czosnek. Dodaje potrawom specjalnego

smaku, pobudza trawienie. Prócz tego, tak samo jak cebula, stosowany jest jako środek oddzielający flegmę we wszelkich katarach i chrypkach. Czosnek działa również moczopędnie i trująco na robaki. Tem różnorakiem działaniem cebuli i czosnku tłumaczą zdrowotność i odporność na wszelkie choroby u żydów i długowieczność Bułgarów, którzy spożywają dużo cebuli i czosnku.

Do dalszych przypraw należy pieprz i papryka. Używane w miarę podnoszą apetyt. Pieprzu używają nawet na bóle żołądkowe razem z wodą lub wódką. Tak samo działa i ziele: mięta pieprzowa, bardzo chętnie dodawana w stanie sproszkowanym do rozrobionego sera czyli tak zwanego kajpusu. Używa się herbaty z mięty pieprzowej jako lekarstwa przeciw bólowi żołądka, brakowi apetytu i t. p.

Bardzo rozpowszechnione są pewne jarzyny jako przyprawy. Nie mówię tu o dodawaniu kapusty, marchwi, grochu do rozmaitych zup, rosółów, bo one dodają potrawom trochę smaku, więc działają dobrze na apetyt, ale same przez się nie mają działania pobudzającego wydzielanie soku żołądkowego. Wspomnę tu natomiast o jarzynach, oznaczających się silnym a przyjemnym zapachem: są to pietruszka, koper, majeranek. Każde z wymienionych oprócz przyjemnego zapachu, głaszczącego podniebienie i pobudzającego apetyt, ma wielorakie działanie lecznicze. I tak pietruszka działa moczopędnie. Koper włoski prócz działania moczopędnego ułatwia oddzielanie się flegmy przy katarze dróg oddechowych, działa rozgrzewająco i pobudzająco na wydzielanie się mleka przez gruczoły mleczne. Majeranek jest pierwszorzędną przyprawą potraw, szczególnie kielbas, działa bowiem pobudzająco i korzystnie na czynności żołądka i kiszek, przytem na czynności wątroby, na działanie moczopędne, wpływa dodatnio na katary

dróg oddechowych, rozmaite choroby macicy i nerek.

Widzimy z tych kilku przykładów, jak wielkie znaczenie mają przyprawy. Z jednej strony pobudzają apetyt, z drugiej strony mają działanie lecznicze. W tej chwili chodzi nam o pierwsze działanie: zwiększanie apetytu, sprawienie, że zupełnie proste potrawy je się ze smakiem, stąd wyrabia się przy jedzeniu dobry humor, zadowolenie z jedzenia, z gosposi, z domu, ze świata, stąd powstaje chęć do życia, chęć do pracy — a wszystko przy pełnym zdrowiu, czego właśnie każdy chce, bo to wszystko jest największem „szczęściem“, a reszta z tego wypływa.

Naprawdę, więcej byłoby dobrych małżeństw, dobrych domów, dobrych rodzin, gdyby było więcej dobrych gospodyń. H.

Kilka słów o pielęgnowaniu chorego.

Przedewszystkiem choroby nie lekceważyć, ale wezwać lekarza i stosować się ściśle do jego wskazówek.

W izbie chorego powinno być zawsze świeże powietrze. Najlepiej jest otworzyć okno w tej izbie, gdzie leży chory, a gdy tego nie wolno, w takim razie należy otworzyć okna w sąsiedniej izbie, a drzwi od izby chorego zostawić otwarte, uważając, aby na chorego nie było przeciągu.

Przy chorym jest bardzo ważną rzeczą wielka czystość, częste zmienianie bielizny na pościeli i przebieranie chorego w czystą koszulę. Czysta bielizna jest wielkiem dobrodziejstwem dla chorego. Im jest cięższa choroba i im większa gorączka, tem częściej zmienia się bieliznę choremu. Bielizna musi być sucha, bez zapachu i dobrze ogrzana.

Zrana, zanim chory dostanie śniadanie, myje się mu ręce i twarz wodą i mydłem,

podaje się mu letniej wody do wypłukania ust. Po śniadaniu, jeżeli chory nie jest zmęczony, trzeba go zaczesać i obmyć mu ciało letnią wodą. Najlepiej jest przeznaczyć do tego użytku dwa czyste kawałki płótna lub dwie gąbki, jeden do obmycia górnej części ciała, drugi dla dolnej części, uważając, by płócien lub gąbek nie pomieniać. Rano i wieczór myje się choremu krzyże zimną ustalą wodą, aby zapobiec bolesnemu odleżeniu ciała. Dobrze działa na ból krzyżów i boków przy leżeniu nacieranie miejsc bolesnych czystym spirytusem do picia (bon-gut).

Potem ściele się łóżko tak wieczór jak i rano. Siano, czy słoma w sienniku muszą być równo poruszone, aby nigdzie dołów ani guzów nie było, a nakrywa się siennik czystem prześcieradłem, które się starannie wygładza, by zmarszczki i fałdy nie gniotły chorego. Poduszki w czystych poszewkach układa się tak, jak chory lubi i jak lekarz przepisał albo niżej albo wyżej. Chorego nakrywa się kołdrą lub kocem obleczoneym w czyste prześcieradło.

Izbę chorego zamiatą się codzień, podłogę wyciera się wilgotną ścierką i ściera ze sprzętów kurz. Jeżeli potrzeba podłogę obmyć, wtedy przenosi się chorego do innej izby, a gdy podłoga wyschnie, wtedy wraca on do swej izby. Dawny przestarzały zabobon, jakoby chory nie powinien przebierać czystej bielizny, gdyż to ma mu szkodzić, jak też i sprzątanie w izbie chorego były przyczyną częstego pogorszenia w chorobach.

Potrawy dla chorego gotuje się codziennie świeże, soli je mało i nie podaje się choremu nigdy resztek z dnia poprzedniego. Z potraw podaje się tylko te, które lekarz jeść mu pozwoli. Z tłuszczów używa się tylko dobrego świeżego masła, bo jest najstrawniejsze ze wszystkich tłuszczów.

Przy powstających chorobach, należy choremu pozwolić na to, aby szedł za po-

pędem natury, to znaczy, aby się spokojnie położył, a przy braku apetytu unikał jedzenia. Przy stanach gorączkowych. apetytu brak najczęściej zupełnie, natomiast ma chory silne pragnienie; zaspakajania go nie należy mu wbraniać. Przez podawanie szkodzi się rzadko. Nie trzeba nawet przed zimną wodą mieć obawy; jednak należy podawać mało, ale tak często, jak chory żąda. Jeżeli się ma wątpliwości, czy zwykła woda do picia jest dobra, należy ją wprzód przegotować i na nowo ostudzić, nim się ją poda choremu. Czy ma się trochę osłodzić, czy dodać do niej trochę soku owocowego (malinowego, porzeczkowego, cytrynowego), o tem niech rozstrzyga sam chory. Mleko podawać można tylko wtedy, gdy niema biegunki.

Przy chorobach zakaźnych należy odkazić odchody i bieliznę chorego kwasem karbolowym. W tym celu moczy się bieliznę w wodzie, do której dodaje się na 100 części jedną część kwasu karbolowego lub kreoliny.

Aby się ochronić przed zakażeniem, poleca się następujące wskazówki: Nim się idzie do chorego, trzeba coś spożyć; natomiast nie wolno nic jeść w pokoju, gdzie leży chory. Bieliznę należy często zmieniać i usta częściej płukać wodą, do której podaje się trochę wódki francuskiej. Najlepszym środkiem ochronnym przeciw zakażeniu jest nieustraszonosc, spokojny i ufny w Boga umysł.

Odkazanie (dyszynfekcja) mieszkania. Dobre usługi oddaje alkohol w dezynfekcji mieszkania. Para z alkoholu w przeciągu 10—15 minut wszędzie w mieszkaniu z a mkn ię t y m wn i k n i e, n i e n i s z c z a c m e b l i, a d e z y n f e k c j ę t ę m o z n a w y k o n a ć s z y b k o w a r k i e m, a w i ę c b a r d z o m a ł y m k o s z t e m. C z y n i s i ę t o w n a s t ę p u j ą c y s p o s 0 b: D o 1 l i t r y (k w a r t y) w o d y w l e w a s i ę 1 l i t r (k w a r t ę) s p i r y t u s u 95% i m i e s z a o b a p ł y n y r a z e m. N a c z y n i e

z tym płynem stawia się na palący się szybko samowarek i gdy oba płyny zagotują się i kipić zaczną, wtedy para buchająca zapełnia pokój i działa, jak powyżej podano. Oczywiście należy się starać, by para alkoholowa dotarła w każdy zakątek mieszkania.

Uregulowanie stolca.

Koniecznym warunkiem zdrowia jest stolec uregulowany. Każdy, czyto zdrowy, czy chory człowiek powinien mieć raz dziennie stolec. Jeżeli chory cierpi na zatwardzenie, powinno mu się dać 1 łyżkę olejku rycynowego, a gdy tego środka nie znosi, najlepiej podać go w piwie, albo z limoniadą, albo też w rosale gorącym. Jeżeli chory ma przez dzień więcej jak dwa razy stolec, wtedy wskazane jest lekarza się poradzić. Nieraz pomaga gęsty kleik z ryżu i okład na brzuch z gorącego popiołu albo grysu lub tłuczzonego lnianego siemienia, zawinięty w ściereczkę.

Kąpiel.

Kąpiele są dla chorych i zdrowych wielkiem dobrodziejstwem. Stosownie do choroby lekarz powie, czy mają być zimne czy ciepłe. Ciepła kąpiel powinna mieć ciepła + 28 R. Kąpiel trwająca 14—minut wzmacnia, dłużej trwająca osłabia i sprawia ból głowy. Kąpiel zastąpi też niekiedy (trzymając się rady lekarza) zawijanie w koc, zimne nacierania, okład wysychający, lub gorący okład.

Sposoby użycia okładów podaję poniżej.

Zawijanie w mokre prześcieradło.

Rozciela się koc na łóżko, na to rozkłada się równo czyste w letniej wodzie zamaczane i wykręcone prześcieradło, na które kładzie się nagiego (gołego) chorego i zawija go najpierw w prześcieradło, potem w koc szczelnie na 1 do 1½ godziny. W pokoju musi być ciepło + 15° R. Poczem naciera się chorego zimną wodą i dobrze do sucha wyciera. Używa się tych okładów

przy każdej gorączce, reumatyzmie i bólu nerwów i t. p.

Zimne nacierania.

Grube prześcieradło macza się w zimnej, jednak w izbie ustalej wodzie, obwija w to prześcieradło stojącego nagiego chorego i naciera go prędko rękami z góry na dół. Po 10—15 minutach zrzuca chory prześcieradło z siebie, narzuca się na niego suche prześcieradło i wyciera się niem znowu szybko. Tak zimne nacierania bardzo wzmacniają. Osobom osłabionym takie nacieranie robi się najpierw w lecie, by przyzwyczaiwszy się do tego i w zimie dobrze to znosiły.

Okłady wysychające.

W zimnej, w izbie ustalej wodzie, ma się kawał płótna, wykręca się i przykładają go na zbolełe miejsce, na to daje się ceratkę, albo kawałek czystego papieru, nakrywa to flanelą i dobrze obandażuje t. j. obwiązuje ręcznikiem lub t. p. Okład taki stosownie do rady lekarza zostawia się na 12—24 godzin. Gdyby po zdjęciu okładu pokazały się pęcherzyki na ciele, to się je smaruje oliwą lub waseliną. — Okłady te stosuje się z dobrym skutkiem we wszystkich chorobach dróg oddechowych jako to: katar i zapalenie gardła, katar i zapalenia oskrzeli, płuc i opłucnej.

Gorące okłady.

Kawał płótna wkłada się do wrzącej wody, prędko wykręca przez gruby ręcznik, by się nie poparzyć, kładzie na zbolełe miejsce, daje na to ceratkę, kawałek flaneli i pospiesznie bandażuje (obwiązuje) szczelnie. Jeżeli okład jest należyście wykręcony i z pośpiechem robiony, to na drugi dzień jest suchy. Używa się go przy reumatycznych opuchnięciach i przy t. zw. postrzałach. Stosuje się też okłady gorące w postaci gorących flaneli, albo gorących pokrywek glinianych, które dla uniknięcia poparzenia

powinno się owijać ręcznikiem. Okłady te działają dobrze we wszystkich dolegliwościach brzucha.

Okłady z grysu albo siemienia tłuczonego.

Siemię tłuczone na mąkę albo grys gotuje się na papkę. Bardzo gorące zawija się do szmatki i przykładają się do zbolełego miejsca. Używa się tych okładów przy wrzodach, by nabrały i pękły i przy rozwolnieniu.

Leczenie kataru.

Chcę spełnić dobry uczynek — podać lekarstwo na katar. Nie jedno lekarstwo, kilkanaście lekarstw, a zakatarzony niech wybiera, które mu z nich przypadnie bardziej do gustu i do którego ma większe zaufanie. Doświadczyłem wszystkich tych środków na sobie, więc co zalecam, to zalecam na podstawie osobistej praktyki. Niech czytelnik przyjmie je tak wdzięcznym sercem, jak ja je przyjmowałem w swoim czasie od doradców.

Gdy pierwszy raz zakaszałem, poradził mi mój przyjaciel: wymoczyć nogi w ciepłej wodzie i położyć się do łóżka. Uczyniłem to. Nie pomogło. Poradził mi zatem inny przyjaciel wprost przeciwną kurację: wziąć zimną kąpiel. I to uczyniłem. Ogarnęły mię dreszcze. Poradzono mi na dreszcze gładówkę a na katar przesycenie się. Trudno było i jedno i drugie równocześnie wykonać, postanowiłem sobie jednak najpierw dobrze się najeść, a potem dopiero post rozpocząć. Poszedłem zatem do świeżo otworzonej amerykańskiej gospody, w której za pewną stałą opłatą dozwolonem było tyle zjeść, ile komu się podobało. Rozpocząłem kurację, jadłem i jadłem, a gospodarz z boku przypatrywał się najpierw ze zdziwieniem, potem z rozpaczą. Gdy wstałem od stołu, przystąpił do mnie gospodrz i pyta: „Czy

u was często ludzie zapadają na katar?“ Usłysawszy, że tak, nic nie odpowiedział, tylko zdjął szylt z gospody i drzwi zarygłował.

Wracając do domu, spotkałem znajomego, który mi powiedział, iż na katar nic tak nie pomaga, jak kwarta ciepłej wody ze solą. Wątpiłem, czy to lekarstwo po tak suttym obiedzie jeszcze się we mnie zmieści, ale czegoż to człowiek nie zrobi dla miłego zdrowia? Wypiłem. Skutek był gwałtowny. Myślałem, że wydrze ze mnie duszę. Za silne było to lekarstwo. Gdybym drugi raz chorował na katar, a miał do wyboru między trzęsieniem ziemi a kwartą ciepłej wody ze solą to wolałbym wybrać trzęsienie ziemi.

Kiedy ustała burza, jaka w moim żołądku po tem lekarstwie szalała, wypchałem kieszenie chusteczkami do nosa i poszedłem na przechadzkę. Spotkałem w drodze znajomego z kresów, który mi powiedział, że u nich o lekarza trudno, więc każdy w ich stronach zna się na medycynie i leczą się tam tylko środkami domowemi. Obiecał mi sam przyrzadzić lekarstwo. Przyszedł do mnie do domu i zrobił mi mieszaninę z gorącej wody, sody i terpentyny. Miałem tego lekarstwa pić szklanek co kwadrans. Już po jednej szklance miałem go dosyć. Postanowiłem sobie nie leczyć się wcale i czekać, co będzie. Ale po tych wszystkich lekarstwach osłabłem, kaszlałem coraz mocniej, dreszczę mną trzęsły jak przy febrze. Trzeba było koniecznie jakiejś rady szukać.

Po dwu dniach męki poradzono mi piolunówkę w pieprzem, potem ze słoniną przepioną. Piłem, ale oprócz zawrotu głowy nie zauważyłem żadnego innego skutku.

Poszedłem wreszcie do wróżki. Ta każała mi owijać się na noc prześcieradłem namoczonym w zimnej wodzie i trzymać je tak długo na gołem ciele, zanim porachuję jeden do tysiąca, a potem w tył od tysiąca

do jeden. Zdawało mi się, że mi szpik w kościach zamarznie. Na szczęście odwiedził mię przy liczeniu w tył, przysłany przez kolegę wróżbita. Zdarł ze mnie prześcieradło, a nalepił na plecy i na piersi ogromny plaster z gorczycy, dał się napić odwaru z jakichś gorzkich korzeni i okadził mię dokoła węglami, na których paliły się jakieś śmierdzące zioła. I to nie pomogło. Ledwo żyłem już po tych kuracjach. Straciłem nawet na parę dni przytomność, tak, że nie pamiętam już, co dalej było i jak do zdrowia wróciłem. Po powrocie do zdrowia spisałem zaraz te cudowne recepty do kalendarza, może się komu przydadzą.

Oświata bez religji wyhoduje tylko złodziei i bandytów. *H. Sienkiewicz.*

* * *
Złe Stańczyk powiedział, że w Polsce jest najwięcej doktorów — w Polsce jest najwięcej polityków. *H. Sienkiewicz.*

* * *
Nie dbaj, chociaż zła wieść o to tobie [gruchnie...

Kto nie je czosnku, pewnie nim nie [cuchnie.
Franciszek Żeglicki.

* * *
Tacy, którzy się chwają, mało zawsze [czynią;
Im która głębsza rzeka, tem więc ciszej [płylnie.
Krzysztof Opaliński.

* * *
Książka nierozdzielny towarzysz, przyjaciel bez interesu, domownik bez naprzykrzenia, do niej się w każdej porze udać można. W zasępieniu rozweseli, w tęsknocie zabawi, w każdej okoliczności nauczy i wesprze, byle się do takich udawać, które tchną nauką i cnotą. *Ignacy Krasicki.*

DZIAŁ GOSPODARCZY.



Pielegnowanie łąk na wiosnę.

Pierwszą czynnością w łąkach jest usuwanie kretowisk. Trzeba je akuratnie rozrzucać, kretów jednak nie tępić, gdyż pożerają pędraki i owady, więc są pożyteczne. Stwardniałe kretowiska i kępy po staniu śniegu rozciąć z góry, na krzyż, ziemię ze środka rozrzucić a darń położyć na swoim miejscu i udeptać. O ile kęp jest za dużo, najlepiej łąkę przeorać, zasiał owies, po owsie okopowe, a po nich wsiać w zbożu ochronnem odpowiednią mieszanekę. Wczesną wiosną należy przystąpić do równania powierzchni, gdyż w dołkach rosną trawy kwaśne, a na pagórkach jest trawa rzadka i często wysycha. Najpierw żdzieramy rydlem darń na pagórkach, a następnie przenosimy ziemię na dołki. Po wyrównaniu darń układamy napowrót, wałujemy i posypujemy miałką ziemią lub kompostem. Najlepiej wpływa na porost trawy bronowanie. Gdy darń jest zwarta należy bronować ostro wzdłuż i poprzek. Zwykła brona polowa pracuje nierówno, skacze po ziemi i zamało się wrzyna. Najlepiej używać „bron łąkowych“, które składają się z szerego trójzębnych ogniwi i służą do wydrapywania mchu i chwastów. Wybronowany mech trzeba wygrabić i usunąć. Bronować łąki można wtedy, gdy odtają wszędzie i dostatecznie obeschną. Łąki torfiaste bronujemy rzadko, bo wzdyma się wierzchnia warstwa,

korzenie traw zostają wysadzone na wierzch. Bronując, moglibyśmy powyciągać korzenie i obnażyć ziemię z roślinności. Używamy tu walców, które wgniatają korzenie. Wał powinien być możliwie ciężki. Dużą szkodę wyrządzają łąkom chwasty, zagłuszając drobne rośliny. Wiele chwastów ginie przez umiejętne osuszanie albo nawadnianie. Należy też oglądać miedze, rowy, pobliskie pastwiska i skaszać zielsko przed dojrzaniem, żeby się nie rozsiewało. Nie można zapominać i o nawożeniu łąk. Gnojówka nadzwyczaj podnosi plony. Należy ją jednak rozcieńczać wodą (na 1 część gnojówki, 2 części wody) i równomiernie rozlewać po powierzchni łąki. Można ją wywozić w każdym czasie, a rozlewać w dzień pochmurne, wilgotne, gdyż przy suchem powietrzu mogłaby wypalić trawę. Przy wypasaniu łąk należy baczyć, aby bydło nie przedzierało darni, co zwykle następuje, gdy łąka jest wilgotna. Na łąkach o wierzchniej warstwie gąbczastej nie można pasać inwentarza, gdyż dziurawi darń i powoduje tworzenie się kęp. Przy wypasaniu łąk należy bydłu wyznaczyć taki tylko obszar, jaki wyjeść jest w stanie. W przeciwnym wypadku, na obszernem pastwisku bydło zjada najpierw lepsze trawy, a gorsze zostawia. Wskutek tego dobre rośliny łąkowe powoli znikają, a złe dojrzewając i rozmnażając się przez nasienie, zajmują ich miejsce i z roku na rok pogarszają wartość łąki. Przy paszeniu trzeba starannie

rozrzucac pozostawione na łące odchody zwierzęce.

Kiedy kosić konicze i łąki ?

Corocznie jeden i ten sam błąd popełnia dużo gospodarzy, a mianowicie za rychło wyganiają swoje bydło na pastwiska, a za późno zaczynają kosić koniczynę i łąki. Chcielibyśmy o tem pomówić słów parę, aby ściśle oznaczyć, kiedy najlepiej kosić nasze łąki.

Ażeby zrozumieć dokładnie czas odpowiedni kośby, musimy się zastanowić nad rozwojem rośliny pod względem przyjmowania pokarmów. Otóż młoda roślina pobierając z ziemi i powietrza różne sole i połączenia przerabia je w łodygach i liściach na pokarmy potrzebne do wytworzenia czy to bulw, czy też nasienia. Czem młodsza roślina, tem łatwiej strawniejsze zawiera pokarmy i tem więcej ich ma w łodygach i liściach. Gdy jednak roślina zakwitnie, to część większa tych pokarmów gromadzi się w kwiatach, a mianowicie w dolnej ich części, bo są potrzebne na wytworzenie nasienia. Tę przemianę widzimy dokładnie u naszych zbóż naprzykład u żyta, bo gdy ziarno się zawiąże w kłosie, to słoma bieleje a listki obsychają i cała łodyga małą przedstawia wartość jako pasza. To samo dzieje się z naszymi koniczynami i trawą na łąkach, gdy kośbę opóźnimy, gdyż wtedy zamiast paszy i siana zbieramy po prostu słomę.

Z tego powodu nieraz gospodarz się dziwi, że krowa mleka nie daje tyle, co powinna, choć pasza wydaje się zdrową, ale rzeczywiście lichą. Kosić się powinno nasze koniczyny i łąki, gdy rośliny zaczynają zakwitać, wprawdzie trochę mniej się zbiera paszy na wagę, ale jakość o wiele lepszą.

Jak postępować z rozsadą kapusty wczesnej ?

Kapustę na wczesny użytek sadi się zwykle w drugiej połowie kwietnia do pierwszych dni maja. Termin wskaże ogrzana

ziemia, jak i sama rozsada, która musi być jednak dobrze już na ewentualne przymrozki zahartowana. Sadić należy tylko rośliny zdrowe, mocne, krępe; gorsze odrzucić, albowiem nie wydadzą nigdy należytej kapusty.

Wieczorem, dzień przed wyjęciem rozsady z inspektu, należy ją zlać mocno wodą, aby zjedrniała i łatwiej się przyjęła; wyjmować ostrożnie, podważając ręką, ale nie wytrząsając ziemi z korzonków, która w postaci małych grudek jest do nich przyczepiona, albowiem grudki te właśnie, łącząc się z ziemią w gruncie, dostarczają zaraz korzonkom wilgoci. Sadi się rośliny, wypychając korzenie w pulchną, wilgotną ziemię i obciskając dokładnie, uważać jednak należy, aby korzonków nie zawijać i nie zasypać „serca“. Używanie kołków do sadzenia nie okazało się praktyczne, również jak i maczanie korzonków w mieszaninie krowieńca z gliną, albowiem masa ta twardej przeskadza połączeniu korzonków z ziemią i przechodzenia do nich wilgoci. Po tygodniu należy przeglądać wysadzoną rozsadę i puste miejsca dosadzić, unikając umieszczania roślin w tych samych dołkach.

Kiedy sadić ziemniaki ?

Po ukończeniu zasiewu zbóż jarych, buraków, strączkowych, czas na sadzenie ziemniaków. Kolei tej przestrzegają stale gospodarstwa na Zachodzie, wychodząc ze słusznego założenia, że ziemniaki, sadzone w suchą, należyce ogrzaną ziemię, prędko kiełkują, silnie się rozwijają i nie narażone na przymrozki wiosenne, na które są bardzo wrażliwe, zapewniają dobry plon. Toteż z reguły sadzą ziemniaki nie wcześniej, jak z końcem kwietnia i w ciągu miesiąca maja. O ile jednak zasada ta stosowana bywa z najlepszym skutkiem na ich ziemiach piaszczystych, prędko wysychających, to tembardziej zastosować ją można na naszych ziemiach zwężlejszych lepiej wilgoć konserwujących.

Jeż przyjacielem rolnika.

Jak często spotyka rolnik na drodze szczątki martwego jeża, ubitego kijem przez jakiegoś wiejskiego dzieciaka lub dorosłego człowieka, któremu się zdawało, że dokonał chwalebego czynu, mordując szkodnika! Tymczasem jeż nie jest szkodnikiem, owszem bardzo pomocny rolnikowi, obdarzony bowiem doskonałym apetytem pożera z równym zadowoleniem pędraki, ślimaki, dżdżownice, myszy, szczury i przeróżne szkodniki, a nawet żmije, jad których jest dlań zupełnie nieszkodliwy.

Natura poskąpiła biednemu jeżowi wdzięków, oblekając w kłujące kolce, jedyną broń przeciw napastnikom. Kolce i niemiły zapach, który wydziela, dały pole do posądzeń, że na kolce nabija owoce z sadu, wynosząc je masami do kryjówek i zatrzuwa wodę w studniach. Tymczasem jeż pędzi żywot spokojny i pracowity, węsząc posuwa się wolno, ale łup rzadko umknie, zapasów nie robi nigdy, a jeśli ma jakie wady, to tylko te, że robi zniszczenie w gniazdach ptasich, nisko lub na ziemi zbudowanych i że nie byłby pożądanym gościem w naszych kurnikach. W ogrodach jednak oddaje nieocenione usługi.

Na zimę zasypia jeż pod stosem uschłych liści, na wiosnę budzi się znowu do pracowitego życia.

Tępienie kretów.

Kret zjada dużo szkodliwych dla roślinności owadów, dlatego jest pożyteczny. Czasami zagospodaruje się na łące i jego kopce utrudniają koszenie, albo w ogródkach, gdzie obnarza korzonki. Nie trzeba go jednak zaraz zabijać, ale wypłoszyć, jeżeli wejdzie, gdzie go nie wyglądamy, ale za to gorzej wyjdą na tem rośliny, bo pędraki i najrozmaitsze szkodniki będą sobie używały.

Wypłoszyć kreta można bardzo łatwo niżej podanymi środkami:

Kret ma bardzo delikatny węch, jeżeli się zatem włoży w jego korytarze silnie a nieprzyjemnie wonne przedmioty, to nie będzie mógł przejść korytarzami. Można kłaść w krecie korytarze kawałki zielonych ale koniecznie świeżych łodyg bzu białego, jego liście lub kwiat, łebki, ości, resztki niedojedzonych śledzi, lagier solny śledziowy, kawałki gnijących warzyw (kapusty, cebuli, pietruszki i t. p.), rozmaitej padliny, papier lub pakuły namoczone w smole, karbolium, lagrze śledziowym i t. p., lub całą działkę nawozić kozim nawozem. Wtedy krety nie zbliżą się do takiego miejsca, ale wszelkie szkodniki będą bezkarnie podgryzać korzenie roślin.

Walczy z muchami.

Muchy są dla zdrowia ludzkiego bardzo niebezpieczne, roznosząc zarazki rozmaitych chorób: tyfusu, cholery, czerwonki i innych. Muchy rodzą się i żyją w brudzie, siadają na wszystkich obrzydliwościach, wydzielinach zwierzęcych, ludzkich i t. p., a stamtąd przelatują do mieszkań, gdzie widzimy je znowu na chlebie, owocach, maśle, na twarzy i ustach ludzkich. A więc należy:

- 1) ochraniać od much pokarmy i napoje;
- 2) sprzątać wszelkie resztki jedła, odpadki, śmieci i t. d.;
- 3) zasłaniać okna siatkami, gdzie w pobliżu jest dużo much;
- 4) nade wszystko zaś tępić muchy zapomocą odpowiednich na ten cel trucizn, lepu, pułapek w postaci butelek lub szklanek, przykrytych pokrywą z małym otworem, napełnionych mlekiem zsiadłym, serwatką, mydlinami, octem. Muchy strute lub schwyte, palić!

Prostym i dobrym środkiem tępienia much jest bylica polna, którą zawiesza się u sufitu, a gdy muchy ją obsiędą, nadziewa się na nią szybko worek, zawiązuje otwór, a po zdjęciu ze sufitu wysypuje się na ogień.

Pamiętać trzeba, że każda z sześciu łapek muchy zakończona jest dwiema lepkimi

poduszczykami, na których mucha może przemieścić 65,000.000 bakterij.

Także o tem należy pamiętać, że mucha, która zjawi się 15 kwietnia, do 30 września rozmnoży się w dziewięciu pokoleniach do 336 tryljonów!

Pierwsze pokolenie	2
Drugie	120
Trzecie	7.200
Czwarte	439.000
Piąte	25,920.000
Szóste	1.555,200.000
Siódme	93.302,000.000
Ósme	5,598.720.000.000
Dziewiąte	335,923.200,000.000.

Jak tępić pchełki ziemne ?

Istnieją dwa gatunki pchełek ziemnych. Oba mogą być tępienie przez posypywanie rośliny popiołem drzewnym lub puszką wapienno-siarkowym (na 1 kg. siarki bierze się 15 $\frac{1}{2}$ litra wapna palonego w proszku) lub wreszcie naftaliną z wapnem (na 1 $\frac{1}{2}$ części naftaliny bierze się 8 części proszku wapna palonego).

Środek na komary.

Chcąc zabezpieczyć się od ukąszenia komarów, wystarczy obmyć twarz i ręce octem, a obok łóżka, udając się na spoczynek, zawiesić gąbkę w occie umaczaną. Zarówno jak i octu tak samo nie znoszą komary zapachu świeżych konopi. Wystarczy więc dla odstraszenia ich pozakładać w oknach i nad łóżkami gałązki świeżo zerwanych konopi.

Tępienie robactwa w domu.

Karakony czyli karaluchy, czarne szwab-y, moskale należy tępić, gdy się tylko pokażą, bo się rozmnażają bardzo szybko, a więc na wiosnę, gdy ich jeszcze mało. Trzymają się one miejsc ciepłych, nie znoszą światła dziennego i w nocy też wychodzą na żer. Powinna też gospoia, idąc spać starannie pozamiatać izbę, obieżyny z ziem-

niaków, okruchy, wszelkie odpadki i resztki jedzenia posprzątać, by owadom utrudnić żywienie się. Najlepszy sposób wyniszczenia tego dokuczliwego robactwa, jest ciągle niepojenie, zabijanie ich, wielka czystość, zatykanie szpar gipsem i częste bielenie świeżo zgaszonym wapnem.

Niżej podaję jeszcze jeden sposób, jak je tępić.

Na karaluchy i moskale najlepszym środkiem jest boraks w proszku. Dwie łyżki boraksu i dwie łyżki cukru wymieszać razem i proszkiem tym wysypać dookoła piec kuchenny i pod piecem, bo tam lubi robactwo przebywać. Karaluchy nie znoszą boraksu i prędko się wyniosą a względnie zginą.

Czarne szwab-y tępi się piwem albo naftaliną. Stawia się na noc miskę z piwem (piwa pół szklanki), jednak by ułatwić szwabom przystęp do piwa, opiera się miskę o ścianę. Ściany miski muszą być śliskie t. j. bardzo gładkie, aby szwab-y wpadały, ale wydobyć się już nie mogły.

Albo na noc posypuje się koło pieca i pod piecem obficie naftalinę, a przez noc szwab-y się potrują.

Mrówki tępi się w rozmaity sposób. W miejscu, gdzie się mrówki najwięcej schodzą, położyć kawałek węgla drzewnego, a w tej chwili się wyniosą.

Można je wytępić gąbką, umaczaną w occie i posypaną cukrem, a gdy mrówki gąbkę obsiedą, prędko ją w wodzie zanurzyć, to się potopia.

Jak usunąć plamy z rdzy ?

Plamy z rdzy należy zmoczyć i posypać solą szczawikową. Po kilku sekundach należy to miejsce wyprać mydłem. Powinno się to jednak robić natychmiast po splamieniu, gdyż później skutek bardzo wątpliwy. Można również kupić w aptece biały kamyk do wywabiania plam z rdzy.

Grzyb domowy.

Celem zabezpieczenia się przed grzybem domowym, trzeba przede wszystkim dokładnie oczyścić i wywieźć warstwę rodzajnej ziemi z tego miejsca, gdzie budynek ma stanąć. W dalszym ciągu baczyć na to, by drzewo, użyte na podwaliny, było zupełnie zdrowe i suche, oczyszczone z kurzu i piasku. Do zasypywania fundamentów nie należy używać ziemi rodzajnej, sprzyjającej rozwojowi roślinności. W celu powyższym użyć najlepiej ostrego, suchego piasku, żużli lub suchego gruzu. Belkowanie podłogowe wesprzeć na kilku szeregach słupków murowanych z cegły lub kamienia. Podmurowanie od drzewa oddzielić arkuszami papy smołowej. W murze zewnętrznym porobić należy otwory, by ułatwić dostęp powietrza z zewnątrz budynku pod podłogę. Otwory te rok cały zastawione być mogą siatką drucianą, na zimę zaś należy je szczelnie zamykać lub zamurowywać, by nie dopuścić mroźnego powietrza pod podłogę.

Środkami mniej lub więcej skutecznymi na wygubienie grzyba są: znane w handlu pod nazwą Karbolineum, Gudronit; ze środków domowych przede wszystkim wymienić należy nasz dziegieć. Dobrą również jest mieszanina smoły i nafty. Nafta rozcieńcza maź, przez co wnika głębiej w drzewo. Drzewo jednak musi być przedtem dokładnie wysuszone.

Bardzo skutecznym zabezpieczeniem przed grzybem okazało się smarowanie dyków i podwalin przed budową terenu.

Dobrze jest drzewo dotknięte grzybem napuszczać mieszaniną soli, popiołu i ludzkiej uryny. Napuszczenie to należy powtórzać kilkakrotnie. Gdyby po ułożeniu podłogi jeszcze gdziekolwiek grzyb się pojawił, wyginie niezawodnie, gdy szpary, gdzie grzyb się ukazuje, zalejemy tym roztworem soli.

Ponieważ wytepić grzyba dokładnie jest bardzo trudno, najlepiej dbać o to, żeby się nie zagnieżdżył.

Rady dla hodowczyń kur.

Pisklątom zaraz po przyjściu na świat pierwszego dnia podawać pożywienie. Nie należy rozpoczynać karmienia piskląt od jajka, zwłaszcza białko jest ciężko strawne, co najwyżej dać samego żółtka na twardo ugotowanego i w małej ilości mieszaną z kaszką pszenną lub kartoflaną, ale w stanie suchym. Jako napój dla piskląt służyć powinna letnia woda lub odtłuszczone czyste mleko. Można też podawać drobniotkę zsiekane mięso i pokruszone na miążgę kostki. Mięso podaje się świeże, nie słone, tak samo i kości. Ponadto karmić zielonemi listkami owsa króciutko podrobionymi. W miarę podrastania piskląt pożywienia udziela im się w większych dawkach. Baczyć trzeba, aby karma nie była skwaszona (skisnięta) jak również i korytko, bo to jest trucizna. Pisklątom dwutygodniowym i starszym podawać można otręby, z kaszką gryczaną gotowaną lub z gotowanym ryżem. Kurczęta kilkotygodniowe, przebywające w ogrodzeniu, muszą stale otrzymywać zielone. Do tego nadaje się ostromlecz. Również pokrzywa drobno pokrajana jest dobrą karmą dla podrośniętych kurcząt, gdyż zawiera dużo białka. Kury stare wypuszczać jak najwcześniej z kurnika, nie później niż o 5 rano. Rano jest dużo robactwa, którym kury mogą się nasycić. Chrabąszcze rzucać sparzone ukropem, a gdzie ich obfitość suszyć w specjalnym piecu i w proszku dawać w zimie.

Kału drobiu nie porzucać na gnojniku lecz składać w miejsce niedostępne. Jest to dobry nawóz azotowy. Rzuca się go w dół lub zbiornik murowany i przysypuje liściem, prochem torfianym, ziemią. Mniejsze

ilości kału składa się w beczki, zalewa wodą, a po sfermentowaniu używa do zasilania warzyw lub drzew owocowych. Kurniki zawsze powinny być czyste.

W sprawie przyszłej płci u ptaków i zwierząt.

Interesowani hodowcy obserwują od szeregu lat, co wpływa na przyszłą płć i dochodzą do rozmaitych rezultatów. Tak np. jeden z francuskich hodowców praktyków drobiu wpadł na dość ciekawe spostrzeżenie, które następnie sprawdził kilkakrotnie, że jeśli spiczasty koniec jaja kurzego jest chropowaty, to wykluwać się będą z takiego jajka kogutki, a jeśli jest gładki to w większości wypadków nowo narodzone pisklę będzie kurą. Niemieccy hodowcy zauważyli, że jeśli krowy niezdojone, z pełnym wymieniem doprowadzić do buhaja, to można się z całą pewnością spodziewać, że 75 procent będą cieliczki z takiego odstanowienia.

Wady mleka.

Często zdarza się, że mleko czy to zaraz po wydojeniu, czy też później nabiera niewłaściwego koloru, smaku, ciągnie się i t. p. Skąd to pochodzi? Przyczyną takich niepożądanych objawów może być złe, zaduchliwe, lub stęchłe powietrze, w stajni; dalej zgniła lub stęchła słoma na podściół, siczka z niezdrowej, zatęchłej słomy, lub także siano. Spasanie nadmiernych ilości liści kapuścianych, buraczanych, albo i samych buraków i karpiele może także powodować niewłaściwy smak i skład mleka. Wrzody w wymieniu krów, lub uszkodzenie wymion może być również powodem niewłaściwości w mleku.

Niedobrego zapachu nabiera mleko także, jeśli je trzymamy zaraz po wydojeniu przez dłuższy czas w zamkniętych komorach, jeśli krowom zadawano silnie wonie-

jące lekarstwa, jeśli je nacierano takimi lekarstwami lub jeśli przeprowadzono desinfekcję obór zapomocą karbolu, lysolu, wapna chlorkowego i t. p. i zostawiono przez czas ten krowy w oborze.

Mleka w ten sposób zanieczyszczonego nie należy używać na pokarm dla ludzi.

Solenie masła.

Masło solimy na żądanie kupujących dodając $\frac{1}{2}$ do 1 dkg. soli na 1 kilogram masła, albo w celu robienia zapasów na zimę, lub też przeznaczając je na daleki transport, dodajemy najwyżej 3 dkg. na 1 kg. Dodatek 3 dkg. soli zabija większą ilość bakterij szkodliwych dla masła, inne osłabia, a nie niszczy bakterij kwasu mlekowego. Większy dodatek soli jest nie tylko zbędny, ale wyraźnie szkodliwy, i masło psuje się szybciej niż niesolone. Najlepszym jest dodatek $2\frac{1}{2}$ dkg. na 1 kg. Sól do masła powinna być śnieżno biała, o ziarnkach 1·3 do 2·5 mm. średnicy, łatwo rozpuszczalna, jednak nie tak łatwo, by zbijała się w grudki i bez woni.

Marynowanie szynek, poledwiczek i boczków.

Z wieprza ważącego 80—100 kg. jest około 20—25 kg. mięsa do marynowania. Na tę ilość zagotowuje się ropę z 12 l. wody, $1\frac{1}{2}$ kg. soli, 5 dkg. saletry i 2 dkg. cukru lodowatego. Świeże mięso naciera się korzeniami t. j. lekko potłuczonym pieprzem zwykłym, angielskim (5 dkg.), kminkiem (3 dkg.), parę listków bobkowych i (3 dkg.) kolędzy. Beczkę przeznaczoną do marynowania należy natrzeć czosnkiem. Osobno $\frac{1}{4}$ kg. soli, 4 dkg. tłuczonej saletry i 2 dkg. cukru mieszać, w dużych szynkach tylnych zrobić od kolanka otwór kopystką i w każdy wsypać garść tej mieszaniny. Całkiem zimne mięso ułożyć w beczce i zalać zimną ropą.

Mniejsze kawałki już po 5 dniach są dobrze przemarynowane i można je wyjąć do wędzenia; szynki muszą leżeć w ropie 3 tygodnie.

Marynowane w ten sposób szynki są nadzwyczaj smaczne i soczyste. Mało przy nich roboty, bo nie potrzeba codziennie wyjmować i obracać. Sok z nich nie wycieka przez przyciskanie krążkiem. Ja zwykle tylko raz na tydzień obracam, gdy część mięsa wyjmuję. Kto potrzebuje prędzej dużych szynek, niech z nich wyjmie kość środkową, a za 2 tygodnie będą doskonałe.

Gotowanie ziemniaków pod wiosnę.

2 kg. kartofli daje się zaraz po obraniu do zimnej wody, starannie opłukuje, wodę 2—3 razy zmieniając, parzy wodą, tę odlewa, zalewa kartofle świeżą, gorącą, posoloną wodą i gotuje na prędkim ogniu. W ten sposób powinno się kartofle pod wiosnę gotować, gdy te zaczynają puszczać kolce, zawierające truciznę „solanin“ gdyż trucizna tym sposobem zostaje zupełnie zniszczoną.

Jak postępować na wiosnę z kwaszoną kapustą?

Kapusta kwaszona jest już w miesiącu maju zbyt ostra i kwaśna, a i zapach ma już niezbyt przyjemny. Chcąc jej smak poprawić należy postąpić jak następuje: Przed nastawieniem trzeba ją przepłukać parę razy zimną wodą. Lekko wyciśniętą z wody kapustę wrzuca się następnie na wrzącą wodę, raz zagotowuje, zlewa na sito i ostudza. Przez ten zabieg kapusta traci niemiłą woń i ostry smak. Można ją teraz zalać na nowo wodą i gotować aż zmięknie. Jeśliby się okazała za mało kwaśną, można do niej dodać nieco octu winnego lub też kwasu cytrynowego. Dobrze jest do gotowania dodać troszkę cienko krajanej cebuli. Po ugotowaniu kapustę zalewa się rzadką zaprażką, zrobioną na słoninie.

Bielenie przędzy i płótna.

Skoro motki są gotowe, należy je zanurzyć w wodę i mokre utarzać w popiele drzewa dębowego lub olchowego, ułożyć na misce i wstawić w piec po chlebie. W takim trzeba często zaglądać i pilnować, aby motki były mokre, (t. j. gdy wyschną polać je wodą), żeby się nie przepaliły lub nie spaliły. Jak piec ostygnie, motki wyjąć i dobrać w wodzie wypłukać.

Kiedy płótno już utkane, zamoczyć je w wodzie, a potem rozciągnąć na trawie; jak wyschnie znowu polewać. Bielenie płótna najlepiej zacząć jak tylko śnieg stopnieje. Przebielone płótno włożyć do beczki z otworem i szpuntem do spuszczenia wody, przekładając drobno porąbanymi smolnemi szczypkami i polewać ukropem. Takim sposobem płótno dobieli się do reszty.

Przechowanie futer (kożuchów), koców i rzeczy zimowych.

Różnych sposobów używają w lecie do przechowania rzeczy zimowych, futer, koców, płaszczy, chroniąc je przed molami. Wszystkie te zachwalane środki, jako to: naftalina, tytoń, kamfora, sól, pieprz, zacherlin itp. okazały się zawodne i niepewne. Gdyż jak to dowiódł badacz sławny, nasz rodak Sitowski w Berlinie, rozmaite te środki zupełnie nie pomagają. Gąsienica mola jest nadzwyczaj wytrzymała na trucizny, zaś prócz sublimatu nie wrażliwa na żadną, a nadzwyczaj żarłoczna. Ale i inne półśrodki jak zaciemnianie schowku, zawijanie w płótno itp. nie prowadzą do celu, przeciwnie, przyczyniają się najczęściej do tem większego spustoszenia. Jedynym praktycznym środkiem przeciw molom jest gruntowne silne przetrzepywanie co dwa tygodnie, futer, koców wełnianych materji itd., jakoteż wielka czystość w schowkach. Rzeczy przeznaczone do schowania

starannie wytrzeć, wyczyścić z kurzu i wszelkich plam. Doświadczenie wskazuje, że schroniskiem najlepszym dla molów są szpary w podłodze, a głównie szczeliny za listwami na podłodze i w drzwiach. Dlatego zaleca się nadzwyczajną czystość podłogi, ścian i staranne wymiatanie kurzu, nadto, o ile to możliwe zakitowanie szpar w listwach podłóg i t. p. ostrożności.

Czerwone wino

można wypróbować, czy nie fałszowane, w następujący sposób: nalać parę kropel na kawałek kredy, jeżeli kreda zabarwi się brunatno lub szaro, wino jest czyste i niefałszowane. Jeżeli pokażą się plamy niebieskie, zielone lub czerwone, prawie napewno jest sfałszowane, bo te kolory dodaje się najczęściej, by uzyskać rubinowe zabarwienie wina.

Wyciśnięte cytryny

szanować, bo czyszczą znakomicie zczerniałe od obierania kartofli i owoców ręce, plamy z atramentu, brudne dna emaljowanych garnków, blaty kuchenne, mosiądz, miedź, wytarte cytryną, będą czyste i błyszczące.

Przeciwno zamarzaniu szyb.

Co dwa, trzy dni należy szyby od strony wewnętrznej przetrzeć przy pomocy gąbki lub pędzelka mieszaniną 3 części spirytusu z 1 częścią gliceryny. Zamarznięte łatwo zmyć dobrze posoloną wodą.

Zużytkowanie odpadków.

Szmatek-gałkaników nie wyrzucać. Białe gałkanki pokrajane w paski dwucentymetrowej szerokości zeszyć i zwinąć w kłębki, od razu je przytem skręcając nieco. Grubem szydełkiem robić wolne oczka, tworząc sznur do bielizny, do rzeczy lekkich, delikatnych. Sznur taki wyprać, żeby

był zawsze czysty. Ciemne i kolorowe szmatki zeszywać, pokrajane tak samo, zwinając w kłębki. Dać do tkacza dla zrobienia chodnika. Nie jest elegancki, ale zato mocny i ciepły, nie zwija się i nie skręca z brzegów.

Przywrócenie miękkości obuwia,

które stwardniało skutkiem wyschnięcia po przemoczeniu, da się osiągnąć najlepiej przez wysmarowanie ciepłą mieszaniną oleju lnianego i sadła po równej ilości, oleju na litry, sadła na kilogramy.

Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą rozwój moralności.

H. Sienkiewicz.

* * *
Gdzie miłość ojczyzny gaśnie, tam przychodzą czasy łotrów i szaleństw.

H. Sienkiewicz.

* * *
Każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, o tyle bogatszy, o ile kocha.

H. Sienkiewicz.

* * *
Niewiasty są te ogniki, co na tłustych błotach nocami chodzą. Gonisz go, ucieka; uciekasz, on cię goni.

H. Sienkiewicz.

* * *
Jeżeli mężowie tak rzadko są panami w domu, nie wypływa to z braku chęci, lecz odpowiednich zdolności.

H. Balzak.

* * *
Białogłowa w płaczu obrony szuka, jak męczyzna w pałaszu.

And. M. Fredro.

DLA SMUTNYCH.

Słuszny żal.

Pewien jegomość spotyka płaczącego rzewnie malca i pyta o przyczynę.

— Ach! ach! — mówi z płaczem chłopiec — matka dała mi grosz i zgubiłem go.

— Oto masz moje dziecko inny grosz.

Chłopiec, wzięwszy grosz, począł znowu płakać.

— I czemu teraz płaczesz? — zapytał się ów jegomość.

— Jakże nie mam płakać — mówi malec — gdybym był nie zgubił tamtego grosza, miałbym teraz dwa!...

Dobra zabawa.

— Jakże się bawisz w tym karnawale?

— Wybornie — niema tygodnia...

— Żebyś nie tańczył?

— Nie, tylko żebym na zabawę jakiego weksla nie podpisał.

Mała kara.

— Słyszałeś, Staszka, za pocałowanie panny Bronisławy w policzek skazano na trzy miesiące kozy. To fujara.

— Wcale mała kara... Mnie za to samo skazano niegdyś na dożywotnie, ciężkie... małżeństwo.

To nie ona.

— Śniła mi się tej nocy twoja żona.

— Tak? — Cóż mówiła?

— Ee, nic nie mówiła...

— W takim razie — to nie moja żona!

Na kolei.

— Panie konduktorze, wsadź pan tego młodzieńca do wagonu dla niepalących.

— A to dlaczego?

— Bo on, mosterdzieju, pali koperczaki do mojej córki, a ja tego nie lubię.

Powód.

— Więc ty Bartek nie masz ochoty do żeniaczki?

— Kawalirem na świat przysedem, i kawalirem chcę z tego świata zejść!...

Grzeczność.

— Więc pani twierdzi, że ten pan ukradł pani zegarek?

— Tak, niezawodnie.

— Jakże to było?

— Przysuwał się do mnie... (mówi pani spuszczać oczy) coraz bliżej i bliżej.

— Jakże pani mogła na to pozwolić?

— Ja myślałam, że on to tak robi przez grzeczność!...

Nasze gosposie.

— Kasiu! podobno nasza kura wysiedziała masę kurczą?

— Tak, proszę pani.

— Ile?

— Szesnaście.

— To każ zaraz kucharce mleka zagrzać.

— A to poco, proszę pani?

— No, przecie jedna kura tyle kurczą nie wykarmi.

Między przyjaciółkami.

— Ja, moja droga, trzymam się zasady, że każda z moich córek musi być zaręczona w ośmnastym roku...

— A jeżeli się nie zaręczy w ośmnastym roku?

— To tak długo ma ośmnaście lat, dopóki się nie zaręczy.

Przyszła gosposia.

Po ukończeniu edukacji w wielkiem mieście, powraca panna Zosia na wieś do domu i matka zaczyna ją uczyć gospodarstwa domowego.

— O tem zawsze pamiętaj, Zosiu — mówi matka — że jaja przechowywać trzeba w chłodnem miejscu.

— Ależ mateczko — protestuje Zosia — jakże ja to kurom potrafię wytłumaczyć?

Prawo głosu.

— Tatusiu, czy tatuś ma prawo głosu?

— Mam, mam... tylko cicho... kochanie... bo jak mama usłyszysz, to mi je gotowa odebrać.

Największe nieszczęście.

Pewną panią zawiadomiono, że jej mąż umarł nagle w biurze.

— Boże, co za nieszczęście! — wołała, łamiąc ręce. — Od Nowego Roku miał mieć pensję podwyższoną.

Na okręcie.

— Niech pan, panie kapitanie, powie, czy też zdarzyło ci się kiedyś coś bardzo niebezpiecznego w podróży morskiej?

— O tak! Raz o mało com się nie zaręczył.

Gdyby wiedział...

— Czy ci nie wstyd? Jak mogłeś biednej wdowie ukraść starą kurę?

— Doprawdy, panie sędzio, ja nie wiedziałam, że stara...

Urodzaj.

— Sędzia: W roku bieżącym stajesz oskarżony już o ósmą kradzież.

Pod sądny: Muszę przyznać, panie sędzio, że rok miałem wyjątkowo pomyślny.

W sądzie.

— Dlaczego to, Jacenty, ściałeś sosnę w cudzym lesie?

— Gdzie zaś prześwietny sądzie, jabym się takiego grzechu dopuścił? Jenó jechałem bez las i zawadziłem osią, sośnisko było spróchniałe, przewaliło mi się na furę i tyło, a juzem nie zdejmował, bo nie mogłem dać rady.

Już wie.

— Wojtek, jak zawołałam na ciebie „Dżon“, to pamiętaj się obejrzeć.

— Dobrze, jaśnie panie! A jak ja będę chciał, żeby jaśnie pan się obejrzał, to jak mam zawołać?

— Głupiś!

— Dobrze, jaśnie panie, już wiem...

Sędzia i oskarżony.

Sędzia: Jakim sposobem pan, jadąc konno, mógł rozbić okno w sklepie?

Oskarżony: Niech no pan, panie sędzio, spróbuje poraz pierwszy wsiąść na konia, a zobaczymy, czy jakie okno nie będzie też rozbite!

Na lwowskim rynku.

— Pani kupcowa, mnie się zdaje, że tę rybę czuć.

— Niech sze pani nie boi; to nie rybę... to mnie.

Co go to obchodzi.

Moryc jedzie z żoną do Palestyny. Na morzu zrywa się nagle burza. Przestraszona Salcia woła:

— Moryc! Gwałtu! Okręt tonie!

— Czego wrzeszczysz? — pyta Moryc. — Czy to twój okręt?



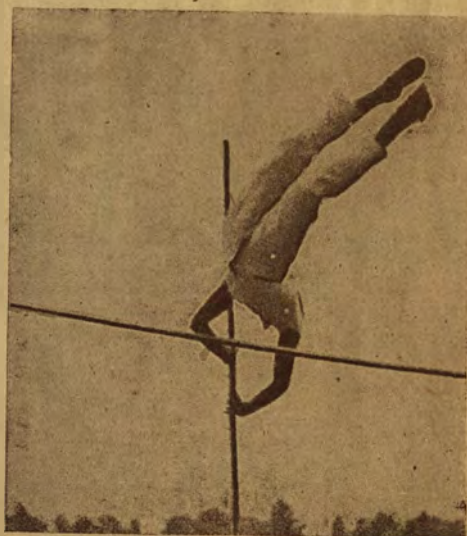
Skok w górę na 2 metry i 1 cm.



Ćwiczenie konia w przesadzaniu przeszkód.



Wysoki podskok w grze w piłkę nożną.



<http://rcin.org.pl> Skok o tyczce na 3 metry 41 cm w górę.



Ruch na boisku w czasie gry
w piłkę nożną.

Szczyt w zręczności:
postawienie łodzi na dziobie.



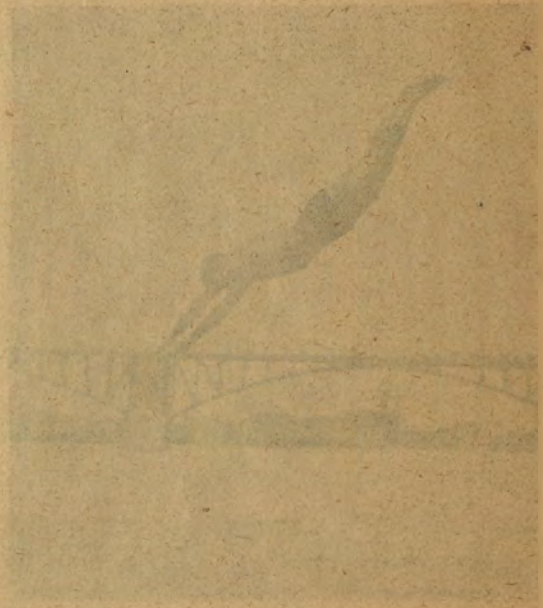
Tak zwana „jaskółka“
czyli skok z wysokości do wody.



W tym czasie



Postawienie łodzi na kłobie



Łódź w wodzie

Projętność.

Pewien katecheta, chcąc w dzieci wpoić roztropność, radził im, żeby w ważnych okolicznościach życia liczyły zawsze do stu, zanim przemówią.

Skończywszy lekcję stanął przy kominku, ale po chwili zauważył, że uczniowie liczą coś po cichu.

Nagle wszyscy naraz krzyknęli:

— Dziewięćdziesiąt dziewięć! Sto! Księżdz katechety sutanna pali się z tyłu!

Pobożna.

— Dzisiaj wam nic nie powiem, bom była u świętej spowiedzi, ale jutro zatracone bestje to was tak zeknę, że was wszystkich djabli wezmą.

Na wszystko jest rada.

— Panie majstrze, ten but prawy jakoś mi się kłębi na nodze, za luźny.

— Niech pan dobrodziej będzie spokojny. Jeden dzień dżdżysty, a bucik będzie leżał, jak ulał...

— Ba! a ten znów z lewej jest za ciasny. Ledwie go wciągnąć mogę na nogę.

— Niech i tu pan dobrodziej będzie spokojny. Parę dni suchych, a i ten bucik będzie leżał, jak ulał!...

Dowcip wieśniaka.

— Marcinie, a dyc już słońce wstało, a ty się jeszcze wylegujesz!

— Bo widać słońcu chce się młócić, a ja nie mam ochoty.

Ulicznicy.

Spotkało się dwóch uliczników, z których jeden miał nową czapkę.

— A to ci galanty kaszkiet, skądś go wyrwał, Walek, ile kosztuje?

— Nie wiem, bo kupca nie było, jakem go kupował.

Przezorna wdowa.

— Toż nie płaczcie tak Jakóbowo, bo się serce kraje. Nieboszczyka nie wskrzesicie, a sama możecie się rozchorować. Połóżcie się lepiej, a ja wszystko uprzątnę.

— Oj, biednaż moja dola... A scho-wajcie tam Marcinowa tę gromnicę, którą nieboszczyk trzymał, przyda się dla drugiego.

Święcone.

— A co mążusiu? Prawda, że wspa-niale wygląda nasze święcone? Patrz, jak stół obficie zastawiony różnego rodzaju wę-dlinami, babami, plackami. Sądzę, że gościom naszym niczego brakować nie będzie.

— Owszem, będzie.

— Cóż jeszcze więcej potrzeba?

— Olejku rycynowego.

Odciał się.

Do ziewającego odezwał się ktoś:

— Nie zjedz mię pan przypadkiem!

— Cóż znowu, odrzekł ten, nie jadam oślego mięsa.

Nie był karany.

Sędzia: Jak długo pan już nie był karany?

Oskarżony: Przez siedem lat, proszę pana sędziego nie byłem już karany.

Sędzia: A cóżeście robili przez te siedem lat?

Oskarżony: Siedziałem w kryminale, proszę pana sędziego.

U lekarza.

Lekarz: Tej wody, co wam zapisa-łem, zażywajcie zawsze 1 łyżkę po jedzeniu.

Chory: Dobrze panie konsyljarzu, ale skąd wziąć łyżkę i jedzenie?



RZECZY CIEKAWE.

Historja obuwia.

Obuwie jest tak stare, jak świat ludzki.

W starym Egipcie było ono jednak zbytkiem, tylko bogatsi przywdziewali sandały z plecionej słomy. Egipcjanka w uroczystej toalecie w szatach, pełnych ozdób, obwieszona naszyjnikami, naramiennikami, branzoletami na rączkach i nóżkach, w sfinkosowym zawoju nad czołem, ukazywała się publicznie boso.

Spacer Egipcjanki w sandałach wywołałby publiczne zgorszenie, więc dbając o stopki i nie chcąc narażać ich na skaleczenie, piękna Aida pilnowała domu.

Przez cały okres dziejów starożytnych, forma sandałów nie ulega zasadniczej zmianie.

Obuwie osłaniające całą stopę aż do kostek i powyżej, pojawia się dopiero w 9 i 10 wieku po Chrystusie w użyciu. Buciki te — bo tak je nazwać można — miały porządną dziób i noszono je kolorowane na czerwono, niebiesko lub czarno. Długość tych dzióbów znamionowała stopień dostojności i zamożności, a ponieważ przy wzrastających rozmiarach dzioba, chód był utrudniony, przeto koniec bucika przytrzymywano łańcuszkiem, przymocowanym do kolan. Na końcu dzioba wieszano często dzwoneczek.

A potem pojawiły się prawa, normujące wielkość obuwia dla lepszych i gorszych stanów. Dla obuwia książąt unormowano długość dzioba na 2 i pół stopy, dla dam i baronów 1—2 stóp, a dla zwykłych mieszczan pół stopy.

W stuleciu 16-em noszono buciki z szerokimi dziobami (nagniotki odetchnęły), a w 17-ym nastąpiło upodobanie do wysokich obcasów, patynek, w których stopa znajdowała się zupełnie ukośnie. Piękne Wenecjanki miały takie szcudełka pod piętą, na wysokość 1 i pół stopy. Podobno sądziły panie, że na takim rusztowaniu nóżka przedstawia się nader uroczo i godziły się wobec tego na chód wcale nie szykowny, bo przypominający podskakiwanie wróbelków na sznurku.

Świecące jak lustro obuwie, to dziś rzecz powszednia, a przecież nie dawna, bo tak zwane „czernidło“ dzisiejsze, wynaleziono dopiero w połowie 18-go wieku.

Obuwie skórzane noszono zazwyczaj barwy naturalnej. Dopiero w drugiej połowie 17-go wieku gładzono je już woskiem i czerniono sadzą bez połysku.

Najpierw sami tylko szewcy wyrabiali obuwie. Obecnie robią to przeważnie maszyny, a szewcy łąatają tylko.

Człowiek a przyroda.

Obficie zestawiony materiał statystyczny, tyżący się psychiki ludności zamieszkującej Europę, wykazał, iż nie tylko ciało człowieka podlega przesileniu wiosennemu jak wszystkie rośliny i zwierzęta ale i dusza. Przesłęstwa, samobójstwa, deliria umysłowe i zbrodnie osiągają w maju najwyższą liczbę. U dzieci w wieku szkolnym i u starszej młodzieży wzrasta w tem przesileniu sprawność fizyczna, natomiast słabnie umysłowa. Ten stan nie jest świadomy,

przedstawia jakby rodzaj oszołomienia. Ilość samobójstw rośnie z długością dnia i działaniem światła. Ciepło wzrastające działa hamująco na umysł, a światło pobudzająco na stan fizyczny. Wykazywano również oddziaływanie elektryczności atmosfery. Wpływy wiatrów, burz uwydatniają się całkiem pewnie. Przyczyny, nie są jeszcze przez naukę ściśle dostatecznie stwierdzone.

Czemu w miastach niema dość słońca ?

Na pytanie to dały odpowiedź interesujące doświadczenia przeprowadzone nad powietrzem w Paryżu przez znakomitych fizyków, prof. Arsonvala i Bordas. Twierdzą oni, iż dym i kurz, wytwarzane przez wielkie miasto, i unoszące się nad niem w powietrzu nie tylko zatrzymują atmosferę, ale sprzyjając tworzeniu się mgły, oparów, chmur, zabierają miastu wielką ilość światła i ciepła słonecznego. Uчени paryscy przeprowadzili odnośne doświadczenia, ustawiając w rozmaitych miejscach Paryża t. zw. pluwiometry, zbierające wodę deszczową, z którą spływa kurz, dym i osady, unoszące się w powietrzu. W centrum miasta, w okolicy Palais-Royal, zebrano 12 gramów pyłu i osadów na metr kwadratowy w przeciągu roku. W fabrycznym przedmieściu Vitry zebrano w tych samych warunkach aż 1 kilo 629 gramów osadu!

W tak ogromnych ilościach unosi się w powietrzu dym i kurz, wyrzucane przez kominy fabryczne.

Ilość burz

na kuli ziemskiej wynosi codziennie około 44.000. Rocznie jest ich więc 16 milionów. Najlichniesze burze są na Jawie w Azji; najmniej jest ich w okolicach podbiegunowych.

Roztargniony profesor.

Zmarły niedawno profesor uniwersytetu w Sztokholmie, Svedarius, słynny był

z swego roztargnienia. Pewnego razu na uczcie, wydanej na cześć kolegi, wygłaszał toast, przyczem wino w kielichu mieszał dymiącym cygarem. Na zakończenie toastu, wino pełne popiołu wypił na cześć jubilata. Innym razem koledzy na jego cześć wystąpili z przyjęciem. Prof. Svedarius wziął na nóż pokazną porcję masła i zamiast chleba po który zapomniał sięgnąć, grubą warstwą masła posmarował sobie dłoń. Gdy mu jeden z kolegów zwrócił na to uwagę, profesor ręką unurzaną w masle poklepał go przyjaźnie po ramieniu, mówiąc: W istocie to, co uczyniłem, nie było stosowne.

Pewnego razu wytrąciła go z pięknych marzeń krowa, zagradzając mu drogę. Profesor spostrzegłszy nagle przed sobą krowę, powiedział: „Przepraszam“ i uchylił grzecznie kapelusza. Zarówno pastuch, jak i inni świadkowie tej sceny, śmiali się długo do rozpuku. Dopiero wówczas profesor Svedarius spostrzegł swoją pomyłkę i zawstydzony oraz gniewny ruszył szybko w stronę przeciwną. Biegł on naprzód tak szybko, że potrącił jakąś damę i w roztargnieniu zawołał:

— I znów ta przeklęta krowa!...

Psi pałac w Londynie.

Na Bond Street, na jednej z najelegantszych ulic w Londynie, znajduje się specjalny zakład, rodzaj ochronki dla psów. Niejedna pani, która wychodzi na miasto celem robienia zakupów i odwiedzenia znajomych, zabiera ze sobą pieska, odczuwa później obecność tego zwierzątka jako pewien ciężar. Trudno jest wybierać materje, koronki, pończochy, przymierzać kapelusze, trzymając jednocześnie pieska. Wobec tego na pewien czas pieska oddaje się do takiej psiej ochronki. Czworonożnym ulubieńcom dzieje się w takim zakładzie doskonale. Wystarczy tylko podać życzenia, a wszystko zostanie wykonane.

Służący w liberji zjawia się ze spisem potraw.

— Wielmożna pani sobie życzy?

Pani wyszukuje dla swego ulubieńca odpowiednią potrawę, którą podają mu, aby się nie nudził. O ile jednak piesek nie jest głodny, wówczas czas jego pobytu w zakładzie zostaje zużytkowany na kąpiel, odpowiednie zabiegi, celem uczesania jedwabistej sierści i uperfumowania jej, w razie potrzeby odbywa się operacja odpchlenia. W tym psim pałacu jest cały szereg łazienek, sal jadalnych, są sypialnie, specjalny salon fryzjerski. Czy istnieje tam specjalny salon dla manicure, raczej pedicure w tym wypadku? Na razie jeszcze nie, ale zapewne wkrótce zostaną wprowadzone odpowiednie udoskonalenia.

Najstarsze i największe.

Najstarszym pomnikiem budowy jest piramida Sakara, kryjąca pod sobą grobowiec jednego z faraonów egipskich trzeciej dynastji.

Najstarszą śluzę zbudowano na jeziorze Moenris w Górnym Egipcie.

Największą budową jest sławny chiński mur, zaczęty na 200 lat przed Chrystusem, a wykończony dopiero w XV wieku po Chrystusie, posiada 2.500 kilometrów długości.

Najwyższą budowlą jest wieża Eifla (300 m.), a najwyższym domem 55-piętrowy gmach Woolworth w Nowym Jorku, którego najwyższy szczyt leży 236 metrów nad poziomem ulicy.

New York posiada największy dworzec kolejowy, składający się z trzech kondygnacji (jedna pod ziemią).

Najdłuższym tunelem jest jeszcze Simplon (19.803 m), najdłuższym mostem jest wiadukt Chaoching w Chinach, mierzy 144 kilometry. Mostem o największym łuku jest, wykończony most nad Fifth of Fiorth

w Szkocji (dwa łuki po 521 metrów rozpiętości).

Największym okrętem jest parowiec Majestic, własność White Star Line, 229 metrów długości. Największy statek powietrzny znajduje się właśnie w budowie. Będzie on wykonany według planu General Air Service Co., długości 275 metrów.

Najwyższą górą jest góra Everest 8882 metrów nad poziomem morza, najgłębsze miejsce Oceanu Spokojnego w pobliżu wysp Marjańskich mierzy 9833 metrów, nazywa się Czarną głębią.

Najpotężniejszym wodospadem jest wodospad Kajetan, w angielskiej Gujanie, w górnej części rzeki Porto Rio Portaro. Jest on 250 metrów wysoki, podczas gdy wysokość wodospadu Niagary wynosi zaledwie 50 metrów. Jeżeli zaś chodzi o szerokość, to przewyższa go wodospad w Zambezi, 1.600 metrów szeroki.

Kto biegnie najszybciej?

metrów, w sekundzie:

Ślimak	0,0015
Rak	0,07
Koń stępa	0,6
Pływak	1
Koń krokiem	1,1
Piechur zwykłym krokiem	1,2
„ szybkim „	1,8
Mucha	1,8
Słaby wiatr	2
Człowiek biegnący	2,2—2,8
Koń truchcikiem	3,1
„ krótkim kłusem	4,5
Okręt handlowy	5
Koń wyciągniętym kłusem	6
Cyklista	7
Okręt pocztowy	7,5
Koń lekkim galopem	9
Łyżwiarz	9,5
Parowiec morski	10,8
Koń ostrym galopem	12

Pociąg towarowy	12,5
Okręt linjowy	12,8
Fale morskie	13,5
Koń wyścigowy	16—25
Burza	16—45
Gołąb pocztowy	18—38
Krażownik	18
Pociąg osobowy	20
Torpedowiec	20,5
Zeppelin	21
Samochód	24
Pies myśliwski	25
Angielski koń wyścigowy	25,3
Pociąg pospieszny	28
Orzeł	31
Pociąg ekspres	33
Motocykl	35
Kolej elektryczna	55
Samochód (największa szybkość)	68
Płatowiec (największa szybkość)	120
Głos	330
Kula karabinowa	600—900
„ armatnia	300—600
Głos w wodzie	1.457
„ w drzewie	5.250
Prąd elektryczny (przewodnik zwykły)	11,690.000
Światło w powietrzu	305,685.000
Prąd elektryczny (przewodnik miedziany)	350,000.000

Główne języki świata.

Najwięcej rozpowszechniony jest język chiński — używa go 330 milionów ludzi; dalej idzie angielski — 150 milionów; rosyjski — 100 milionów; niemiecki (z holenderskim) — 100 milionów; hiszpański — 50 milionów; francuski — 45 milionów; włoski — 35 milionów, polski — 27 milionów.

Sławni ludzie i ich urojone choroby.

Lekarz chorób nerwowych dr. Frölich napisał rozprawę dowodzącą, iż hipo-

chondrja polegająca na wmawianiu sobie urojonych chorób jest właściwością wybitnych umysłów. Cierpiał na nią francuski komedjopisarz Moliere i w komedji swej „Chory z urojenia“ wyśmiewał siebie samego. Hipochondrja trapiła Szekspira dramaturga angielskiego, zdawało mu się, iż grozi mu choroba umysłowa. Studjował więc przejawy różnych obłądów, które potem w mistrzowski sposób opisywał w swych dziejach. Rousseau, filozof francuski, narzekał na wiele chorób, których nigdy nie miał. Goethemu, poecie niemieckiemu, zdawało się, iż trapi go choroba nerek, radził się więc często lekarzy i rok rocznie leczył się w kąpielach, jakkolwiek nic mu nie brakowało. Największym hipochondrykiem był Ryszard Wagner, muzyk. W obecności jego nie można było rozmawiać o chorobach, albowiem zaraz czuł się chorym, a często nawet kładł się do łóżka i wzywał lekarza, który musiał tłumaczyć, iż nic mu nie dolega.

Zalety dobrego męża.

Studentki uniwersytetu w Minnesota (Stany Zjednoczone) ułożyły — zapewne w chwilach wolnych od nauki — następujący spis zalet, które winien, według nich, posiadać „ideał męża“: Musi być umiarkowanie przystojny, skłonny do atletyki, czysty moralnie, odnosić się z uszanowaniem do religji, być zdrowym, kochać piękno, być obytym w towarzystwie, być grzecznym, uczynnym i optymistycznego usposobienia i wreszcie musi być dobry. — Jak widzimy, kolekcja zalet jest bardzo szeroka, a wszystko „musi“.

Najwięksi policjanci na świecie.

Najwięksi policjanci na świecie istnieją w Nowym Jorku. W tamtejszym korpusie policyjnym obowiązuje przepis, że 400 policjantów musi posiadać wzrost przynajmniej

182 centymetry. W skład tej grupy wchodzi t. zw. „szwadron broadwajski“ złożony z 90 ludzi, wysokich przeciętnie 192 centymetry. W szwadronie tym znajduje się obecnie dwóch ludzi, którzy naprawdę mogą spoglądać na swoich kolegów z góry. Pierwszy Graham, wysoki 196 centymetrów, waży 112 kilogramów. Drugi, Taygart, wysoki 194 centymetrów, waży 126 kilogramów, a jego obwód w piersiach wynosi 1.50 metra. Brat Taygarta jest jeszcze wyższy (2.10), lecz nie służy przy policji z powodu wątej budowy ciała.

Najcieńsza tkanina na świecie.

W muzeum Indian House w Londynie znajduje się sztuka muślinu, utkanego ręcznie w mieście Dacca, w Indjach, z nici tak cienkich, że funt tych nici mierzy 116 mil angielskich długości = 705 km. 577 m. Muślin ten, położony na trawie i zwilżony przez rosę, staje się zupełnie niewidoczny. Hindusi nazywają tego rodzaju tkaninę „utkanem powietrzem“. Używana jest ona na welony. Wprawdzie w Anglii zdołano wyrobić maszynowo nić tak cienką, że funt jej mierzy 167 mil ang., z nici tej jednak nie można wyrobić żadnej tkaniny.

Gdzie jest najwięcej gazet?

Oczywiście w Stanach Zjednoczonych, a mianowicie 30.000. Drugie miejsce zajmuje Francja, gdzie wychodzi 10.000 gazet, potem idą Niemcy, mające ich 7.000 dalej Anglja 5.000 i Włochy 2.500. Inaczej przedstawia się ta statystyka, jeżeli się weźmie pod uwagę liczbę ludności. Wtedy największą stosunkowo liczbę gazet znajdujemy w Szwajcarii, gdzie przypada ich 270 na milion mieszkańców; drugie miejsce zajmują Stany Zjednoczone 250 gazet na milion mieszkańców; trzecie Francja 240 gazet; czwarte Holandia 130; piąte Niemcy 115; dalej Anglja 98; Włochy 60; Belgja zaś tylko 30.

Łagodne zimy w ubiegłych wiekach.

Wobec łagodnej zimy tegorocznej pisma zagraniczne przypominają podobne zimy w przeszłości. I tak w r. 1172 drzewa pokryły się w zimie liśćmi i ptactwo gnieździć się zaczęło; w r. 1209 nie było wcale zimy, w 1341 drzewa owocowe zakwitły w marcu, a w maju wiśnie dojrzały; w r. 1568 ogrody pokryły się świeżą zielonością i kwiatem w grudniu i styczniu; toż samo w latach 1588, 1607, 1609, 1617, 1659. W r. 1722 nie było wcale śniegu i mrozów tak, że nie palono już od stycznia w piecach, w lutym drzewa pokryły się kwiatem. W latach 1807, 1834, 1846 nie było prawie zimy, a w r. 1780 w Petersburgu na Nowy Rok było 8 stopni ciepła.

Szkolnictwo techniczne.

Ministerjum Wyznań Relig. i Oświecenia Publ. przesłało do szkół średnich wykaz szkół i kursów technicznych celem zachęcenia młodzieży do zapoznania się z warunkami przyjęcia do tych szkół.

Wobec ogólnego zainteresowania się sprawami szkolnictwa zawodowego oraz potrzeby kierowania doń liczniejszego, niż dotychczas, zastępu młodzieży, wymieniamy najważniejsze szkoły i kursa techniczne, podając w ogólnych zarysach warunki przyjęcia do nich.

I. Szkoły techniczne typu zasadniczego:

Cel: wykształcenie techników pomocniczych różnych specjalności. Czas trwania nauki 3 lub 4 lata (wyjątkowo mniej).

Warunki przyjęcia: 4 klasy szkoły średniej ogólnie - kształcącej lub 7 oddziałów szkoły powszechnej lub ukończenie pełnej szkoły rzemieślniczo - przemysłowej i egzamin wstępny z języka polskiego, matematyki i rysunku, prócz tego w szkołach

z krótszym okresem nauki konieczna jest praktyka przedwstępna.

1. Borysław (woj. lwowskie) — Szkoła górniczo-wiertnicza.

2. Bydgoszcz (woj. poznańskie) — państwowa Szkoła przemysłowa:

a) Wydział przemysłów rolnych (cukrownictwo, młynarstwo, krochmalnictwo, syropiarstwo);

b) Wydział grafiki przemysłowej.

3. Dąbrowa Górnicza (woj. kieleckie) — państwowa Szkoła górnicza i hutnicza im. Staszica.

Wydziały: górniczy, miernictwa kopalnianego, hutniczy i mechaniczny.

4. Grudziądz (woj. pomorskie) — państwowa Szkoła budowy maszyn:

a) Oddział dla majstrów - mechaników;

b) Oddział dla techników.

5. Kowel (woj. wołyńskie) — państwowa Szkoła miernicza i drogowa. (Wydział drogowy).

6. Kraków — państwowa Szkoła przemysłowa:

a) Szkoła budownictwa;

b) Wydział mechaniczno-techniczny;

c) Wydział chemii technicznej;

d) Szkoła piwowarska.

7. Łomża (woj. białostockie) — państwowa Szkoła miernicza i przemysłowo-leśna. (Wydział przemysłowo-leśny).

8. Lwów: a) Wydział drogowy przy państwowej Szkole przemysłowej we Lwowie;

b) Wydział elektromechaniczny.

9. Łódź — państwowa Szkoła włókiennicza.

Wydziały: przedzalniczy, tkacki, farbiersko-wykończalniczy i ruchu fabrycznego.

10. Poznań — państwowa Szkoła budownictwa.

Wydziały: budowlany, drogowy, mierniczo-melioracyjny.

11. Warszawa — państwowa Szkoła budownictwa.

Wydziały: budowlany i drogowy.

12. Wilno — państwowa Szkoła techniczna.

Wydziały: budowlany, drogowy i mechaniczny.

13. Wieliczka — państw. Szkoła szlifierska.

II. Szkoły techniczne typu wyższego.

Cel: Wykształcenie techników, mogących po odbyciu pewnej praktyki, pracować samodzielnie. Czas trwania nauki 3—3¹/₂ lata.

Warunki przyjęcia: ukończenie 6 klas szkoły średniej ogólnokształcącej i egzamin wstępny z języka polskiego, matematyki, fizyki i rysunku.

14. Poznań — państwowa Szkoła budowy maszyn (kształci techników-mechaników).

15. Warszawa — państwowa Szkoła budowy maszyn i elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Wydziały: budowy maszyn i elektrotechniki.

16. Tczew — Szkoła morska.

III. Szkoły techniczne w województwie śląskim.

17. Bielsko — państwowa Szkoła przemysłowa.

Wydziały: włókienniczy i mechaniczny.

18. Katowice — państwowa Szkoła budownictwa i hutnictwa (w organizacji).

19. Tarnowskie Góry — Szkoła górnicza.

IV. Szkoły kolejowe.

Cel: Przygotowanie pracowników fachowych w służbach wykonawczych kole-

jowych, mianowicie: mechanicznej i drogowo-budowlanej.

Warunki przyjęcia: 4 klasy szkoły średniej ogólnokształcącej lub 7 oddziałów szkoły powszechnej i egzamin sprawdzający z języka polskiego, matematyki i rysunków odręcznych. Czas trwania nauki 4 lata.

20. Radom (woj. kieleckie) — państwowa średnia Szkoła techniczna kolejowa.

21. Sosnowiec (woj. kieleckie) — państwowa średnia Szkoła techniczna kolejowa.

22. Warszawa (Chmielna 88/90) — państwowa średnia Szkoła techniczna kolejowa.

23. Wilno — wydział kolejowy przy państwowej Szkole technicznej.

24. Brześć (nad Bugiem) — Szkoła techniczna kolejowa Zrzeszenia kolejarzy.

V. Szkoły miernicze.

Cel: Wykształcenie mierników dla średnich pomiarów terenowych.

Warunki przyjęcia: świadectwo ukończenia 4 klas szkoły średniej lub 7 klas szkoły powszechnej i egzamin wstępny z języka polskiego, matematyki i rysunku. Czas trwania nauki 4 lata.

25. Kowel (woj. wołyńskie) — Wydział mierniczy przy państwowej Szkole mierniczej i drogowej.

26. Kraków — Wydział mierniczy przy państwowej Szkole przemysłowej.

27. Lwów — Wydział mierniczy przy państwowej Szkole przemysłowej.

28. Łomża (woj. białostockie) — państwowa Szkoła miernicza i przemysłowo-leśna.

29. Poznań — Wydział mierniczo - młoracyjny przy państwowej Szkole budownictwa.

30. Warszawa — państwowa Szkoła miernicza (bez kursu I).

VI. Szkoły przemysłu artystycznego.

Szkoły przemysłu artystycznego mają za zadanie wykształcenie instruktorów i pracowników dla rzemiosł i przemysłu artystycznego, a również nauczycieli rysunków w szkołach zawodowych.

Czas trwania nauki około 5 lat. Od kandydatów wymaga się wykształcenia w zakresie 3 lub 4 klas szkoły średniej i uzdolnienia artystycznego.

31. Kraków — państw. Szkoła przemysłu artystycznego.

32. Wydział przemysłu artystycznego przy państw. Szkole przemysłowej.

33. Poznań — państw. Szkoła sztuki zdobniczej.

34. Warszawa — miejska Szkoła sztuki zdobniczej.

35. Wilno — Szkoła artystów plastyków.

Obok wymienionych szkół technicznych są jeszcze szkoły majstrów i dozorców. Szkoły takie znajdują się: w Bielsku (szkoła majstrów - mechaników, szkoła rzemiosł budowlanych dla stolarzy, cieśli i murarzy), Jarosławiu (szkoła rzemiosł budowlanych), Krakowie (szkoła majstrów-mechaników), Lwowie (szkoła rzemiosł budowlanych), Poznaniu (państwowy kurs gazomistrzów i szkoła ceramiczno-ceglarska).

Dzień oszczędności.

W społeczeństwie polskim, mającym bardzo mało zainteresowania i zrozumienia dla zagadnień gospodarczych, trzeba wiele wysiłku poświęcić na to, by powszechnie uświadomić, że oszczędność — to nie tylko zagadnienie przyziemnych dorobkiewiczów, ale także zagadnienie bardzo doniosłe dla państwa i narodu.

A droga do powszechnego dobrobytu prowadzi tylko przez wytężoną pracę i rozumną oszczędność.

*

Co to jest oszczędność?

Najwyklejsem, najpopularniejszym określeniem bywa, że oszczędność to rozumne, celowe rozporządzanie swym majątkiem i dochodem, unikanie wydatków niepotrzebnych, ostrożne wydawanie zapracowanego grosza własnego, czy cudzego, to odkładanie z bieżącego dochodu choćby niewiele, ale stale, na przyszłość.

Alte pojęcia oszczędności — jako cnoty społecznej nie można ograniczać tylko do oszczędności pieniężnej.

Człowiek oszczędny będzie zawsze dążył do tego, by każdy jego wysiłek, każda praca była najbardziej wydajną, najbardziej owocną, będzie szanował czas i pracę własną i swoich bliźnich, będzie dbał o zdrowie i potrzeby własne i swoich najbliższych, ale nie będzie wydawał na nie więcej, aniżeli to jest niezbędnem i w każdym zakresie będzie unikał choćby najmniejszego zmarnowania, to znaczy niepotrzebnego, bezcelowego zużycia czasu, narzędzi, żywności, pieniędzy czy innych dóbr.

Oszczędność daleką jest od skąpstwa, tak daleką, jak i od marnotrawstwa. Człowiek oszczędny nigdy nie odmówi ofiary na cel rozumny i szlachetny, nigdy nie zostawi bez pomocy potrzebującego. Dla skąpca — posiadanie bogactwa jest samo dla siebie celem. Dla człowieka oszczędnego, majątek, do którego chce dojść oszczędzając — jest środkiem, którego osiągnięcie daje mu możliwość owocniejszej, bo spokojnej o przyszłość pracy, bo uniezależnia go od chwilowych konjunktur, bo pozwoli mu łatwiej zawsze spełnić obowiązki wobec rodziny, narodu i państwa.

Jeśli tak pojmiemy oszczędność — i przyjrzymy się spokojnie i bezstronnie naszemu życiu — zobaczymy, jak wiele możnaby na lepsze u nas zmienić, jak przez wszędzie stosowaną oszczędność moglibyśmy znacznie nasze położenie poprawić.

W naszej pracy w każdej dziedzinie, w każdym zawodzie — ile wysiłków zmarnowanych, ile czasu niewyżytkowanego — ile sił na darmo lub prawie na darmo zużytych — dzięki złej organizacji, nieumiejętności, niechęci do udoskonalenia warsztatów pracy drogą inwestycji i wkładów!

A jeśli chodzi o oszczędność jednostek, to nigdzie może nie spotyka się tyle objawów marnotrawstwa, co w Polsce i u Polaków.

Naturalnie na pierwszy plan wysuwają się nałogi powszechne, które nietylko są powodem niepotrzebnych wydatków, ale które rujną zdrowie ciała i deprawują dusze swych licznych ofiar.

Wódka i tytoń — to jedne z głównych źródeł ubóstwa szerokich mas w Polsce.

Ileż to na każdym jarmarku wyciągają one ciężko zapracowanych chłopskich pieniędzy — jaki haracz z zarobków naszych robotników idzie za wódkę do kieszeni szynkarzy.

A w dalszym rzędzie postawić można gry w karty, loterie, tak okropnie rozwinięte na wsi pieniactwo.

O ileż mniej moglibyśmy mieć kalek fizycznych i duchowych, o ile mniej zbrodni i ich ofiar, gdyby propaganda oszczędności, pojęta jako uzdrowienie społeczeństwa, zdołała podjąć skuteczną walkę z tymi tak powszechnymi nałogami.

Alte to jeszcze nie wszystko. Niemcy poświęcają pracę całego zastępu uczonych na naukowe badania i na nich opartą akcję oszczędności w zużyciu środków żywności — nie przez ograniczenie spożycia z ujmą dla organizmu człowieka, ale przez dobrą organizację, umiejętne wykorzystanie siły odżywczej artykułów spożywczych, przez unikanie wszelkiego w tej dziedzinie marnotrawstwa.

Jeżeli Niemcy uczą specjalnie swe społeczeństwo, jak należy obierać kartofle, by nawet tego odpadku nie zmarnować, to u nas w dziedzinie nie marnowania środków spo-

życwych czy ubrań, do dziś prawie zupełnie nietkniętej — jest ogromne pole do pracy — i duże rezultaty możliwe do osiągnięcia.

Oszczędności dziś żąda społeczeństwo od jednego tylko czynnika naszego życia narodowego — od państwa i jego organów. Ale jeśli zmysł oszczędności w narodzie jest zupełnie nierozwinięty, jeśli nie ma powszechnego odczucia potrzeby oszczędności wszędzie i zawsze, to skądże ma się znaleźć zrozumienie i stosowanie zasady oszczędności w wykonawcach władzy państwowej, którzy wyszli ze społeczeństwa i muszą być odbiciem jego poglądów.

Wprowadzenie oszczędnej gospodarki dobrem publicznym da się przeprowadzić tylko na tle powszechnego w całym narodzie przejścia się zasadą poszanowania wszelkich dóbr i potrzeby rozumnego, celowego, — oszczędnego ich używania.

Spółeczeństwo polskie, wbrew swoim wrodzonym skłonnościom, musi się nauczyć żyć z ołówkiem w ręku, musi się całe przejąć zasadą oszczędności w najszerszem pojęciu.

A wtedy niewątpliwie i lepiej i z lepszym wynikiem będziemy pracować, stać nas będzie na podniesienie kultury w szerokich masach, potrafimy wytworzyć przez oszczędność piękną poważne narodowe kapitały.

Bolesław Prus o oszczędności.

Poniżej podajemy urywek z „Kronik“ Bolesława Prusa, w którym znakomity pisarz w bardzo żywy sposób uwydatnia znaczenie i potrzebę oszczędności.

...Przechodzę do oszczędności.

Do przemawiania w tej kwestji posiadam nierównie większe kwalifikacje: szczycę się bowiem tytułem członka Kasy przemysłowców warszawskich, dziś lub jutro ubezpieczę swoje drogocenne życie, a co najważniejsza, zaoszczędziłem już z literackich

dochodów rs. 7 kop. 13 i dwa numizmaty. Tu więc nietylko słowem, ale i przykładem świecić mogę.

Ludu warszawski i wy mieszkańcy 10-ciu gubernij Królestwa Polskiego.

Wiecie wy, skąd to pochodzi, że społeczeństwa ucywilizowane, mimo tu i ówdzie trafiających się nieurodzajów, nie wymierają z głodu. A wiecie wy, skąd się biorą owe olbrzymie składy wełny, żelaza, drzewa, płótna, a zresztą i pieniędzy... Oto z dwu źródeł:

1. Stąd, że są ludzie, którzy wydobywają więcej żelaza, zboża, wełny, drzewa, złota, niż sami potrzebują.

2. Stąd, że są i tacy, którzy mniej zjadają, mniej wypijają, mniej wypalają — niż mogą.

Ta trudna lecz prosta sztuka pozbawienia się dziś pewnej części wygody lub przyjemności i odłożenia jej na jutro, lub później — nazywa się oszczędnością.

Wszystko oszczędzić można, zacząwszy od zboża, lnu i drzewa, a skończywszy na siłach fizycznych i moralnych; wszystko też oszczędzać należy.

Dzięki wynalazkowi monety, zwanej przez osoby, mające wodę w głowie: „mamoną“ albo „złotym cielcem“ — ty, poczciwy szewcze, krawcze, kancelisto, towarzyszu sztuki drukarskiej itd., nie potrzebujesz oszczędzać: wołów, koni, lnu, siana itd., lecz tylko pieniądze. A dlaczego tak robić musisz, wyłuszczy ci się poniżej.

Dajmy na to, że masz lat trzydzieści, żonę i jednoroczne dziecko.

1. Kiedy dojdiesz do 50 roku życia, staniesz się już niedołągą i będziesz pragnął wówczas posiadać np. kapitalik 500 rs. Otóż na ten cel składać musisz miesięcznie w jakimś Towarzystwie ubezpieczeń rs. 2.

Za tę uprzejmość Towarzystwo w razie twej śmierci zapłaci pozostałej wdowie także rs. 500, choćbyś jedną tylko ratę wniósł i na drugi dzień umarł.

2. Na edukację dziecka od 10 do 16 roku jego życia musisz wydać ze 300 rs., a tem samem już od dziś dnia składać do kasy oszczędności przynajmniej po rs. 250.

3. Ponieważ syn twój, skończywszy szkołę i termin, ma na własną rękę coś zacząć, na co będzie potrzebował ze 300 rs., musisz zatem na jego benefis odkładać do kasy oszczędności przynajmniej rs. 1 mies.

4. Ponieważ możesz być jakiś czas chory lub pozbawiony roboty, musisz więc i na swój benefis choć ze 3 rs. miesięcznie wnosić do kasy oszczędności.

5. Ponieważ najniezawodniej kiedyś umrzesz, na co ci mogą nawet dać zapewnienie rejentalne, i, ponieważ pogrzeb twój z plakatami, ogłoszeniem w „Kurjerze“ i śniadankiem dla żyjących kosztować będzie co najmniej rs. 50, na ten więc cel powinieneś składać znowu w Towarzystwie ubezpieczeń po rs. 1 kop. 50 miesięcznie.

Oto są wydatki, które nikogo nie miną; musi więc zawczasu przygotowywać się do nich, a tem samem oszczędzać co najmniej (opuściwszy paragraf 5) po rs. 8 kop. 50 mies., czyli rs. 102 rocznie.

Jeżeli wydatek ten, dobry człowiecze odejmiesz od swych dochodów, pozostanie ci reszta, którą obrócić możesz na jedzenie, mieszkanie, na frak dla siebie, balową suknię dla żony itd.

Jeżeli zaś tego nie uczynisz, wówczas w razie twej śmierci żona pójdzie na łaskę krewnych, a syn zostanie ulicznikiem. Gdy zaś Bóg Najwyższy nie powoła cię do swej chwały w sile wieku, wówczas na starość zostaniesz dziadem, albo kataryniarzem, albo będziesz u żydów w dzień szabasu w piecach palił i wodę kubłami nosił.

Hic iacet veritas! — co znaczy: w tem jest sęk...

Wiem, o duszo pobożna, że z natury jesteś lekkomyślną, że lubisz oglądać dno kufła, albo grać w kości z takimi jak i ty sam frantami. Otóż, dla łatwiejszego zrozumienia prawd, które ci powyżej, jak łopata, wyłożyłem, pomyśl: żeś dziś umarł, że twój syn jutro będzie pełnoletnim i że na cały ten kram zostawiłeś trzy ruble w domu.

— A co, dobrze ci, grzeszniku... Poprawże się więc i naucz oszczędzać“...

Rozwój oszczędności w Polsce.

Stwierdzić wypada, że na terenie Polski mamy do rozróżnienia cztery rodzaje instytucyj przyjmujących wkłady, a mianowicie Banki Akcyjne, Pocztową Kasę Oszczędności, Komunalne Kasy Oszczędności, jednak tylko co do kas w b. zaborach austriackim i niemieckim cyfry były do niedawna ogłaszane, oraz Spółdzielnie kredytowe.

Statystyka oficjalna rozpoczyna się

z dniem 30 kwietnia 1924 r., tj. od czasu rzeczywistego wprowadzenia złotego.

Za podstawę obliczeń wkładów w bankach wzięto 16 największych banków, zaś od września 1925—14 banków, a to wskutek upadku złączonych Banku dla Handlu i Przemysłu i Banku Kredytowego.

W tysiącach złotych wynosiły w tych bankach w poszczególnych miesiącach:

Wkłady terminowe:

Rok	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
1924				3280	5883	7046	8710	12565	13914	15322	15607	16586
„ 1925	25282	32634	32337	37825	44938	46375	47463	51794	35730	33558	30381	28678
„ 1926	32550	35336	38947	40941	39270	39376	43517	43295				

Wkłady bezterminowe:

Rok	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
1924				18107	20841	23745	36365	39673	46143	48135	54463	55005
„ 1925	72180	74253	72208	75477	74569	73646	75137	69962	42364	36555	35087	33250
„ 1926	39517	45088	46710	45534	40165	43568	51285	56276				

Ogółem na dzień 31 sierpnia br. wkłady w bankach wynosiły 99.571 tysięcy zł.

	I.	II.	III.	IV.	V.
Rok 1924				1950	2044
" 1925	9316	10671	11876	13193	14027
" 1926	14498	16377	17602	16956	14890

Na dzień 31 sierpnia br. wkłady oszczędnościowe w P. K. O. wynosiły 19.153 tys. zł.

Z Komunalnych Kas Oszczędności, które w liczbie 40 dały podstawę do obliczeń statystycznych, znajdowało się 14 na terenie b. zaboru pruskiego i 26 w b. zaborze austriackim. Z dniem 31 lipca 1925 rozsze-

	I.	II.	III.	IV.	V.
Rok 1924				580	812
" 1925	6118	8134	10332	12280	13548
" 1926	21675	23522	25417	25063	28003

Na koniec września br. stan wkładów w 110 kasach był następujący: 15 kas wojew. centralnych 3.522 tysiące, 1 kasa wojew. wschodnich 23 tysiące 45 kas wojew. zachodnich 9.367 tysiące, 10 kas wojew. ślą-

	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
Rok 1924				230	289	361	449	520	575	719	932	1064
" 1925	3032	3550	4193	4492	5432	5401	5559	5376	5061	4731	4654	4784
" 1926	5275	5547	6119	6017	5684	5884	6468	6763				

Powyższa tabela zawiera cyfry dotyczące spółdzielni kredytowych. Za rok 1924 cyfry obejmują 21 spółdzielni, za rok 1925 — 71 spółdzielni, za rok 1926 między 76 a 86 spółdzielni.

W dniu 31 września wynosił stan wkładów w 80 spółdzielniach 6.763 tysięcy zł.: z tego 32 spółdzielnie przypada na wojew. centralne z 3.529 tysiąc. wkładów, 10 na wojew. wschodnie z 419 tysiąc., 21 na zachodnie z 2.534 tysiąc. i 17 na południowe z 275 tysiącami złotych.

Cyfry powyżej podane pozwalają wysnuć szereg bardzo ciekawych wniosków.

I tak wkłady rosły od chwili wprowadzenia waluty złotej, we wszystkich instytucjach. Załamanie się złotego podkopało zaufanie ludności do lokowania oszczędności w instytucjach kredytowych. Wycofywanie wkładów w sierpniu r. 1925, a wkładów terminowych i w następnych miesiącach spowodowało obniżenie się stanu w porównaniu z lipcem 1925.

Dopiero z początkiem br. zaczyna się znaczniejszy wzrost wkładów, zahamowany przejściowo w maju br. wskutek wypadków

Wkłady w Pocztowej Kasie Oszczędności wynosiły:

	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
	2441	3240	4253	4791	5536	5636	6947
	15052	15877	15396	14435	14166	13459	12612
	15899	17591	19153				

zono podstawę obliczeń na 37 kas w b. Galicji, tak, że cyfry dotyczą 51 kas.

Dopiero ostatnie obliczenia, których nie umieszczamy w poniższej tabeli, zawierają dane odnośnie do 110 Kas we wszystkich dzielnicach.

	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
	1179	1678	1948	2253	3202	3553	4976
	14895	18154	17940	17971	18783	18788	19480
	29449						

skiego 2.165 tysiące, 39 kas wojew. południowych 28.071 tysiące.

Ogólna wysokość wkładów w polskich Kasach Oszczędności wynosiła w dniu 31 września 43.148 tysięcy zł.

	VI.	VII.	VIII.	IX.	X.	XI.	XII.
	361	449	520	575	719	932	1064
	5401	5559	5376	5061	4731	4654	4784
	5884	6468	6763				

warszawskich. Następnie wzrost jest znowu widoczny, jakkolwiek tylko w pewnych dziedzinach.

Nieuregulowane stosunki gospodarcze a przede wszystkim polityczne, są też przyczyną, że lokujący wkłady wybierają rachunki bezterminowe, nawet rachunki bieżące, unikając wkładów związanych, terminowych.

Następnie ciekawą jest okoliczność, że w różnych dzielnicach różne instytucje cieszą się specjalną sympatią oszczędzającej publiczności. I tak Kasy Oszczędności najwięcej wkładów skupiły w Małopolsce, bo przeciętnie 700 tysięcy na kasę, w b. zaborze pruskim około 200 tys. na kasę, natomiast jedyna Kasa na ziemiach wschodnich zebrała tylko 23 tysiące. Natomiast spółdzielnie kredytowe, które w województwach centralnych i zachodnich skupiały około 100 tys., a każda w Małopolsce zebrały tylko po przeciętnie 16 tysięcy.

Sądzić z tych cyfr o stopniu zmysłu oszczędnościowego poszczególnych dzielnic niestety nie można, gdyż nie posiadam danych co do stosunku udziału dzielnic we wkładach w bankach i P. K. O.

NIEZBĘDNE WIADOMOŚCI.

Chodzenie po ulicach miasta.

Jezdnia przeznaczona jest dla pojazdów, chodnik dla pieszych.

Przez jezdnię przechodź krokiem wolnym. Pamiętaj, że jezdnia nie dla ciebie, dlatego przechodź przez jezdnię najkrótszą drogą i to tylko w razie konieczności. Przechodź w pobliżu posterunku policyjnego.

Wchodząc na jezdnię, obejrzyj się najprzód na lewo, a potem na prawo.

Nie przechodź nigdy przez jezdnię wówczas, gdy nie widzisz dokładnie, co się dzieje za wozem tramwajowym lub innym pojazdem.

Gdy przechodząc przez jezdnię usłyszysz sygnał lub nawoływanie, obejrzyj się w kierunku głosu. Jeśli nie wiesz, gdzie się posunąć, zatrzymaj się. Nigdy zaś nie cofaj się w tył.

Nie urządzaj sobie nigdy postojów na jezdni. Gdy czekasz na tramwaj, stój na chodniku przy brzegu jezdni.

Wysiadając z tramwaju, obejrzyj się zawsze w prawo. Lewą ręką trzymaj się poręczy.

Na chodniku idź zawsze stroną prawą, nie zatrzymuj się w pośrodku chodnika, ani na rogach ulic, lub przed wejściem do lokali.

Pamiętaj zawsze, że nie tylko ty idziesz po ulicy. Inni również iść muszą. Nie tamuj nigdy ruchu swoją osobą, wymijaj na prawo.

Wymiana uszkodzonych banknotów.

Zniszczone wskutek obiegu bilety bankowe przyjmuje Bank Polski bez żadnych potrąceń i ograniczeń przy wpłatach i przy wymianie, jednakże przedstawione bilety nie mogą wzbudzać podejrzeń co do oszukańczych z nimi manipulacji i nie może brakować więcej, niż:

1) jedna trzecia odcinka;

2) trzy cyfry numeru i jeden podpis, lub jedna cyfra względnie litera serji i jeden podpis przy biletach po zł 5, 10 i 20 z datą 15 lipca 1924 r. — jeden numer lub jedna serja, lecz muszą być obydwaj podpisy, przy biletach po zł 20 i 50 z datą 28 lutego 1919 r. Zatarcie poszczególnych cyfr numeracji nie jest powodem odmowy zamiany biletu bankowego. Bilet sklejony, może składać się tylko z części, należących do tego samego odcinka.

Bilety, odpowiadające wyżej wskazanym warunkom, a uszkodzone przez pożar, powódź lub inne nadzwyczajne wypadki, mogą być wymienione tylko na skutek każdorazowego postanowienia dyrekcji Banku na wniosek skarbcza emisyjnego.

TARYFA POCZTOWA.

Ważna od 1 września 1926 r.

W kraju. Kartki pocztowe 10 gr.

Listy do 20 gramów — 20 gr, ponad 20 do 250 g — 40 gr, ponad 250 do 500 g — 80 gr.

Druki do 50 g — 5 gr, ponad 50 do 100 g — 10 gr, ponad 100 do 250 g — 15 gr, ponad 250 do 500 g — 30 gr, ponad 500 do 1000 g — 40 gr, ponad 1000 do 2000 (tylko pojedyncze tomy) — 60 gr.

Przesyłki mieszane w kraju: do 250 g — 15 gr, ponad 250 do 500 g — 30 gr, ponad 500 do 1000 g — 40 gr; za granicę: za każde 50 g — 10 gr, najmniej jednak 20 gr.

Próbki towarów do 250 g — 15 gr, ponad 250 do 500 g — 30 gr.

Polecenie kosztuje 30 gr. Express 50 gr.

Paczki zwykłe do 1 kg — 50 gr, ponad 1 do 5 kg — 1'20 zł, ponad 5 do 10 kg — 2— zł, ponad 10 do 15 kg — 3'50 zł, po-

nad 15 do 20 kg — 4'50 zł. Od każdej paczki opłata dodatkowa 10 gr.

Jeżeli się podaje wartość przesyłki, za każde podane 100 zł płaci się 10 gr. Przy paczkach ponad 100 zł wartości płaci się jeszcze 30 gr. Za pobranie 30 gr.

Przekazy: w kraju do 10 zł — 15 gr, ponad 10 do 25 zł — 30 gr, ponad 25 do 50 zł — 40 gr, ponad 50 do 100 zł — 65 gr, ponad 100 do 250 zł — 85 gr, ponad 250 do 500 zł — 1'25 zł, ponad 500 — do 750 zł — 1'65 zł, ponad 750 do 1000 zł — 2'05 zł.

Telegramy: wyraz 10 gr, najmniej 1'10 zł, pilne wyraz 30 gr, najmniej 3'10 zł, blankiet 2 gr.

Za granicę: Kartki pocztowe 25 gr. Do Austrii, Czechosłowacji, Rumunji i Węgier 20 gr.

Listy do 20 g — 40 gr, za każde dalsze 20 g — 20 gr. Do Austrii, Czechosłowacji, Rumunji i Węgier do 20 g — 20 gr.

Druki: za każde 50 gr — 10 gr. Najwyższa dopuszczalna waga wynosi 20 kg, pojedynczych tomów 3 kg.

Próbki towarów: za każde 50 g — 10 gr, jednak najmniej 20 gr. Najwyższa waga dopuszczalna 500 gr.

Polecenie kosztuje 40 gr. Express 80 gr.

Taryfa stemplowa.

Opłaty stemplowe: od rachunków za każde 50 zł — 10 gr. (Do 15 zł rachunki wolne od opłaty). Od podania 2 zł (z wyjątkiem specjalnych podań np. o koncesje), od dalszego arkusza 40 groszy, od dwóch pierwszych załączników 10 gr, od dalszych 40 gr. Odpis (dokumentów) urzędowy 1 zł, prywatny 40 gr, od pełnomocnictw 2 zł.

Opłaty stemplowe od weksli. Nowa taryfa opłat stemplowych od weksli dla całego obszaru państwa przedstawia się jak następuje: Suma weksla do 30 zł — opłata 10 groszy; do 60 zł — 20 gr; do 90 zł — 30 gr; do 120 zł — 40 gr; do 150 zł — 50 gr; do 200 zł — 70 gr; do 300 zł — 1 zł; do 400 zł — 1'20 zł; do 500 zł — 1'50 zł; do 600 zł — 1'80 zł; do 700 zł — 2'10 zł; do 800 zł — 2'40 zł; do 900 zł — 2'70 zł; do 1000 zł — 3'00 zł.

Miary i wagi polskie.

Miary długości: Mila polska = 8 stajom. Pręt = $7\frac{1}{2}$ łokcia. Sążeń = 3 łokciom, Łokieć = 2 stopom. Stopa = 12 calom. Cal = 12 linjom (linja = 2 mm).

Miary powierzchni: Włoka = 30 morgom. Morga = 300 prętom kwadr. Pręt kwadr. = $56\frac{1}{4}$ łokcia kwadr.

Miary i wagi metryczne.

Miary długości: Kilometr = 1000 metrom. Metr = 10 decymetrom. Decymetr = 10 centymetrom. Centymetr = 10 milimetrom.

Miary powierzchni: Hektar = 100 arom. Ar = 100 metrom kwadr.

Miary objętości: Hektolitry = 100 litrom,

Wagi: Tonna = 10 centnarom metr. Centnar metr. (podw.), Kwintal = 100 kilogr. Centnar cłowy (pojed.) = 50 kilogr. Kilogram = 100 dekagramom. Dekagram = 10 gramom. Gram = 1000 miligramów.

Porównanie miar i wag polskich z metrycznymi.

Miary długości: Mila polska = 8 km 534 m¹⁾. Pręt = 4 metry 32 centymetr. Sążeń = 1 metr 73 centymetr. Łokieć = 58 centymetr. Stopa = 29 centymetr. Cal = bez mała $2\frac{1}{2}$ centymetr.

Miary powierzchni: Morga = $\frac{14}{15}$ hektara = 56 arom = 5600 metr. kwadr.

Porównanie miar powierzchni.

1 hektar = 0,915 diesiatiny ros. = 1,786 morgi;

1,092 hektara = 1 diesiatina ros. = 1,951 morgi;

0,560 hektara = 0,512 diesiatiny = 1 mórg.



¹⁾ Mila austriacka = 7 km 586 m. Mila niemiecka = $7\frac{1}{2}$ km. Mila francuska = 4 km 445 m.

BRACTWO WYDAWNICZE


ŚW. JÓZEFA

ORMIAŃSKA 13


WE LWOWIE

ORMIAŃSKA 13

**ROZPOCZYNA OD POCZĄTKU ROKU 1927
REGULARNE WYDAWNICTWO KSIĄŻEK
DLA SWOICH CZŁONKÓW.**



7000 członków - przed wojną - członków 7000



Bractwo wydawnicze zostało przez Ojca św. zatwierdzone i obdarzone licznymi odpustami. Protektorat nad Bractwem objęli Najprzew. XX. Arcybiskupi lwowscy: X. Arcybiskup Józef Teodorowicz i X. Arcyb. Bolesław Twardowski.

Bractwo Wydawnicze wydaje co roku kilka dzieł treści religijnej, pouczającej i rozrywkowej.

BRACTWO WYDAWNICZE ŚW. JÓZEFA

Lwów — ul. Ormiańska 13

Wydano dotąd następujące książki:

X. Dr. A. Cigoj Z. B.: Życie P. N. J. Chrystusa (z licznymi ilustracjami).
Cz. I. str. 172, 1'30 zł.; cz. II. str. 342, 2'50 zł.; cz. III, str. 268, 2 zł.

X. Arcyb. Z. S. Feliński: Nabożeństwo majowe. Str. 397, 1 zł.

X. K. M. Żukiewicz Z. K.: Miłość Jezusa i Marji w Tajemnicach
Różańca św. Str. 339. brosz. 1'00, opr. 1'50 zł.

Co prowadzi do szczęścia domowego (praktyczne wskazówki dla życia
codziennego). Str. 176, 80 gr.

X. A. Cząstka: Wiara w Boga i czyn z wiary. Opowiadania kate-
chizmowe z przykładami. Cz. 1-sza. Cena 3'20 zł.

Zarząd Bractwa otrzymał liczne listy od członków z podziękowaniem
za wydanie tej książki. Jeden z kapłanów pisze, że gdyby wydana
została wcześniej i gdyby więcej ludzi ją czytało, nie byłoby dziś
w Polsce tylu odstępców od wiary. Czytać ją może każdy, bo napisana
przystępnie i zajmująco.

X. B. Żychliński: Żywoty świętych matek. Wzory dla matek chrześci-
jańskich. Cena 1'60 zł.

— Młody Polak-Katolik. Nauki dla młodzieńców.

Obie książki pełne są głębokich myśli. Z pierwszej nauczyć się mogą
wiele matki, które chcą dobrze wychować swe dzieci, druga powinna
być przewodniczką młodzieży męskiej, tak bardzo dziś na liczne nie-
bezpieczeństwa narażonej.

Bl. Bronisława Patronka Polski. Cena 2 zł. 50 gr.

Chcesz żyć życiem prawdziwie chrześcijańskim, czytaj żywoty świętych.
W nich znajdziesz zachętę i wzór, one rozpalą twe serce pragnieniem
naśladowania Boskiego Mistrza.

S. B. Żulińska: Mała Święta. Obrazki z życia św. Teresy od Dzieciątka
Jezus dla dzieci.

Inne książki, które wyszły nakładem Bractwa są wyczerpane.

Po informacje w sprawie Bractwa należy zwracać się do Zarządu Bractwa
Wydawniczego św. Józefa we Lwowie, ul. Ormiańska 13.

CZY MASZ JUŻ W DOMU

MAŁY KATECHIZM RZYMSKO-KATOLICKI. Cena 50 groszy.

Powodem wielu nieszczęść w rodzinach i w społeczeństwie jest nieznamość zasad wiary i moralności. Podaje je mały katechizm. Nikt nie może się usprawiedliwić, że nie może sobie tej książeczki kupić, cena bowiem przystępna jest nawet dla najbiedniejszego.

S. Barbara Żulińska C. R.:

OBOWIĄZKI POLKI

Pogadanki dla dziewcząt. — **Cena 1 zł.**

ANIOŁ STRÓŻ

Opowiadania dla dzieci z obrazkami.

Cena: broszur. 0·80 zł., karton 1·25, opr. 1·50 zł.

Książki te nie potrzebują osobliwego zalecania i wychwalania. Najlepszym dowodem, jak były pożyteczne, jest to, że pierwszy nakład szybko się wyczerpał i że trzeba było robić drugi.

Każda Polka kupi sobie z pierwszych zarobionych pieniędzy książkę „Obowiązki Polki“, każdy zaś ojciec i matka dla swych dzieci opowiadania p. t. „Anioł Stróż“.

„MAŁA ŚWIĘTA“

Obrazki dla dzieci z życia św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

• 15 kolorowych ilustracyj.

O ŚW. FRANCISZKU Z ASYŻU.

Opowiadania dla dzieci z obrazkami. **Cena 1·20 zł.**

Wszystkie matki, troskliwe o dobro swych dzieci, sprawią im te przepiękne książeczki, by rozbudzić w nich gorące pragnienie dobrego życia.

ŻYWOT ŚW. TERESY

od Dzieciątka Jezus Karmelitanki bosej.

Stron 112. Wydanie 2-gie. **Cena 1·40 zł., w kartonie 1·60 zł.**

Kościół święty zaliczył 17 maja 1925 r., Siostrę Teresę, zmarłą 30 września 1897 r., w poczet Świętych. Proste jej życie, zapełnione najzwyczajszymi obowiązkami codziennymi, przedstawia w krótkim zarysie powyższa książeczka. Zainteresować powinna wszystkich, zwłaszcza zaś siostry różańcowe i tercjarki.

Kazimierz Króliński:

GŁÓD ZIEMI

Powieść. — Str. 132. **Cena 0·80 zł.**

Opowiadanie, zawarte w tej powieści, której autor znany jest w całej Polsce, osnute jest na tle współczesnych nam zdarzeń. Niejeden może, czytając ją, własne zobaczyć dzieje. Czyta się ją z zapartym oddechem. — Doskonała do czytania dla wszystkich.

BIBLIOTEKA RELIGIJNA — LWÓW, ORMIAN

POLECA:

MODLITEWNIK PARAFJALNY

Książka do nabożeństwa dla wszystkich. Ważniejsze modlitwy większymi literami. n.
Wyd. 2-gie. Stron 540. Opr. w płótno 2'50 zł.

Zawiera: Kalendarz, katechizm, pouczenia dla rodziców chrzestnych, dla nowożeńców, przy przyjmowaniu kapłana u chorych, modlitwy w czasie Mszy św., przy spowiedzi i Komunii św., wszystkie litanje, modlitwy w różnych potrzebach, do świętych, 4 ewangelje na Boże Ciało, godzinki o Najśw. Sercu, do pięciu Ran P. Jezusa i o N. Marji Pannie, koronkę do Trójcy Przenajśw. i do pięciu Ran P. Jezusa, różaniec, nieszpory, gorzkie żale, drogę krzyżową, stokilkadziesiąt najczęściej używanych pieśni, między nimi łacińskie: Veni Creator, Te Deum, Haec est dies, Asperges me, Miserere, Libera me, Salve itd. oraz ministranturę.

NA CHWAŁĘ BOŻĄ.

Modlitewnik dla młodzieży. — Wydanie trzecie. Stron 256. Cena 1'50 zł. w opr. płóciennej.

Zawiera obok wielu innych rzeczy: Wiadomości katechizmowe, 2 Msze św. z tych jedna według mszału po łacinie i po polsku, wszystkie litanje, godzinki, nieszpory, drogę krzyżową, gorzkie żale. 55 pieśni i opis męki Pańskiej według ewangelji św. Mateusza.

CHWALCIE PANA.

Śpiewnik bez nut. Wydanie 2-gie Stron 384. Cena 2'00 w opr. płóc.

Zawiera: prawie 150 pieśni kościelnych najczęściej używanych, między nimi 12 łacińskich, godzinki, gorzkie żale, nieszpory, drogę krzyżową, modlitwy przy Mszy św., spowiedzi i Komunii św., litanje i pouczenia przy sakramentach chrztu i małżeństwa.

Dopuszczcie dziatkom przyjsć do mnie.

Modlitewnik dla dzieci. — Stron 260. Cena 1'20 w opr. płóc.

Zawiera między innymi: Wiadomości katechizmowe, modlitwy podczas Mszy św., litanje, nieszpory, godzinki, drogę krzyżową, gorzkie żale, kilkadziesiąt pieśni i ministranturę.

GŁOS EUCHARYSTYCZNY

pismo miesięczne dla kapłanów i wiernych, poświęcone szerzeniu czci dla Przenajśw. Sakramentu Ołtarza.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ormiańska 13.

Prenumerata roczna 2'50 zł.

Najświętszy Sakrament ołtarza jest ośrodkiem całego życia Kościoła katolickiego, bo tam źródło łaski i świętych natchnień. Wszystkie narody, pragnąc jak najbardziej zbliżyć każdą duszę do Jezusa utajonego, urządzają wielkie zjazdy czcicieli Najśw. Sakramentu, wydają wiele książek i pism, by każdemu chętnemu ułatwić poznanie tych wielkich tajemnic naszej wiary, rozbudzić dla nich cześć, pouczyć, jak czerpać z nich moc do dobrego życia.

Cele te spełnia w Polsce Głos Eucharystyczny, wychodzący już 9-ty rok. Wszyscy, którzy pragną zapoznać się z ruchem eucharystycznym, rozbudzić w Ojczyźnie całe i w swej duszy nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, niech nie żalują grosza, lecz niech zaraz zaprenumerują eucharystyczny miesięcznik. Każdy numer zawiera rozmyślanie o N. Sakramencie, artykuł pouczający, przykłady lub krótkie opowiadania z życia czcicieli N. Sakramentu, sprawozdania z działalności organizacyj eucharystycznych i w miarę miejsca modlitwy.